★ **Lipiec 1944 we wspomnieniach**
★ **Być statystą w filmie**
★ **W pogoni za snem**

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 30 (1321) ROK XXVI 23 LIPCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Latająca kula

ZDZISŁAW STRZĘPEK

Od czego rozpocząć opowieść o „powietrznej bani" (tak nasi praojcowie nazywali balon)? Od starożytnych latających i ziejących ogniem smoków w Państwie Środka, czy od legendy o nieszczęsnej ucieczce niewolnika z Krety — Ikara? A może od wydarzenia z ostatnich dni — dekoracji w Warszawie dwu panów medalami „Za wybitne osiągnięcia sportowe"? Zdobyli oni dla Polski — zresztą po raz siódmy — najcenniejsze trofeum międzynarodowych zawodów balonowych, puchar im. J. Gordona Bennetta. Te zresztą zawody, ten puchar, a zwłaszcza okrągły jubileusz czczony przez cały świat, 200-lecie wzlotu człowieka ponad ziemski padół, stwarzają powód by o „powietrznej bani" szerzej napisać.

Międzynarodowa Organizacja Lotnicza (FAI) ogłosiła rok bieżący Rokiem Balonu. To on pozwolił człowiekowi postawić pierwszy krok ad astra — ku gwiazdom. Jak gdyby przeczuwając tę wielką drogę w kosmos, drogę która wiedzie poprzez samoloty, rakiety, i sputniki, dwaj Francuzi, bracia Joseph i Jacques Montgolfier, swój pierwszy prymitywny aerostat, ulepiony z płótna i papieru, spięty przy pomocy... 1800 guzików, nazwali właśnie z zuchwalstwem „Ad Astra"

5 czerwca 1783 roku w małym miasteczku Annonay, koło Lyonu, gdzie bracia mieli fabryczkę papieru, odbyła się próba wzlotu balonu o średnicy ok. 10 m. Bracia zauważyli wcześniej, iż papierowe torebki napełnione nad piecykiem ogrzanym powietrzem unosiły się do sufitu Swój balon umieścili więc nad ogniskiem podsycanym słomą. Poszedł w powietrze, ku przerażeniu wielu zgromadzonych na rynku ludzi. Wieść o tym szeroko rozeszła się po Francji Dotarła do króla i Akademii Nauk, gdzie ciągle eksperci głosili przekonanie, że nic cięższego od powietrza nie może unieść się ponad ziemię.

Właśnie w dokładną rocznicową datę wydarzenia, 5 czerwca 1983 r. wystartowało z placu Concorde w Paryżu 20 balonów z różnych krajów i różnych kontynentów do 27 międzynarodowych zawodów balonowych o puchar im. J. Gordona Bennetta, puchar tym razem ufundowany przez Aeroklub PRL przy współudziale redakcji „Głosu Robotniczego". Zawody odbyły się w bardzo trudnych warunkach, w deszczu, poprzez burze i z tragedią. Zginęło dwu Amerykanów — Don Ida i Max Anderson. Ten ostatni w 1978 roku, jako pierwszy na wolnym balonie, przeleciał Atlantyk

12

„Canon" nad Warszawą — 5.VI.1983 r.

Chcę być gwiazdorem...

BOHDAN GADOMSKI

Gwiazdor. To nie tylko swoisty gatunek aktorstwa filmowego — jak pisze Aleksander Jackiewicz w wydanym właśnie „Gwiazdozbiorze", to aktor, wokół którego powstaje mit. Mity są różne co do skali, rodzaju, zależnie od okresu historycznego, w którym powstawały. W ostatnim czasie gwiazdorów już prawie nie ma. Ich miejsce zajęli aktorzy-gwiazdy. Mimo, że „gwiazdor" doby obecnej różni się od dawnych i poprzednich, to przecież wokół niego nadal powstaje mit. Bo dopóki istnieje kino, będą istnieć gwiazdy, „gwiazdy" i idole. Nawet wokół zwykłych aktorów filmowych powstaje przynajmniej iskierka mitu...

I właśnie tych ostatnich, młodych aktorów polskiego filmu prezentuję w rozmowach o ich drodze do zawodu, z sądami na jego temat i ewentualnej karierze. Nie pytałem ich w odróżnieniu od pań — czy czują się gwiazdorami, bo i tak odpowiedzieliby, że nie.

Artykuł „Chcę być gwiazdorem" dedykuję tegorocznym kandydatom na wydziały aktorskie naszych szkół teatralnych i jednej filmowej. Adresuję go do tych młodych ludzi, którym się powiodło i tych, którzy czują się rozbici, bo im się nie udało...

Bohaterami drugiej części są:

JANUSZ GAJOS, który po roli Janka Kosa w serialu Tv „Czterech pancernych i pies" potrafił przeistoczyć się w aktora charakterystycznego, a ostatnio także dramatycznego („Wahadełko") z ocenami krytyki „wybitny", „znakomity", „przejmujący", co nie przeszkadza mu być Tureckim z telewizyjnego „Kabareciku". Obecnie aktor Teatru Dramatycznego w Warszawie.

MAREK KONDRAT — laureat Nagrody im. Z. Cybulskiego i kilku innych równie ważnych dla młodego aktora. Wszechstronnie utalentowany, bo równie pewnie czujący się w dramacie, komedii, jak i w kabaretowej piosence. Aktor Teatru Dramatycznego w Warszawie.

TOMASZ STOCKINGER — jeden z najmodniejszych obecnie amantów polskiego kina. Odkryty przez Tv jako śpiewający syn ojca aktora. Dziś porwany przez film i kręcący film za filmem. Przykład młodego aktora, któremu się powiodło w zawodzie.

EMILIAN KAMIŃSKI — aktor „szerokoobsadowy", który może grać wszystko. Jeden z filarów Teatru Narodowego za kadencji Adama Hanuszkiewicza. Obecnie aktor Teatru „Ateneum" w Warszawie. Jak do tej pory nie wykorzystany w pełni przez film i telewizję. Przykład młodego aktora któremu w zawodzie dzieje się bardzo różnie.

WOJCIECH WYSOCKI — szczególnie popularny wśród nastolatek po roli Grzegorza w filmie „Con amore". Po tej roli ludzie pluli na aktora na ulicy, a reżyserzy obsadzali w kolejnych postaciach cynicznych młodzieńców. Główna rola Smukłego w „Wyroku śmierci" była pierwszą pozytywną postacią w filmowym dorobku młodego aktora. Wysocki jest w zespole Teatru Współczesnego w Warszawie.

MICHAŁ JUSZCZAKIEWICZ — aktor Teatru „Adekwatnego" w Warszawie, miał w 1982 i 1983 r. chyba najlepszą passę zawodową wśród aktorskiej młodzieży. Trzy główne role w 3 nowych filmach polskich, a 14 na koncie 25-letniego aktora to rzadko spotykany przypadek. Obecnie znakomity monodram wg. „Się" Stachury i przygotowywany tytułowy „Kordian".

8

„Podobał mi się Janek Kos z serialu „Czterech pancernych i pies" i później długo nie mo-

Igor Sikirycki

Wołanie drzew

Nie chcemy czernieć na cmentarzach,
Rzucać na groby cień bezlistny.
Nie chcemy butwieć, gnić, zapadać
W ziemię, gdy człowiek przestał istnieć.

Nie chcemy służyć u kadłubów
Za nogi, ręce i podpory.
Nie chcemy, by nas ognia strugą
Czołg z opalonej łuskał kory.

Nie chcemy, by ptaszęce gniazda
Z naszych gałęzi zrywał pocisk.
Nie chcemy poszarpaną miazgą
Walić się w mokry cień paproci.

Chcemy muskuły prężyć w sztolniach
Dźwigać na sobie chmury stropów,
Póki nas nowe pnie nie zwolnią
Z ogrzanej słońcem Europy.

Chcemy się zmienić w ławy, stoły,
Zwierać się w trwałe ściany domów,
Drogami biec wygięte w koła
I toczyć ciężar ludzkich plonów.

Chcemy się zmienić w lotne statki,
Które wśród burzy się ostoją,
Chcemy być masztu fletem gładkim,
Na którym wiatr gra pieśń pokoju.

JERZY KWIECIŃSKI

Obywatelski kształt patriotyzmu

„Palacy uważają sobie za patriotyzm słabych stron swoich nie znać i nie wyrobili sobie nawet języka, aby o nich bezpiecznie z sobą mówić".

(Cyprian Kamil Norwid do Ludwika Mierosławskiego)

Niekroć słyszę zapewnienia (a rozlegają się one u nas zewsząd), że my Polacy, wyróżniamy się wyjątkowym patriotyzmem, nasuwa mi się pytanie: dlaczego prawie nie spotyka się podobnie gromkich a pochlebnych samookreśleń u innych. Czy to znaczy, że ludzie gdzie indziej są słabiej uczuciowo związani z ojczystym krajem, czy też nie odczuwają potrzeby świadczenia sobie tego rodzaju komplementów, jakby w obawie ośmieszenia się przed innymi, czy też posądzenia o nacjonalistyczną chełpliwość?

Czyżby istniały jakieś dowody i międzynarodowe mierniki patriotyzmu, a każda nacja miała tam swoją kreskę na skali patriotycznych temperatur? A może z podręczników historii powszechnej da się wyliczyć, ile razy kto najofiarniej i najmężniej stawiał czoła nieprzyjacielowi, i to w słusznej sprawie?

Niezależnie jednak od tego, ile heroicznych kart zapisały dzieje poszczególnych narodów (Polaków, Irlandczyków, Wietnamczyków czy innych), warto choćby z tego zdać sobie sprawę, że oprócz patriotycznie aktywnej części, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, znakomita większość (jak pamiętamy z ostatniej wojny) nawet jeśli solidaryzuje się wewnętrznie z patriotyczną sprawą, to na co dzień myśli przede wszystkim o ocaleniu własnej głowy i ochronie najbliższych, o warunkach materialnego bytu i przetrwaniu trudnych chwil, spekulując przy tym nierzadko i dorabiając na cudzej biedzie.

A jednak w pokoleniu dzieci i wnuków funkcjonuje wyobrażenie powszechnej ofiarności i męstwa, podtrzymywane we wszelkiego rodzaju syntetycznych opracowaniach i wielu utworach artystycznych, a nie dziwmy się też, że świadkowie i uczestnicy wydarzeń przekazują potomnym pamięć o swoich zachowaniach wyłącznie najchwalebniejszych. Będę może w swoim poglądzie odosobniony, jeśli powiem, że historyczna nieprawda lub prawda niepełna, a zwłaszcza upiększona, niezależnie od tego, iż jest moralnie naganna, nie spełnia wcale tej roli wychowawczej, której się od niej oczekuje, przeciwnie, prowadzi do błędnego wniosku, iż kiedyś naród był nieporównywalnie więcej wart, niż obecnie, wobec czego teraźniejszość jest beznadziejna, a przyszłość rysuje się jeszcze ciemniej.

POTRZEBA REKOMPENSATY

Myślę, że do ugruntowania się tej postawy bezrefleksyjnego patriotyzmu, sprzyjającej powstawaniu mitów, przyczynił się (żeby nie sięgać nieco dalej wstecz) okres gierkowski przez swoją ogólną atmosferę ideową, przez mit „moralno-ideowej jedności narodu", tuszującej istnienie sprzeczności klasowych. Sądzę, że ówczesna dominacja narodowego solidaryzmu tłumiła krytyczną refleksję historyczną i obywatelską.

Wydaje mi się, że tak częste u nas głoszenie opinii o wyjątkowości polskiego patriotyzmu wychodzi naprzeciw potrzebie dowartościowania się, odczuwanej przez dość znaczną część społeczeństwa, a dotyczącą ludzi, którzy ani sami w sobie, ani w oczach otoczenia nie znaleźliby potwierdzenia swej wartości. Świadomość przynależności do wyjątkowego narodu (jak na przykład u ortodoksyjnych Żydów czy u hitlerowskich Niemców) rekompensuje zawsze osobiste braki, nobilitując każdego z osobna bez względu na to, czy jest cokolwiek wart pod względem społecznym czy ogólnoludzkim. No i w ten sposób, bez żadnej zasługi oprócz faktu przyjścia na świat w określonym punkcie globu, każdy automatycznie może stać się kimś, i to bez porównania lepszym, niż najlepszy przedstawiciel jakiejś „podrzędnej" nacji. A kiedy taki znajdzie się wśród cudzoziemców i wzbierze w nim złość, że nie nauczyli się np. języka polskiego, przynajmniej na równi z angielskim czy rosyjskim, francuskim, niemieckim czy hiszpańskim, a jeszcze gdy wypije pod tę uwłaczającą okoliczność, za-

3

Przegląd prasy

Jaka będzie telewizja

po okresie reorganizacji? Do czego zmierzają wprowadzane obecnie zmiany? O to pytali prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji — Mirosława Wojciechowskiego dziennikarze „POLITYKI" Andrzej Krzemiński i Witold Pawłowski (nr 29 z 16 lipca 1983 r.). Rozmowie dali tytuł: „Jestem przygotowany".

Do czego jest przygotowany prezes Mirosław Wojciechowski?

— *„Przygotowuję Radiokomitet* — mówi prezes — *na przyjęcie fali twórców, tych własnych zmobilizowanych porządkami w instytucji i tych z zewnątrz zainspirowanych postępującą normalizacją w państwie. Ona nadejdzie, a ja będę wówczas przygotowany".*

W jaki sposób dokonuje się tych przygotowań?

— *„...należy zacząć od spraw organizacyjnych i technicznych, najpierw stworzyć odpowiednie warunki dla produkcji programów. Aby wymagać od twórców, trzeba dać im odpowiednie możliwości...*

Nie tylko techniczne, bardziej jeszcze — organizacyjne. Telewizja, aby była dobra, musi być profesjonalna. Muszą istnieć zawodowe ekipy twórcze, których działalność jest odpowiednio zorganizowana i do dyspozycji których stoi technika w wystarczającej ilości i jakości..."

Zdaniem prezesa Mirosława Wojciechowskiego w strukturze telewizji występowały nieprawidłowości. Na przykład *„tylko 4 proc. programów powstaje w ramach pensji, a 96 proc. za honoraria".* Przy czym te honoraria zostawały na ogół w telewizji, a więc były dzielone przez jej pracowników, bowiem *„70 proc. honorariów konsumowanych jest przez pracowników telewizji, a tylko 30 proc. przez twórców spoza Radiokomitetu, a powinno być odwrotnie".* Dzieje się tak dlatego, że zespoły twórcze są zbytnio rozdęte, niektórzy *„etatowi twórcy programów biorą pensje głównie za to, że przychodzą do pracy",* natomiast każdy *„wysiłek intelektualny czy organizacyjny jest dodatkowo opłacany".* Dziennikarzy jest dużo, brakuje natomiast 70 elektryków i tyleż hydraulików oraz sprzątaczek. A każdy organizm — w tym i telewizja — może prawidłowo funkcjonować, kiedy wszystkie jego komórki i służby pracują należycie i są dobrze zorganizowane. Poza tym w telewizji służby techniczne i organizacyjne są źle opłacane: — *„...służbom ekonomicznym płacimy 60 proc. średniej krajowej, a technicznym 70 proc."*

— *„Czym jest dla pana telewizja?"* — pytają prezesa Mirosława Wojciechowskiego dziennikarze „Polityki".

— *„Potężnym instrumentem informacyjnym i kulturotwórczym* — odpowiada prezes. — *Dlatego też trzeba być niezmiernie uważnym — i mieć światłych doradców — ażeby nie zejść na manowce, nie obniżyć lotów, nie zabrnąć w ślepą uliczkę kultury masowej, w pejoratywnym rozumieniu tego pojęcia. Dlatego od początku zwracam uwagę, ażeby programy, jakie tu będziemy tworzyć, powstały przy udziale najlepszych sił i talentów".*

Zarysowana w rozmowie z dziennikarzami „Polityki" koncepcja telewizji, a także i programów radiowych, wydaje się być interesująca i obiecująca. Na jej realizację potrzeba czasu i środków. Dlatego Mirosław Wojciechowski proponuje: *„ze szczegółowymi pytaniami proszę przyjść za rok".* Tak więc na dobrą telewizję, o którą wszystkim nam chodzi, trzeba będzie poczekać, chociaż pewne zmiany — na przykład w DTV — można już obserwować. Zapewne nie pierwsze i nie ostatnie.

Jest w rozmowie z Mirosławem Wojciechowskim pewien fragment, który budzi wątpliwości:

— *„...w zespołach twórczych było po prostu przeludnienie. Dlaczego? Zawód dziennikarza jest atrakcyjny i ma różne przywileje. Zawód ten nie jest w ogóle chroniony, nie ma żadnych ścisłych kryteriów kwalifikacyjnych. Dziennikarzem można zostać z dnia na dzień. A dobrym czeladnikiem stolarskim? Trzeba czterech lat".*

Nie ulega wątpliwości, że proces przygotowywania dziennikarza i stolarza jest różny. Różny jest też sposób oceny ich pracy. W każdym jednak przypadku wyniki i jakość pracy są decydującą miarą oceny ich kwalifikacji. Są dobrzy dziennikarze i dobrzy stolarze, to znaczy dający wysokiej jakości produkt swoich umiejętności, doświadczenia i wiedzy. I są w obu zawodach partacze. Trudno mi jednak zgodzić się z poglądem, że *„dziennikarzem można zostać z dnia na dzień".* Dostać etat w redakcji — może tak, nie etat jednak decyduje czy ktoś jest dziennikarzem, ale wyniki tego, co robi. Jest to też zawód, jak każdy inny, tyle że niezbędne są do jego wykonywania określone predyspozycje. M. Wojciechowski sam zresztą mówi o talencie. Tylko że talent sam niewiele znaczy, musi mu towarzyszyć wiedza, doświadczenie i praktyka. A tego nie zdobywa się z dnia na dzień.

Jak to było pod Grunwaldem

— wyjaśnia w rozmowie z Andrzejem Skrzypkiem w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" prof. Uniwersytetu Łódzkiego Andrzej Nadolski (nr 29 z 17 lipca 1983 r.). Przede wszystkim o bitwie pod Grunwaldem przypominamy sobie akurat z okazji rocznicy, a mamy teraz wprawdzie 573 rocznicę bitwy, ale za to 40 rocznicę przysięgi Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, która odbyła się 15 lipca 1943 roku, w rocznicę bitwy pod Grunwaldem, 40-lecie Ludowego Wojska Polskiego — stąd i zainteresowanie tamtą bitwą. Prof. Andrzej Nadolski kieruje badaniami wykopaliskowymi na polu bitewnym oraz jest znawcą broni tego okresu. Nasze — tradycją i literaturą uświęcone — spojrzenie na bitwę grunwaldzką wymaga w świetle coraz to nowszych badań krytycznego spojrzenia. Potwierdzają to również poglądy prof. Andrzeja Nadolskiego.

— *„Ilu Krzyżaków było pod Grunwaldem?* — pyta Andrzej Skrzypek.

— *„W całych Prusach było ok. 500 braci zakonnych, pod Grunwaldem nie więcej niż 2/3 tej liczby; zginęło dokładnie 217".*

Co ciekawsze zginęła przede wszystkim starszyzna krzyżacka, natomiast niewielu ze starszyzny rycerskiej wśród wojsk polskich. A. Nadolski uważa, że nieprzypadkowo Władysław Jagiełło przed bitwą przypomniał krzywdy wyrządzone przez Krzyżaków, i dlatego nie dawano im pardonu. Inaczej traktowano rycerzy zakonnych, którzy walczyli tylko po stronie Krzyżaków. Utrzymuje on również, że źródła milczą o piechocie chłopskiej; poza tym bitwy pod Grunwaldem nie należy traktować jako sumy pojedynków rycerskich, ale jako walkę dwóch wojsk dowodzonych — po każdej stronie — przez wodzów.

Prof. A. Nadolski niejednoznacznie ocenia również rezultaty tej bitwy. Istotnie wojska polskie nie zdobyły Malborka, nie przyłączono Prus do Polski, ale też *„społeczeństwo państwa zakonnego jeszcze wówczas nie „dojrzało" do przejęcia pod polskie panowanie".* Poza tym Zakon przestał od 1410 roku zdobywać i zaczął bronić stanu swego posiadania, co też mu się udało.

Na zakończenie rozmowy ciekawostka z innej dziedziny: prof. A. Nadolski ma w domu żywego krokodyla!

Czy rozwiązanie gibraltarskiej zagadki?

Takie pytanie nasuwa się po lekturze 4 odcinka rozważań Olgierda Terleckiego *„Gibraltar — fakty — domysły — wymysły"* w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 29 z 17 lipca 1983 r.). Autor — doskonale zorientowany w temacie — najpierw polemizuje z poglądami innych piszących na ten temat, a następnie przytacza znaną od 1961 roku opinię Bolesława Korpowskiego — byłego pilota bombowców typu Liberator. Uważa on bowiem, że samoloty te, posiadające urządzenie samoczynnego sterowania, jeśli nie zostało ono po lądowaniu właściwie nastawione, nurkowały na dziób, a pilot odnosił wrażenie, że ma zablokowane stery, choć to było niemożliwe. Wszystkie okoliczności startu w Gibraltarze wskazują na to, że tak właśnie było. Bolesław Korpowski sam przeżył w Kairze w 1944 roku podobny wypadek, ale na szczęście zdążył na czas wyłączyć guzik samoczynnego sterowania.

Jeśli Bolesław Korpowski ma rację, to byłoby to logiczne wyjaśnienie katastrofy, w której zginął gen. Władysław Sikorski. Wszelkie kombinacje i posądzenia o spisku upadają. Tym bardziej, że — jak uważa O. Terlecki — wśród Polaków byli tacy, którzy mieli motywy do usunięcia Wodza Naczelnego, ale nie mieli możliwości, Brytyjczycy mieli takie możliwości, ale nie mieli motywów. *„Inne siły w grę wchodzić nie mogą".* Pozostaje więc wyjaśnienie, które proponuje B. Korpowski.

Ale mimo to katastrofa w Gibraltarze nadal będzie budziła sensację i przez to zmuszała do szukania dalszych rozwiązań, niekiedy wręcz fantastycznych.

LUCJAN BOGUSZ

Szkolnictwo wyższe na warsztacie OKK

Odbył swoje kolejne posiedzenie — ostatnie przed wakacyjną przerwą — Obywatelski Klub Konsultacyjny — obradujący zwyczajowo w sali prezydialnej Urzędu Miasta Łodzi. O pracach OKK niejednokrotnie informowaliśmy, ale stale chyba trzeba przypominać, iż jest to ciało społeczne o charakterze opiniodawczym, powołane do życia przeszło rok temu przez grono osób reprezentujących łódzkie środowiska intelektualne.

Prace Klubu zresztą nie mają w założeniu służyć bezpośrednio doraźnej praktyce, mogą jednak (i taka jest ambicja uczestników) stanowić moralną i społeczną inspirację dla kierunków działania władz administracyjnych. Tym razem przedmiotem klubowej dyskusji, której przewodniczył prezes OKK prof. dr **Andrzej Grabski**, były aktualne problemy szkolnictwa wyższego w Polsce, a wprowadzenie do tematu wygłosił dyrektor Instytutu Polityki Naukowej MNSzWiT, prof. dr **Janusz Kruczyński**.

Zastanawiano się m.in. nad konsekwencjami przeobrażeń, które nastąpiły w świecie we wzajemnym stosunku gospodarki i kształcenia kadr. Jeśli bowiem dawniej przywiązywano główną wagę do inwestycji kapitału, jako czynnika rozwoju gospodarczego, to od szeregu lat górę bierze pogląd, iż najbardziej opłacalny gospodarczo jest pieniądz wydany na kształcenie kadr, zarówno dydaktyczno-naukowej dla uczelni, jak i kierowanej wprost do gospodarki. W wielu krajach zresztą w przeciwieństwie do Polski, odbywa się nieustanny przepływ wysoko kwalifikowanej kadry pomiędzy gospodarką a szkolnictwem wyższym, z korzyścią dla obu stron, a przede wszystkim, jeśli idzie o dziedzinę techniki, z korzyścią dla samej kadry.

Dodatkowy niepokój wzbudza u nas powiększająca się stale luka pomiędzy odchodzącą już stopniowo z czynnego życia doświadczoną kadrą samodzielnych pracowników naukowo-dydaktycznych a stosunkowo licznym, lecz po części nie rokującym większych nadziei środowiskiem adiunktów, przed którymi ponadto ani uczelnie, ani gospodarka nie roztaczają obiecujących perspektyw.

Co dalej? Nie ulega wątpliwości, że dzisiejsza sytuacja gospodarcza Polski nie sprzyja długofalowej polityce kadrowej, być może najbardziej celowy okaże się przejściowo rozwój krótkich cykli kształcenia. Niezależnie jednak od aktualnej koniunktury gospodarczej trzeba się będzie zdecydować czy kształcić kadrę ściśle według przewidywanego zapotrzebowania gospodarki (aby każdemu absolwentowi wyższej uczelni zagwarantować pracę zgodną z wykształceniem), czy też zapewnić społeczeństwu — zgodnie z teoretycznym postulatem demokracji socjalistycznej — jak najszerszy dostęp do wyższego wykształcenia, pozostawiając każdemu odpowiedzialność za swoje przyszłe losy. Argumentuje się m.in., że niewydajność dotychczasowego systemu sterowania nauczaniem pod kątem przyszłych miejsc pracy przemawiałaby pośrednio za otworzeniem jak najszerszego dostępu do studiów, w intencji „Kształcenia obywateli państwa socjalistycznego".

Próbowano też ocenić funkcjonowanie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, o której uchwalenie toczyły się w niedawnej przeszłości tak gwałtowne boje i w której widziano remedium na wszelkie bolączki systemu wyższego kształcenia. Dzisiaj ustawa (w zasadniczym swoim kształcie spełniająca postulaty „kontestujących" środowisk uczelnianych) wzbudza jednak sporo wątpliwości, m.in. rozlegają się głosy, że ustawa za bardzo uzależnia organa jednoosobowe od ciał kolegialnych i że odbija się to ujemnie na procesach decyzyjnych (m.in. w sprawach kadrowych) i na organizacyjnej sprawności uczelni. Ale nawet oponenci ustawy uważają (a w każdym razie znaczna ich część), że bez względu na swoje niedoskonałości ustawa nie powinna być pochopnie rewidowana, lecz funkcjonować przez dłuższy czas w obecnym kształcie, zanim sytuacja nie dojrzeje do rozważnych decyzji.

Spraw szczegółowych, związanych z głównym tematem było jeszcze wiele i — jak zwykle w OKK — wzbudzały one otwarte dyskusje. I choć nie doszło tym razem do żadnych wspólnych ustaleń, większość uczestników miała chyba poczucie, że w tym zbiorowym rozpoznawaniu tak istotnej dla kraju problematyki każdy miał jakiś swój udział i każdy wyszedł z jakimś nowym przemyśleniem.

I taka jest przecież rola tego społecznego gremium, choć oczywiście byłoby wielce pożądane, żeby to autentyczne ognisko ruchu umysłowego promieniowało w szerszym niż dotychczas zasięgu.

J. K.

Minął tydzień

PŁONĄ LASY

Spadło trochę deszczu. Nie zmieniło to jednak sytuacji w wielu rejonach kraju. Nadal jest sucho. Susza zagraża nie tylko rolnictwu, ale też lasom. Zagraża zbiorom siana. Nieuwaga jest przyczyną pożarów domów czy stodół. Gospodarstwa indywidualne najczęściej paliły się w województwach: kieleckim, konińskim, siedleckim, włocławskim i częstochowskim. W niektórych rejonach kraju został zabroniony wstęp do lasów. Ale czy zakaz ten jest przestrzegany? Liczba pożarów zbliża się już do 500 w ciągu dnia.

NARKOMANIA CORAZ GROŹNIEJSZA

Coraz więcej ludzi — w tym młodych — sięga po narkotyki. Dokładne ustalenie, ilu ludzi zagrożonych jest nałogiem, jest praktycznie niemożliwe. Ludzie zwalczający narkomanię posługują się danymi szacunkowymi. Na przykład według danych MONARU około 150 tysięcy osób wymaga już leczenia specjalistycznego. Najbardziej narkomanią zagrożona jest młodzież ze środowisk wielkomiejskich, ale nie jest to reguła. MONAR utrzymuje, że liczba narkomanów przypadających na 10 tysięcy młodzieży jest najwyższa — bo wynosi 49 — w województwie łódzkim i ostrołęckim, natomiast powyżej 20 jest w województwach: elbląskim, wrocławskim i lubelskim.

W Warszawie i województwie stołecznym — jak utrzymuje tamtejsza milicja — w ciągu tego roku przybyło 142 narkomanów oraz było 16 śmiertelnych ofiar używania narkotyków. Notuje się też nowe zjawisko — pojawili się handlarze narkotyków. Do tej pory rozprowadzaniem narkotyków zajmowali się sami narkomani. Obecnie pojawili się ludzie nie zażywający narkotyków, którzy na tej społecznej biedzie dorabiają się wielkich majątków. Warszawska milicja tylko w pierwszym półroczu 1983 roku zlikwidowała 32 punkty produkcji narkotyków.

WŁOSI NIE CHCIELI MUZYKI

W ubiegłym tygodniu niespodziewanie powróciła z Włoch Filharmonia Narodowa. Odbył się tylko jeden koncert, a miało być 10. Dlaczego? Jak do tej pory nikt nie potrafił tego wytłumaczyć. Podobno organizatorzy w Rzymie i Neapolu zrezygnowali z koncertów Filharmonii Narodowej w Warszawie, a przez to i inne koncerty stały się niemożliwe. „Pagart" utrzymuje, że włoski impresario — choć to firma młoda, ale już z sukcesami — był w pełni godny zaufania. A mimo to tournée włoskie nie udało się. Czyżby Włosi przestali kochać muzykę? Aż nie chce się w to wierzyć. Jakie więc inne mogły być powody?

DOLOMIT W KAŻDYM DOMU

Prof. Julian Aleksandrowicz uważa, że w każdym polskim domu obok solniczki z solą powinien stać taki sam pojemniczek z dolomitem. Nasze organizmy potrzebują magnezu lub soli wapniowych magnezu. Potrzebuje ich również ziemia. Ocenia się, że nawozów wapniowo-magnezowych potrzeba 4,2 miliona ton, a tymczasem w Siewierzu dolomit — który zawiera te niezbędne związki — wędruje na hałdy.

Podobnie ma się sprawa z wprowadzeniem dolomitu do naszych jadłospisów. Próbowano robić chleb z dolomitem, chciano, aby dolomit dodawano do cukierków. Ale oficjalne czynniki odpowiadające za wszelkie receptury i przepisy ciągle nie mają pewności, czy jest to ze wszech miar bezpieczne, choć nie kwestionują potrzeby wzbogacania naszych organizmów w magnez.

WOJNA O PIWO

Gorąco, pić się chce, a napojów orzeźwiających mało. Do godziny 13 nie można kupić piwa, bo napój ten uznano za alkohol, choć w piwie alkoholu może być do 4,5 procent. Stąd browary pełne piwa, powoli wyhamowują produkcję, a żeby się napić piwa, trzeba organizować całe wyprawy. Coraz mniej sklepów i restauracji „prowadzi piwo", próby wprowadzenia piwa spotykają się na ogół ze sprzeciwami okolicznych mieszkańców, bo i kultury picia piwa u nas nie ma. A z drugiej strony rośnie... spekulacja piwem. Oto pokątni sprzedawcy piwa już od świtu pojawiają się przed hutami i kopalniami na Śląsku oraz na plażach, bazarach i w pociągach na Wybrzeżu.

W tej sytuacji ministrowie rolnictwa i finansów zwrócili się do wicepremiera J. Obodowskiego o zmianę zasad sprzedaży piwa. I słusznie!

KONIEC PLAŻY NUDYSTÓW

W. Uchman doniósł z żalem w „Expressie Ilustrowanym", że „tajna" do niedawna plaża nudystów w Łdzaniu przestała istnieć. Golasów przegnali okoliczni chłopi. Wieś mamy zdrową moralnie, która nie „pozwoli na demoralizację i zareaguje", jak będzie trzeba. Przy pomocy sztachet i kłonic. Prezes łódzkich naturystów zawiadamiał wszystkich członków towarzystwa, aby do Łdzania nie jeździli, bo mogą oberwać od rozeźlonych chłopów. Ale, gdzie teraz naturyści zaryzykują sobie drugą tajną plażę? Ot, i dylemat!

KRONIKA TOWARZYSKA

— Eryk Lipiński skończył 75 lat. W „Szpilkach" jubileuszowa wystawa, wywiady w radio, telewizji i prasie. Jubilat w znakomitej formie, co tylko wskazuje, że kto ma poczucie humoru, żyje dłużej i zdrowiej. Sto lat zatem!!!

A. B. SEKATOR

W najbliższych numerach:

- CZY GENIALNY WYNALAZCA POTRZEBNY JEST NASZEJ GOSPODARCE!
- „CYTADELA" ZAWALIŁA SIĘ POD KURSKIEM
- SPÓR NIE TYLKO O KAWĘ
- W OCZEKIWANIU NA TALENTY — REPORTAŻ Z EGZAMINÓW W ŁÓDZKIEJ SZKOLE FILMOWEJ
- ROZMOWY Z WALDEMAREM MARSZAŁKIEM I WŁADYSŁAWEM ŻMUDĄ O SPORCIE
- „SREBRNA" AFERA
- MIESZCZUCH W SPALE I NAD MORZEM
- JAK PODRÓŻUJEMY LATEM! — FOTOREPORTAŻ
- UTOPIĆ SIĘ MOŻNA I PO POŁUDNIU

NR 30 (1321) XXVI 23 LIPCA 1983 R.

Łódzka inicjatywa

Minęło 20 lat od czasu, gdy w Łodzi zrodziła się i rozwinęła koncepcja pozasądowej, społecznej działalności pojednawczej w sprawach sporów i konfliktów powstających na tle sąsiedzkiego współżycia. Koncepcja ta nie została wymyślona za biurkiem, lecz powstała z potrzeby społecznej. Kształtowała się na podstawie pierwszych, konkretnych doświadczeń zrodzonych już w latach pięćdziesiątych w łódzkich dzielnicach Górna i Śródmieście. W tych to dzielnicach utworzono samorzutnie, przy ówczesnych komitetach blokowych kilkuosobowe zespoły stawiające sobie za cel likwidowanie sąsiedzkich sporów między mieszkańcami bloku.

RODOWÓD I USTAWA

Pozytywne rezultaty osiągane w tych zespołach spotkały się z zainteresowaniem, uznaniem i poparciem ze strony Komitetu Łódzkiego PZPR, a w szczególności ówczesnego I sekretarza KŁ tow. Michaliny Tatarkówny. Stały się one sygnałem i bodźcem do głębszych przemyśleń i do ujęcia tej inicjatywy w ramy organizacyjne. W uchwale IX Łódzkiej Konferencji Partyjnej z kwietnia 1962 r. znalazł się konkretny postulat powołania w całej Łodzi, przy komitetach blokowych komisji społecznego rozjemstwa. W ciągu następnych trzech miesięcy grupa łódzkich działaczy Frontu Jedności Narodu opracowała regulamin wzorcowy takich komisji, które nazwano społecznymi komisjami pojednawczymi. Regulamin ten został zaaprobowany przez Łódzki Komitet FJN. Odegrał on poważną rolę przy upowszechnianiu SKP nie tylko w Łodzi i dawnym województwie łódzkim. Był także wykorzystywany w okresie eksperymentalnym, tj. przedustawowym (1962—1965) w wielu innych miastach i województwach. Od października 1962 SKP w Łodzi rozpoczęły działalność w skali miasta zdobywając sobie bardzo szybko poważny autorytet w oczach ludności oraz budząc coraz żywsze zainteresowanie w całym kraju zarówno ze strony praktyków — działaczy społecznych, jak i przedstawicieli nauki, prawa oraz publicystyki. Stworzyło to korzystny klimat wokół sprawy rozwoju SKP i nadania im podstaw prawnych sprzyjających dalszej działalności.

W tych warunkach w 1965 roku wniesiony został do Sejmu z inicjatywy poselskiej projekt ustawy, przewidujący jako formę sądownictwa społecznego w miejscu zamieszkania społeczne komisje pojednawcze oparte o model wypracowany i sprawdzany po raz pierwszy w Łodzi. Wniesienie projektu ustawy pod którym złożyło podpisy 48 posłów — działaczy politycznych i społecznych, poprzedziły ożywione dyskusje. Toczyły się one w różnych środowiskach zarówno prawniczych, jak i działaczy FJN oraz związkowych. Po wniesieniu projektu ustawy dyskusje przeniosły się na forum poselskich komisji wymiaru sprawiedliwości i spraw wewnętrznych oraz na plenum Sejmu.

Uchwalona 30 marca 1965 r. ustawa o sądach społecznych nie była więc wynikiem teoretycznych jedynie spekulacji, ani przeniesieniem na nasz grunt gotowych zagranicznych wzorów. Dotyczy to w szczególności przyjętego w niej polskiego modelu społecznej komisji pojednawczej według oryginalnej koncepcji zrodzonej i wypróbowanej w praktyce łódzkich komitetów blokowych, a utrwalonej w regulaminie wzorcowym opracowanym w 1962 r. przez grupę łódzkich działaczy.

Dzięki temu zwyciężyła i znalazła wyraz w ustawie koncepcja społecznych komisji pojednawczych, jako organów samorządu społecznego powoływanych z inicjatywy środowiska w miejscu zamieszkania. Jak to wielokrotnie podkreślano w toku debaty sejmowej, a następnie w wydawanych w oparciu o ustawę wytycznych OK FJN w sprawie zasad organizacji i działania SKP, powinny one stanowić komórki pracy wychowawczej zachowując samodzielność, niezależność i odrębność w stosunku do organów sądownictwa państwowego, kolegiów do spraw wykroczeń oraz administracji. Pod wpływem głosów przestrzegających, aby nie dopuścić do przekształcenia SKP w organy quasi-sądowe o charakterze represyjnym podkreślona została w ustawie zasada dobrowolności, obowiązująca zarówno przy powoływaniu SKP, jak i w całym postępowaniu przed nimi.

Niezależnie od tego, że ustawa wyposażyła sądy społeczne jedynie w środki oddziaływania wychowawczego — w ścisłym tego słowa znaczeniu — rezygnując ze środków, których charakter mógłby przypominać kary stosowane przez sądy i kolegia do spraw wykroczeń np. grzywnę, wyeliminowano z pierwotnego tekstu projektu wszystko co w postępowaniu przed SKP mogło chociażby zewnętrznie kojarzyć się z procedurą sądową. Nie ma więc w ustawie takich terminów jak: przestępstwo, wykroczenie, kara, wyrok, oskarżony i podobnych.

GŁÓWNY CEL: POJEDNANIE

Zgodnie z przyjętą generalną koncepcją i wyraźnym wskazaniem ustawy społeczne komisje pojednawcze przy załatwianiu zatargów i sporów powinny dążyć przede wszystkim do pojednania stron. W praktyce ten kierunek mediacyjny stał się od początku dominującym. Wiąże się to ściśle z samym charakterem spraw, jakie trafiają do komisji. Spory te dotyczą bowiem konfliktów powstałych między sąsiadami. Chociaż przybierają one najczęściej postać kłótni, którym towarzyszą obrazy, zniesławienia i obelgi, to jednak jest to tylko zewnętrzna, najbardziej spektakularna strona konfliktów. Natomiast istotne przyczyny i ich źródła mają z reguły konkretne podłoże, bardzo często materialne w postaci nie uregulowanych lub nadmiernie zawikłanych stosunków własnościowych, mieszkaniowych, rodzinnych i innych.

W wielu tych sprawach jest możliwe doprowadzenie do pojednania między zwaśnionymi stronami pod warunkiem prawidłowego ułożenia tych stosunków. Dużo zależy tu od mądrej mediacji ze strony cieszącego się autorytetem przewodniczącego SKP od jego umiejętności przekonania stron o tym, że trwała zgoda stanowi wartość nieporównanie większą, cenniejszą niż wygranie procesu sądowego przez jedną ze stron uczestniczących w sporze. Bardzo często bowiem taki wygrany proces stanowi zarzewie i okazję do nowych, niekończących się konfliktów i kolejnych spraw sądowych. W tych warunkach zapotrzebowanie na społeczną działalność mediacyjna nie może budzić wątpliwości.

W pracy SKP dużą rolę spełnia przepis ustawy, który przewiduje, że pojednanie stron może nastąpić także przez zawarcie ugody określającej ich wzajemne prawa i obowiązki. Na tej podstawie rozwinęła się bardzo bogata i ciekawa praktyka społecznych komisji pojednawczych. Wiele z nich wypracowało sobie w ciągu lat własne, przystosowane do lokalnych warunków i zwyczajów, metody działania. Zawierane ugody są najczęściej na piśmie i potwierdzane podpisami stron oraz przewodniczącego i członków SKP. Tego rodzaju forma ugód przy jak najbardziej jednoznacznej, niesformalizowanej i zrozumiałej treści, sprzyja następnie wykonywaniu dobrowolnie przyjętych warunków oraz przyczynia się do zapewnienia trwałości pojednań. Likwidacja konfliktu i osiągnięcie zgody dochodzi do skutku przeważnie w drodze wzajemnych ustępstw oraz przyjęcia określonych zobowiązań. Dotyczą one bądź przestrzegania na przyszłość pewnych zasad postępowania i zachowania się w stosunkach pomiędzy stronami, bądź też konkretnych świadczeń wzajemnych lub jednostronnych, np. w formie wynagrodzenia wyrządzonej szkody. W praktyce wykonanie ugód zawartych przed SKP w ogromnej większości wypadków następuje dobrowolnie. Poważną rolę odgrywa tu autorytet moralny, SKP oraz nacisk opinii publicznej środowiska w którym działa komisja.

Działając na zasadzie dobrowolności SKP nie mogą jednak zamykać obywatelowi przysługującej mu drogi dochodzenia roszczeń, pretensji i praw przed sądem lub innym powołanym do rozstrzygnięcia danego rodzaju spraw organem państwowym. Są one natomiast formą samopomocy, służby społecznej na rzecz własnego, najbliższego środowiska. Są swego rodzaju ochotniczym pogotowiem społecznym czuwającym na dole, w osiedlu miejskim czy wsi, po to, aby zapobiegać konfliktom, aby gasić je już w zarodku, gdy są one jeszcze drobne i stosunkowo błahe, aby nie przeradzały się w wielkie spory, rozpalające nienawiść między ludźmi, prowadzące do groźnych następstw, a nawet przestępstw.

SKP potrafią wypełniać te zadania, jeżeli zarówno w oczach środowiska, jak i przez czynniki zewnętrzne, administrację traktowane są jako niezależne organy samorządu mieszkańców. Pomaga im to dostosowywać formy i metody działania do konkretnej sytuacji i warunków, w jakich pracują, a nawet do osobistych cech charakteru i właściwości stron. Chodzi bowiem o wybór takiej metody postępowania, która zapewnia największe możliwości doprowadzenia zwaśnionych stron do trwałego pojednania i zgody.

Taki jest zasadniczy, główny cel SKP i temu celowi należy umiejętnie podporządkować formy organizacyjne i metody ich pracy.

SZERSZE ZNACZENIE DOŚWIADCZEŃ SKP W PROCESIE PRZEZWYCIĘŻANIA KRYZYSU

W ciągu 20 lat, jakie upłynęły od rozpoczęcia przez pierwsze łódzkie SKP zorganizowanej stałej działalności, ruch ten przeszedł długą drogę gromadząc doświadczenie, wykazując się osiągnięciami, ale i ulegając trudnościom i regresom. Nie zawsze i nie wszędzie była to więc droga prosta i łatwa.

Występujące w całym naszym życiu, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych, szersze negatywne zjawiska w postaci tendencji do etatyzacji, a co za tym idzie i biurokratyzacji działalności organizacji społecznych, rosnąca dominacja czynnika administracyjnego nad organami przedstawicielskimi i inicjatywami obywatelskimi — prowadziły do narastania elementów fasadowości, pozorności i dekoracyjności, które zaczynały górować nad rzeczowością i efektywnością.

Wpływało to również w sposób niekorzystny na pracę SKP, nie sprzyjało docenianiu ich roli jako organów samorządu mieszkańców, wzmagało trudności w budowaniu potrzebnego im autorytetu. Z drugiej strony fala szerokiej, generalizującej krytyki w stosunku do wszystkich struktur związanych z istniejącym systemem politycznym, jaka przewaliła się przez nasz kraj w latach 1980—1981, nie oszczędziła również komitetów FJN, które od samego początku udzielały opieki i stanowiły oparcie dla SKP. Spowodowało to w wielu terenach osłabienie aktywności SKP, wyrażające się m.in. w spadku ilości spraw wnoszonych do nich zarówno przez organy państwowe, jak i przez samych obywateli. Nie wolno zamykać oczu również na te zjawiska i to nawet w chwilach uroczystych rocznic i jubileuszów. Trzeba uważnie analizować ich przyczyny i źródła po to, aby znaleźć drogi i środki naprawy występujących braków i słabości.

Jest to szczególnie ważne w okresie jaki obecnie przeżywamy, gdy staje przed nami zadanie przezwyciężenia głębokiego kryzysu przede wszystkim moralno-politycznego z wszystkimi towarzyszącymi mu napięciami i konfliktami międzyludzkimi na tle piętrzących się trudności, rozczarowań i frustracji, w jakie obfituje nasze życie codzienne.

W tej sytuacji rośnie potrzeba uruchamiania i rozwijania wszystkich wypróbowanych już i skutecznych form mediacji społecznej. I to zarówno w skali jak najbardziej lokalnej w celu łagodzenia i rozwiązywania konfliktów sąsiedzkich w miejscu zamieszkania, jak i w szerszej skali ogólnokrajowej, całych środowisk zawodowych, warstw i grup społecznych w celu budowy pojednania i porozumienia narodowego.

Dlatego warto sięgając do źródeł i początków ruchu SKP w jego pierwotnych formach przypomnieć ich dobre doświadczenia służące sprawie doprowadzenia zwaśnionych stron do rozmów przy wspólnym stole i osiągnięcia UGODY W DRODZE wytrwałej perswazji i mediacji. Zasługują one na uwagę i wykorzystanie w konfliktach występujących na różnych szczeblach władzy i administracji.

Zapoczątkowana udanym doświadczeniem łódzkim sprzed 20 lat, długoletnia praca SKP w służbie społeczeństwa, jej wymierne wyniki w postaci dziesiątków tysięcy zlikwidowanych bądź złagodzonych konfliktów międzyludzkich, to wielki i trwały dorobek. Nie wolno o nim zapominać, a tym bardziej go zmarnować. Trzeba w nowej sytuacji zapewnić SKP opiekę i pomoc zwłaszcza ze strony rad narodowych, zobowiązanych do tego z mocy ustawy. Partia i wszystkie siły polityczne powinny sprzyjać rozwojowi samorządnego charakteru SKP opartego na bezinteresownej, ofiarnej pracy i obywatelskiej trosce ludzi dobrej woli, dla których sprawa społecznego pojednawstwa stała się ich życiową potrzebą i osobistą pasją.

Prof. Marian Rybicki był przewodniczącym Zespołu do spraw Społecznych Komisji Pojednawczych przy OK FJN

MARIAN RYBICKI

Rodowód, dorobek i co dalej?

Obywatelski kształt patriotyzmu

Dokończenie ze strony 1

raz nachodzą go górne myśli: „Jak bym skrzyknął naszych chłopaków, to byśmy tamtym dali popalić i od razu wiedzieliby z kim mają do czynienia!"

Zdawałoby się jednak, że to wspaniałe narodowe samopoczucie gwarantuje przynajmniej gotowość do działań dla pomyślności współziomków. Co do mnie jednak, to z każdym rokiem, każdym dziesiątkiem lat utwierdzam się w przekonaniu, że nasz patriotyzm, w tej emocjonalnej postaci, w jakiej się potocznie przejawia, nie stanowi wartości bezwzględnie pozytywnej, i nie da się tak łatwo przekuć w codzienny obywatelski obowiązek wobec społeczeństwa i państwa.

ŚWIĘTA NIENAWIŚĆ

Jest to bowiem często postawa wygodna i asekurancka, mniej lub bardziej zakłamana, która wobec każdych społecznych wymagań i na każdy obywatelski apel ma pod ręką gotowe usprawiedliwienie, które w leniwym strumieniu półświadomości formuje się mniej więcej następująco: „Niech mi tylko ktoś spróbuje zarzucić, że jestem zły Polak. No, może nie zabijam się robotą, a jak mi coś samo w ręce wejdzie, to wezmę, bo człowiek nie jest głupi i o sobie umie myśleć, ale patriota ze mnie szczery i mało kto jak ja nienawidzi z całej duszy tych i tych (tu dłuższa lub krótsza lista znienawidzonych nacji). I czego wy jeszcze ode mnie chcecie. Niech tylko każdy myśli i czuje jak ja, a już będzie dobrze!"

Zmierzam do tego, iż wejście na drogę uczciwego spełniania powinności obywatelskich utrudnia niejednemu ów jednostronnie pojmowany, kaleki patriotyzm, który za swoje powołanie uważa podtrzymywanie w sobie i w innych nienawiści do domniemanych (nie zaś rzeczywistych) zewnętrznych wrogów, zagrażających rzekomo pomyślności narodu i państwa. A przy tym jest to wygodne życiowo, zwalnia bowiem moralnie, czyli przy „zachowaniu twarzy" od ciężkiego i nie najlepiej opłacanego obowiązku uczciwej pracy na co dzień, rozgrzesza z obojętnego lub pogardliwego traktowania różnego rodzaju „interesantów", klientów i pacjentów oraz innych ludzi zależnych.

Ale spróbujcie odmówić prawa nazywania się patriotą choćby komuś z tych tysięcy, co korzystają w sile wieku i kwitnącym zdrowiu z renty chorobowej, wykonujących najcięższe prace fizyczne na zamówienie innych lub na swoim. Spróbujcie też zakwestionować patriotyzm tych, co im te nieusprawiedliwione ulgi (chyba niebezinteresownie) załatwili, obarczając pracujące społeczeństwo ciężarem finansowania nierobów. Oburzą się szczerze: „Jesteśmy patriotami" i powołają sie na argument, iż trwają w stałym pogotowiu świętej nienawiści, z wszystkiego więc są rozgrzeszeni.

Uważam, że w socjalistycznym państwie nie do utrzymania jest ten anachroniczny, nacjonalistyczny model wychowania patriotycznego, oparty wyłącznie na historycznych tradycjach walki zbrojnej, na bezkrytycznej apoteozie wszelkich zrywów narodowych bez względu na to, czy służyły wyzwalaniu się społecznemu podstawowych mas narodu, czy też umacnianiu pozycji wąziutkiej warstwy panującej. Trudno bowiem wyobrazić sobie wypełnianie z przekonaniem powinności obywatelskich czy dobrowolny udział w różnych formach działalności społecznej bez wewnętrznej akceptacji podstawowych, a więc klasowych założeń ustrojowych.

NARODOWE I SPOŁECZNE

Niemałą rolę w niedostatkach świadomości społecznej odgrywają zaniedbania w podstawowych kategoriach myślenia o narodzie i państwie. Przejawem zupełnej w tej dziedzinie dowolności, utrzymującej się od lat i siejącej zamęt, jest wymienne używanie pojęć narodu i społeczeństwa. Z faktu, iż na skutek zmian terytorialnych powojenne państwo polskie stało się narodowo niemal jednolite, i że wskutek tego na społeczeństwo polskie składają się w praktyce niemal wyłącznie Polacy, nie wynika wcale, iż państwo socjalistyczne jest w założeniu państwem narodowym, i że tylko ludzie narodowości polskiej powinni być pełnoprawnymi obywatelami (jak to się nieraz słyszy).

Nie wolno więc z faktu posiadania jednonarodowego państwa wyprowadzać wniosku, że problematyka narodowa i społeczna są identyczne. Używanie zaś nagminne pojęcia naród zamiast społeczeństwo wyrugowało ze świadomości fakt, iż społeczeństwo jest kategorią społeczno-ekonomiczną i podlega określonym (m. in. klasowym) prawom rozwoju, odmiennym od czynników (m. in. świadomości) kształtujących historycznie naród. Utożsamianie w umysłach ludzi dziejów społeczeństwa z dziejami narodu przyczyniło się do utraty z pola widzenia mechanizmów klasowych. I zapewne o to chodziło przedsierpniowej ekipie. I dlatego też niejeden nasz współczesny patriota, nawet wysoko utytułowany naukowo, porusza się dziś po obszarach pojęć społeczno-politycznych jak lunatyk.

Oczywiście, że rozwojowi poczucia obywatelskiego i postawie sumiennej pracy nie sprzyja też niska jej opłacalność na państwowym garnuszku w porównaniu z innymi sektorami, hamująco działa także opieszałość i niekonsekwencja we wprowadzaniu w życie reformy gospodarczej, na którą chcemy liczyć, iż zrealizuje powszechnie zasadę pracy sprawiedliwie wynagradzanej. To zresztą temat odrębny, poruszenie którego wymaga określonych kompetencji.

* * *

Chodzi mi głównie o to, że współczesny kształt patriotyzmu w państwie socjalistycznym jest tożsamy z aktywną postawą obywatelską i wypełnianiem wynikających z niej powinności. Ale także i o to, że nacjonalizm, zwłaszcza w postaci brutalnego szowinizmu, nakierowując zbiorowe emocje w stronę fikcyjnych zagrożeń, jest tym samym sprzeczny z żywotnymi interesami narodu i państwa, te bowiem wymagają rzeczowych i przyjaznych, harmonijnych stosunków z socjalistycznymi partnerami. Może więc warto przypomnieć słowa zamordowanego przez hitlerowców przed 40 laty przywódcy Komunistycznej Partii Niemiec, Ernsta Thaelmanna, wypowiedziane wprawdzie w innym czasie i miejscu, w całkiem odmiennej sytuacji, które nie straciły jednak nic ze swej uniwersalnej aktualności: „Największym wrogiem każdego narodu jest jego własny nacjonalizm!"

Jest to także degeneracja pięknego, opartego na uczuciu miłości patriotyzmu, usposabiającego do postaw obywatelskich, patriotyzmu, którego konstruktywna funkcja społeczna jeszcze się u nas chyba nie ujawniła w całej rozciągłości.

JERZY KWIECIŃSKI

Lipiec 1944 we wspomnieniach

Na początku 1964 roku WANDA WASILEWSKA odpowiadała na szereg pytań pracowników Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Jej wypowiedzi zostały nagrane na taśmę magnetofonową, przepisane i wstępnie opracowane. Wanda Wasilewska nie zdążyła tego autoryzować, gdyż zmarła niespodziewanie 29 lipca 1964 roku. Tekst jej wypowiedzi opracowano w Zakładzie Historii Partii przy KC PZPR i opublikowano w VII tomie Archiwum Ruchu Robotniczego w 1982 roku. Wybraliśmy z tych wspomnień te fragmenty, które wiążą się z wyzwoleniem Polski w 1944 roku, powstaniem PKWN, decyzja Wandy Wasilewskiej pozostania w ZSRR. Śródtytuły pochodzą od redakcji „Odgłosów".

W mundurze pułkownika Armii Czerwonej, podczas redagowania gazety dla partyzantów.

DELEGACJA KRN W MOSKWIE

(...) kiedy przyjechała delegacja KRN, rząd emigracyjny nie wchodził w ogóle w rachubę. Może koncepcje pewnych porozumień z Mikołajczykiem czy z częścią rządu. Nie wiem, jak wyglądały pertraktacje z Anglikami na drodze dyplomatycznej. Ze wszystkich tych rozmów, które były później, absolutnie nie pamiętam innego stanowiska jak to, że my, emigracja w Związku Radzieckim, nareszcie dobrnęliśmy do momentu, w którym jesteśmy w pierwszym naszym punkcie docelowym, tzn. że nasze wysiłki zostały przekazane prawdziwej, jedynej uznawanej przez nas reprezentacji Polski, tzn. KRN.

Pamiętam ich ze spotkań na Kremlu, byli też u mnie w domu. Rozmawialiśmy ze sobą dosyć dużo. Przed wojną poza Osóbką nikogo z nich osobiście nie znałam. Przypominam sobie, że nas trochę dziwiła wtedy młodość i temperament Sidora. Raczej traktowaliśmy go trochę jako młodzieżowca, który się do tej delegacji przyczepił, tzn., że to nie jest ta ranga.

Poza tym trudno mi będzie pewne rzeczy odtworzyć dlatego, że byliśmy wówczas w stadium entuzjazmu i radości, że oni w ogóle przyjechali. Z rozmów nic nie pamiętam poza sprawami zasadniczymi. Przypominam sobie, że jeśli chodzi o Spychalskiego, a właściwie i innych, to oni sobie armię przedstawiali zupełnie inaczej, tzn. dla nich było to przyjemne zaskoczenie.

Stan i zasięg ZPP też był dla nich dużą niespodzianką. Oni sobie niedokładnie zdawali sprawę z rozmiarów tej pracy, która była prowadzona na terenie ZSRR, i z wyników tej pracy, a przede wszystkim z jej rozmachu i siły.

(...) KRN do przyjazdu delegacji była wartością niezupełnie wiadomą. W gruncie rzeczy nasze wiadomości z kraju przez cały czas były bardzo nie kompletne, bardzo dorywcze. Pomimo starań, kontakty te zrywały się i np. od listopada 1943 do lutego 1944 w ogóle nie było żadnych wiadomości, nie było możliwości skomunikowania się. Dla rządu radzieckiego, jako coś całkiem wyraźnego, jasnego, KRN zaistniała od momentu, kiedy w maju 1944 przyjechała delegacja KRN, kiedy można było zadawać pytania i kiedy można było sobie pewne sprawy wyjaśnić.

W Barwisze był dom, który mnie osobiście dano w pewnym momencie. Korzystałam z niego wielokrotnie, odbywałam tam rozmowy z towarzyszami. Dom był domem moim, ale faktycznie to był dom ZPP. Kiedy np. przyjeżdżali towarzysze do armii, towarzysze z więzień, kiedy przyjeżdżali niektórzy odnalezieni komuniści, tam się ich posyłało na wypoczynek zanim przystępowali do pracy. Przed przyjazdem delegacji KRN dom ten całkowicie opróżniono i zawiozłam tam delegatów. Oni przecież nie mieli żadnych dokumentów, a to był okres wojenny, więc za każdym razem, kiedy oni jechali z Barwichy na rozmowy do Moskwy, jeździłam po nich przywoziłam ich i odwoziłam, tzn. stanowiłam dla nich zbiorową przepustkę i do Moskwy, i na Kreml.

W LUBLINIE

(...) Byłam kilka razy w Lublinie. Pierwszy raz podczas uchwalania reformy rolnej. Był wtedy Chruszczow i podpisano umowę o repatriacji. Przy czym na Ukrainę — nie wiem jak było na Białorusi — szybko przyjechał przedstawiciel PUR, którym był wówczas Wolski. Z repatriacją z Litwy było najtrudniej, tam te sprawy szły bardzo opornie, i to dwustronnie. O ile na Ukrainie i na Białorusi był duży pęd do repatriacji, choć wink londyński był taki, żeby nie bardzo się ewakuować, to w Wilnie był niezbyt duży nacisk samych Polaków na wyjazd z Polski, a po drugie były duże trudności i opory ze strony władz litewskich. Pamiętam, że w sprawie repatriacji na Litwie musiałam wielokrotnie interweniować w Moskwie, bo tam się niegładko to układało i jednak w ostatecznym efekcie najwięcej Polaków zostało właśnie tam.

Na Ukrainie przez pewien czas tak było, że wyjeżdżał każdy, kto chciał, jeżeli tylko powiedział, że jest Polakiem. Nawet nie bardzo sprawdzano papiery. Wyjechało sporo ludzi, którzy nigdy nie byli obywatelami Polski. A więc na Ukrainie władza radziecka bardzo szła na rękę repatriacji. Repatriacja z Ukrainy zaczęła się prawie natychmiast, zaraz po podpisaniu umowy. Przyjechał Antoni Wolski i repatriacja odbywała się masowo.

(...) Bardzo szybko po wejściu do Lublina w kinie odbył się duży wiec, na którym przemawiali i towarzysze radzieccy. Siedzieliśmy przy stole prezydialnym i dano nam napisany na maszynie porządek dzienny wiecu. W pewnym momencie Korniejczuk podsunął mi swój karteluszek, na którym było napisane: przemawia Korniejczuk, a w nawiasie — za oklaski odpowiedzialna młodzież; przemawia ów — za oklaski odpowiedzialne związki zawodowe itd. Po prostu organizatorzy pomylili się i do prezydium dali nie ten tekst. Potem przy różnych okazjach z mężem przypominaliśmy to sobie — a kto będzie odpowiadał za oklaski.

Wiec ten miał miejsce przed uchwaleniem reformy rolnej, w pierwszych dniach po wyzwoleniu Lublina, bo było zaraz po pogrzebie trupów znalezionych na Zamku.

Pamiętam również jakiś przyjazd do Lublina, kiedy w Lublinie była już szkoła partyjna. Zaproszono mnie wówczas do tej szkoły, gdzie występowałam w dużym zbiegowisku. To był chyba czwarty mój przyjazd. W szkole spotkałam się z Marylą Eiger (Marią Kamińską). Ale z jakiej okazji pojechałam wtedy nie pamiętam.

REFORMA ROLNA

(...) Projekt reformy rolnej był bardzo szeroko omawiany nie tylko w naszych kołach, ale konsultowaliśmy się w tej sprawie ze Stalinem i on się tymi sprawami interesował. Stalin wniósł poprawkę dotyczącą nacjonalizacji dóbr kościelnych. Zwrócił uwagę na to, że w katolickiej Polsce konfiskata dóbr kościelnych może wywołać duże oburzenie i nie należy od tego zaczynać. Pamiętam, że stanowisko Stalina odnośnie ziem poklasztornych i dóbr kościelnych bardzo nas zaskoczyło, bo ja wcale nie wiem czy w sytuacji, kiedy polski kler uważał, że z chwilą przyjścia Czerwonej Armii wezmą go za gardło i w ogóle, to czy ograniczenie własności kościelnej wywołałoby wstrząs i taki protest.

Potem odbyła się u Stalina długa rozmowa na temat, jaki obszar ziemi zostawić jako minimum, przy czym tu natrafiliśmy na duże trudności. Pamiętam nawet, że Minc dawał bardzo szczegółowe wyjaśnienia Stalinowi na temat różnic w strukturze ziem różnych obszarów: na zachodzie, w centrum, w Poznańskiem itd. Dowodził, że nie można stosować sztywnych norm obowiązujących w odniesieniu do całego kraju dlatego, że mórg ziemi, przypuśćmy, pod Proszowicami a pod Otwockiem to jest zupełnie co innego. Więc na to trzeba zwrócić uwagę. Przy tej okazji wypłynęła sprawa lasów, potem sprawa „ziem poniemieckich", co do ilości których nawet Stalin nie był dokładnie poinformowany. Dzięki agitacji i propagandzie radzieccy towarzysze uważali, że tych „poniemieszczyków" było w Polsce o wiele więcej niż ich było naprawdę, że te ziemiańskie obszarnicze majątki były o wiele większe, niż one były w rzeczywistości. Jednym słowem, wyobrażali sobie, że ziemi wolnej w Polsce było o wiele więcej, niż jej było w rzeczywistości. Pamiętam, że Minc jako jeden z przykładów podał Rzeszowskie, gdzie przeważały drobne, i to bardzo drobne gospodarstwa chłopskie, gdzie majątków ziemskich, które mogłyby tę sprawę rozwiązać, wiele nie było. Wiem, że na temat reformy rolnej była na pewno niejedna rozmowa ze Stalinem, bo najpierw omawiano sprawy ogólnie, a potem bardzo szczegółowo i drobiazgowo na podstawie pewnego materiału, który przynosiliśmy ze sobą.

Między projektem moskiewskim a projektem lubelskim były pewne różnice, dotyczące bardziej drobiazgowego rozpracowania, ale nie przypominam sobie, żeby były różnice jakieś zasadnicze.

(...) Kiedy zebrano się na naradę w sprawie reformy rolnej, obliczano, że będzie ona trwała kilka dni. Powiedziałam im wówczas: materiały są przygotowane, przygotowany jest projekt, więc nie wiem, co można robić kilka dni, tym bardziej, że jesteśmy już na ziemi polskiej, trzeba więc to zrobić natychmiast dla pozyskania chłopa, dla pokazania, że to nie są deklaracje gołosłowne, gdyż tego chłopa już tyle razy oszukiwano.

Potem powiedziano, że w trakcie obrad będzie przerwa na obiad. — Nie będzie żadnego obiadu — powiedziałam. Pamiętam rozpaczliwy okrzyk Żymierskiego: jak można siedzieć bez obiadu!

— To zamówcie, niech przyniosą jakieś kanapki. Należy przyjąć decyzję, że aż do uchwalenia reformy rolnej nie przerwiemy posiedzenia, a czy będziecie siedzieć długo, czy krótko, to już jest wasza rzecz. Nie powinniśmy jednak wyjść z pokoju przed uchwaleniem reformy rolnej.

I wtedy Witos zaczął robić obstrukcję wzorowaną na przykładach parlamentu austriackiego, tzn. długo i bez końca gadać przy rozmaitych punktach, prosić o sprecyzowanie tego lub innego sformułowania. To nie była dyskusja, a po prostu obstrukcja.

Pamiętam, że ktoś podjął, że nie należy tego robić tak pośpiesznie, że mamy czas, że trzeba to odłożyć na później, nawet do momentu wyzwolenia Warszawy itd.

Nasze argumenty były tego rodzaju, że reformę rolną robił już rząd lubelski 1918 r., robiły ją następne rządy, ale zawsze odkładano to na później i nie została zrealizowana. Należy się więc liczyć z gorzkim doświadczeniem polskiego chłopa i musimy to zrobić natychmiast, w odróżnieniu od tego, co było kiedyś.

Opór Witosa pokonałam bardzo szybko.

Po tym obrady nad reformą rolną potoczyły się niesłychanie szybko i rzeczywiście wyszliśmy z lokalu z uchwaloną reformą. Ale Witos bił gwałtownie na to, ażeby jednak to przeciągnąć, żeby odłożyć. Sądzę, że wchodziły w grę jakieś porozumienia jego z Mikołajczykiem i że to była ustalona linia.

SPOTKANIE Z J. STALINEM

(...) W okresie formułowania i przygotowywania pewnych dokumentów Stalin reprezentował linię rozsądku i hamowania naszych może zbyt rewolucyjnych sformułowań. I to zupełnie układa się z ogólną linią Stalina, który np. jeżeli chodziło o reformę rolną postawił sprawę majątków kościelnych, żeby tej katolickiej Polski nie drażnić i w pierwszym dokumencie tego nie załatwiać. Jego stanowisko szło po tej linii, żeby nikt nie mógł zarzucić, że się robi jakąś przylepkę do Związku Radzieckiego, a nie samodzielne państwo.

(...) Muszę sobie przypomnieć, kiedy stanęła sprawa moich dalszych losów.

Była rozmowa na Kremlu, przy której był na pewno Żymierski, bo siedział przy mnie. Była z nim śmieszna historia. Na gruzińskim stole stały różne ostre potrawy, a m. in. małutka, zielona, jadowita papryka. Żymierski popatrzył na nią, a ja powiedziałam, że to bardzo lubię. Więc nałożył na talerz i kawałek odgryzł. Naraz zaczęły się z nim dziać straszne rzeczy: oczy wyłaziły z głowy, ciekły łzy po twarzy. I w tej właśnie chwili Stalin o coś zapytał. Zdaje mi się, że był również Berman, ale nie pamiętam, kto więcej. Na pewno jeszcze trwała wojna, bo w pewnych momentach Stalin wstawał od stołu i rozmawiał z jakimiś odcinkami frontu. Pamiętam nawet fragment jakiejś rozmowy, kiedy powiedział: ja cię bardzo proszę, te dywizje na styku oddaj sąsiadowi.

W pewnym momencie Stalin zwrócił się do mnie: „Nu kak możet byt' chwatit uże etogo ukraińskogo graždanstwa?", podszedł do stołu, nalał sobie i mnie ze słowami: „Nu dawajtie, czokniemsia". A mnie się trzęsła ręka z tym kieliszkiem. „Czego Wam tak ruki triasutsia?".

— Wydaje mi się, że Wy doskonale rozumiecie, dlaczego. Po pierwsze, mam obywatelstwo nie ukraińskie a radzieckie, a po wtóre, czy Wy uważacie, że sobie na nie nie zasłużyłam?

— Czto Wy? Znaczyt Wy chotitie ostat'sia sowietskoj graždankoj?

— Chyba dla Was to jest jasne.

— Znaczyt Wy chotitie rabotat' w mirowych massztabach?

— Nie ja chcę pracować w skali Związku Radzieckiego.

— Eto znaczyt w mirowych massztabach, a nie tolko w polskich. No cztoż, eto oczeń choroszo. Dla nas wo wsiakom słuczaje eto łuczsze.

I na tym się ta rozmowa skończyła.

Czyli jeszcze trwała wojna, kiedy sprawa została zadecydowana w ten sposób, że ja do Polski nie wracam, że zostaję w Związku Radzieckim. Wobec tego nie miałam powodu i żadnych możliwości brania udziału w aktach odbywających się po wojnie. I kiedy np. w kwietniu podpisywano umowę, byłam obecna, ale jako gość, a nie uczestnik. I wobec tego, kiedy robiono wspólną fotografię, odeszłam na bok, uważając że nie mam powodu figurować na niej. Dopiero Stalin zapytał: a Wanda gdie? Wziął mnie pod rękę i pociągnął do tej grupy mówiąc: Kto kak kto, no kogda idiot wopros o dogoworie s Polszej, tak bez Wandy my nie możem.

Więc figuruję na tym zdjęciu, ale mimo to nie byłam już dla Związku Radzieckiego żadnym przedstawicielem strony polskiej, a radzieckim gościem.

Zanim zostały

Kilka wyjaśnień

Do przytoczonych powyżej fragmentów wspomnień Wandy Wasilewskiej niezbędny jest komentarz. Nie wszystko bowiem może wydawać się jasne i w pełni zrozumiałe, szczególnie dla młodszych Czytelników, dla których tamte czasy są już tylko historią poznawaną z podręczników.

WANDA WASILEWSKA znalazła się w Związku Radzieckim na skutek działań wojennych w 1939 roku. Początkowo była w Kowlu a następnie we Lwowie. Na krótko przed wojną odeszła ona od PPS, której kierownictwo znalazło się w rękach prawicowo nastawionych działaczy. Zbliżyła się do komunistów. Gdy wybuchła wojna — jak pisał później Zygmunt Mynarski — „ona

Prezydium I Zjazdu ZPP, czerwiec 1943 r. Siedzą od lewej: płk A. Siwicki, ks. F. Kubsz, płk Z. Berling, W. Wasilewska, A. Witos, B. Drobner, J. Parnas

Lipiec 1944 we wspomnieniach

ogłoszone słowa

Na przełomie 1982 i 1983 roku, „Kulisy — Express Wieczorny" drukowały wspomnienia MARIANA SPYCHALSKIEGO. Przedrukowywany obecnie fragment pochodzi z odcinka 12, zatytułowanego „Zanim zabrzmiały słowa Manifestu", który ukazał się 15 stycznia 1983 r. Śródtytuły pochodzą od redakcji „Kulis".

W DOMU WANDY WASILEWSKIEJ

W lipcu każdego dnia mieliśmy jakieś sprawy do załatwienia (...). Często użyczała nam swego mieszkania Wanda Wasilewska. Mieszkała ona w tak zwanym „domu rządowym" niedaleko Mostu Kuźnickiego w pobliżu Kremla. Było to duże wielopokojowe mieszkanie na jednym z wyższych pięter tego specjalnego domu.

Poznałem tam jej męża, Korniejczuka, znanego pisarza, który szczególną sławę zyskał w okresie ciężkich dni wojny. Od pierwszego zetknięcia się z nim odniosłem wrażenie, że jest to człowiek o wyjątkowo kulturalnym sposobie bycia, żywy, inteligentny, niesłychanie gościnny, a jednocześnie dyskretny i skromny. W czasie pierwszego spotkania był w mundurze zastępcy komisarza spraw zagranicznych. Wybierał się czy wracał z jakiegoś dyplomatycznego spotkania. Po zamienieniu z nim paru słów dyskretnie usuwał się, zostawiając nam swobodę rozmowy.

Tam omawialiśmy sprawy wymagające przygotowania całej „kuchni" działania przyszłej władzy. Trzeba było wszechstronnie zastanowić się nie tylko nad sprawami osobowymi i organizacyjnymi, ale znaleźć jakieś sposoby dla zachowania możliwości dalszego przekształcania i doskonalenia tej naszej władzy. Trzeba będzie mieć chociażby spis koniecznych pierwszych aktów prawnych powołujących różne organa władzy i ich pierwsze posunięcia. Trzeba było przygotować własne pieniądze, aby dokonać wymiany zdewaluowanego pieniądza drukowanego i rozprowadzanego nadmiernie przez okupanta hitlerowskiego na terenie tak zwanej Generalnej Guberni, która miała odrębny pieniądz. Na pozostałych terenach włączonych do Rzeszy obowiązywała marka niemiecka, którą też należało wymienić. Trzeba było przewidzieć sposoby na zapewnienie zaopatrzenia w żywność i opał ludności miast, jak również w niezbędne środki dla potrzeb wsi, jak sól, nafta. Zapoznaliśmy się z przygotowaną kliszą i odbitką polskiego pieniądza, bodajże banknotu 500-złotowego, według wzoru przedwojennego opracowanego przez specjalistów, który na nasze zlecenie pod naszą kontrolą miał być drukowany. Okazało się, o ile pamięć mnie nie zawodzi, że zamiast przedwojennej nazwy „Bank Polski" na banknocie była nazwa „Bank Narodowy". Wybrnęliśmy z tego niedopatrzenia przez uzupełnienie nazwy słowem „Polski". Stąd w pierwszej edycji Polski Bank Narodowy. Tam zrodziła się myśl wydawania niepartyjnej gazety PKWN, naświetlającej aktualną problematykę w płaszczyźnie jedności narodowej. Zaproponowano nazwę „Rzeczpospolita", a na redaktora naczelnego została wysunięta kandydatura Jerzego Borejszy, którego znałem z działalności na terenie Klubu Demokratycznego, do którego „przycumowała" część komunistów przed wojną po rozwiązaniu partii (...).

Prócz Manifestu i projektu dekretu o utworzeniu PKWN, wśród spraw do załatwienia było jeszcze przygotowanie wielu dokumentów prawnych dotyczących między innymi oficjalnego przejęcia zwierzchnictwa przez KRN nad ZPP w ZSRR i podległą mu armią, scalenia Armii Ludowej i Armii Polskiej w ZSRR w jednolite Wojsko Polskie, częściowej mobilizacji i rejestracji do służby wojskowej. Należało także przygotować projekt ustawy Krajowej Rady Narodowej o tymczasowym trybie wydawania dekretów z mocą ustawy, dokument o powołaniu Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, składającego się z 5 osób (...).

Z okazji obchodów 534 rocznicy zwycięskiej bitwy pod Grunwaldem nad Zakonem Krzyżackim, to jest 15 lipca 1944 r. na tydzień przed rozpoczęciem wyzwalania Polski, odbyła się akademia w pięknej sali gmachu Związków Zawodowych w Moskwie, zorganizowana przez ZPP (...).

ORZEŁ I KRZYŻ

W trzy dni po tej uroczystości ruszył Front Ukraiński, a w jego składzie nasza 1 Armia. Otrzymaliśmy wiadomość, że przekroczy ona rzekę Bug na linii Chełma i że pierwszym polskim miastem zajętym przez Wojsko Polskie będzie właśnie Chełm.

Trzeba było w szybkim tempie zamykać przygotowania na ten moment. Jeśli chodzi o Manifest, to pierwszą jego partię trzeba będzie już mieć wydrukowaną i dostarczoną wkraczającym oddziałom i wychodzącym z podziemia Radom Narodowym. Razem z Manifestem musiał być podany skład osobowy PKWN (...).

Była sprawa sporządzenia oficjalnych pieczęci od razu na pierwszy dzień działania władzy. Pieczęcie zostały przygotowane według kilku wzorów. Mnie przypadło wypowiedzieć się, a właściwie zadecydować o nich z ramienia nowej władzy. Chodziło znowu o orła na pieczęci. Czy ma być ten piastowski, który został przyjęty w armii, czy też należy powtórzyć orła przedwojennego, niezupełnie słusznie zwanego jagiellońskim. Zdecydowałem, aby wprowadzić orła, który został przyswojony przez społeczeństwo z okresu niepodległości, czyli tego „jagiellońskiego" (...).

Trzeba było zająć się jeszcze sprawami odznaczeń, a przede wszystkim ustanowionym przez KRN Krzyżem Grunwaldu. Wstążkę (...) mieliśmy „postanowioną", jeśli chodzi o barwy, ale sam krzyż musiał być zaprojektowany (...).

Rysunek krzyża ciągle mi jakoś nie przypadał do gustu. Był jakiś sztywny i w kształcie odbiegał od tradycji krzyży polskich. Zgodziliśmy się po wprowadzeniu pewnych poprawek, bo należało zgłosić zamówienie razem z wprowadzonymi orderami: Odrodzenia Polski, Virtuti Militari, Krzyżami Walecznych i Krzyżami Zasługi. Jakoś nie udało się przekonać towarzyszy do wprowadzenia Orderu Orła Białego.

NIE MOŻNA DŁUŻEJ CZEKAĆ

Powróćmy jednak do tych ostatnich dni przed powołaniem PKWN i pierwszych dni jego działania. Z chwilą ruszenia frontów białoruskich i ukraińskich oraz bliskiego wyzwolenia ziem polskich, już dłużej nie można było czekać na jakieś zrozumienie zaistniałej sytuacji, przynajmniej przez część członków „rządu" londyńskiego. Tylko następne fakty i powstała nowa rzeczywistość mogły spowodować pojawienie się jakiegoś trzeźwiejszego jej pojmowania.

Związek Radziecki pragnął i dążył do tego i my też, aby na terenach polskich była od razu organizowana administracja polska. I ZSRR nie rościł pretensji do ingerowania na siłę w nasze wewnętrzne sprawy ustrojowe. Taką administrację mogła zorganizować KRN i wymieniony przez nią Komitet Wykonawczy, a więc PKWN. Nikt tego ze strony radzieckiej nie miał zamiaru za nas robić. To zadanie zostało przez siły ludowe podjęte, gdyż te siły nawiązały stosunki ze Związkiem Radzieckim (...).

Z związku z potrzebą dopięcia szeregu ważnych naszych posunięć wiążących się z powołaniem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wypadło nam w ciągu kilku dni przed 22 lipca i po nim parę spotkań z najwyższymi władzami radzieckimi. Przed tą datą spotkania były konieczne dla ustalenia wspólnie z władzami radzieckimi wielu pierwszych kroków nowej władzy na wyzwolonych terenach oraz ułożenia oficjalnych stosunków między obu krajami, jak również dalszego ich rozwoju wraz z zawarciem w tej kwestii odpowiedniego porozumienia. Po tej dacie, kiedy Komitet zaczął działać na wyzwolonych terenach, po szerokim rozpowszechnieniu jego Manifestu i składu PKWN, po rozpoczęciu działalności w oparciu o powstającą na wyzwolonych obszarach administrację — spotkania takie były potrzebne dla osiągnięcia porozumień nieoficjalnych i oficjalnych, dotyczących wielu problemów.

W rozmowach poprzedzających 22 lipca uważaliśmy za stosowne poruszyć niektóre sprawy dotyczące zagadnień, co do których istotne było stanowisko czy pogląd władz radzieckich, a w szczególności Stalina. Do takich należała sprawa sposobu ujęcia w Manifeście kwestii granic zachodnich i północnych, wywłaszczenia własności kapitału zagranicznego, naszego udziału w dalszych działaniach wyzwoleńczych i wojennych (...).

Zwróciliśmy się o pomoc — pożyczkę na pierwsze zagospodarowanie władzy i zapewnienie jej możliwości działania. A więc własny transport samochodowy (towarowy i osobowy), własny transport samolotowy, środki łączności i szereg innych, których sami w pierwszym okresie nie byliśmy w stanie nabyć gdzie indziej, ani wytworzyć. Liczyliśmy się z sytuacją, że w wyniszczonym i ograbionym kraju nie będzie możliwości bezawaryjnego zaopatrzenia powstającego aparatu w żywność, zapewnienie mu odpowiedniego przyodziewku, sprzętu do pracy, no i oczywiście sprzętu dla obrony nowej władzy.

Liczyliśmy się z natychmiastową koniecznością powołania Milicji Obywatelskiej, która wymagała odpowiedniego wyposażenia, przynajmniej w broń, już nie mówiąc o umundurowaniu i wyżywieniu do czasu, nim sami będziemy jo zdolni zorganizować (...).

W sprawie wojska mierzyliśmy siły na zamiary, a zamiary były szerokie. Optymizm w tej dziedzinie gen. Roli Żymierskiego (już Naczelnego Dowódcy, co zostało uzgodnione wewnętrznie między przedstawicielami kraju i ZPP, o czym informowaliśmy Stalina) udzielił się wszystkim. Później trzeba było zamiary z kolei dopasować do sił... ale to już dalsza historia. W każdym razie wystąpiliśmy z pomysłem zorganizowania jeszcze dwóch armii. Gen. Żymierski został awansowany do stopnia gen. broni i wysuwał koncepcję działania Wojska Polskiego w sile frontu polskiego, składającego się z trzech armii. Miał on działać razem z frontami radzieckimi na zachodnim kierunku strategicznym. Wydawało się nam, że zdążymy zorganizować do czasu podejścia do Odry, prócz istniejącej pierwszej armii, jeszcze armię drugą i trzecią (...).

Sprawę wojska omawialiśmy nie tylko przed 22 lipca, ale i po tej przełomowej dacie, w dniu ogłoszenia Manifestu. PKWN został powołany przez KRN dzień wcześniej, to jest 21 lipca. Pamiętam moment ogłoszenia komunikatu o powołaniu PKWN i odczytanie Manifestu w studiu Radia Kościuszko (...). Wysłuchaliśmy go z nie dającym się określić uczuciem, stojąc bez ruchu w ciasnym pomieszczeniu obok studia. Czytał — wydawało mi się wówczas, że dobrze, a nawet bardzo dobrze — Ludwik Perski. Głęboko jakoś oddychaliśmy, kiedy skończył.

Stało się — ktoś powiedział. Wyzwanie zostało rzucone. Słowa zostały ogłoszone, szedł czas działania nowej władzy. Sądzę, że wówczas każdy z nas odczuł wagę zadań, jakie stanęły przed nami i odpowiedzialności za ich wykonanie. Byliśmy stosunkowo młodzi, ale już na tyle „obici" i „obyci", że choć może nie w pełni, lecz uprzytamniališmy sobie trudności, które trzeba będzie pokonywać w tym budowaniu i działaniu na rzecz nowego ustroju. Wiedzieliśmy, że nie będzie to ani proste, ani łatwe zadanie, że warunki, w jakich rozpoczynamy działalność, wymagają samodzielnego rozwiązywania problemów, a bezmyślne naśladownictwo gotowego wzoru może tylko nasze działania utrudnić (...).

WŁ. P.

pierwsza zrozumiała, iż wyzwolenie Polski może się dokonać tylko przy pomocy Związku Radzieckiego, i dlatego o tę pomoc zabiegała włączając się do aktywnej działalności politycznej na terenie Zachodniej Ukrainy". Została członkiem WKP(b), deputowaną do Rady Najwyższej ZSRR, redagowała „Nowe Widnokręgi", była współtwórczynią Związku Patriotów Polskich, a w kwietniu 1943 roku została przewodniczącą Zarządu ZPP.

We Lwowie poznała Aleksandra Korniejczuka, później razem z nim redagowała frontową gazetę, jeździła do walczących oddziałów Czerwonej Armii, a następnie została jego żoną. Ten fakt niewątpliwie zaważył na jej decyzji pozostania w ZSRR.

ALEKSANDER KORNIEJCZUK był pisarzem ukraińskim. Urodzony w 1905 roku, zmarł w 1972. Był w latach 1933—1941 i 1946—1955 przewodniczącym Zarządu Związku Pisarzy Radzieckiej Ukrainy, został członkiem Akademii Nauk Ukraińskiej SRR w 1939 roku, a członkiem WKP(b) w 1940. Był też zastępcą komisarza ludowego spraw zagranicznych ZSRR w latach 1943—1944 i komisarzem ludowym spraw zagranicznych USRR w 1944 roku.

Inne osoby wymieniane przez Wandę Wasilewską w cytowanych fragmentach wspomnień.

ANTONI WOLSKI — powinno być **WŁADYSŁAW WOLSKI** (Antoni Piwowarczyk) członek i działacz SDKPiL, KPP, a później PPR. W partyzance radzieckiej do 1944 roku. Po powstaniu PKWN krótko był zastępcą kierownika resortu bezpieczeństwa, a od października 1944 roku szefem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, od 1945 roku wiceministrem administracji publicznej.

MARYLA EIGER (Maria Kamińska) ur. w 1895 roku, członek KPP, w czasie wojny oficer Wojska Polskiego w ZSRR, po wojnie I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PPR w Katowicach i Poznaniu.

HILARY MINC (1905—1974) ekonomista, członek KPP i FPK podczas studiów we Francji. Przed wojną pracownik GUS, w czasie wojny w ZSRR. Po wojnie działacz PKWN, wiceminister i minister, poseł na Sejm, przewodniczący Komisji Planowania Gospodarczego, członek Biura Politycznego PZPR, współtwórca planu 6 letniego i innych planów gospodarczych.

ANDRZEJ WITOS (1878—1973) brat znanego działacza ludowego, premiera rządów II Rzeczypospolitej, Wincentego Witosa. A. Witos był członkiem PSL „Piast" posłem na Sejm. W czasie wojny w Komi w ZSRR. Od 1943 roku wiceprzewodniczący Zarządu ZPP, po 1944 roku minister reform rolnych PKWN, działacz lewicowy PSL, później ZSL.

Wspomniane w tekście **„ziemie poniemieckie"** należy rozumieć jako majątki ziemskie bądź to należące do Niemców przed wojną, a znajdujące się na ziemiach polskich bądź to zagarnięte przez Niemców w czasie wojny, jak też majątki niemieckich obszarników z ziem odzyskanych przez Polskę po wojnie.

„W kwietniu podpisana umowa" — to Układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej między Rzeczpospolitą Polską a ZSRR podpisany 21 kwietnia 1945 roku w Moskwie (Pełny tekst tego układu „Odgłosy" opublikowały w nr 17 z 1983 roku).

Delegacja Krajowej Rady Narodowej przybyła przez linię frontu do Moskwy na początku maja 1944 roku. W jej skład wchodzili: **Marian Spychalski, Edward Osóbka-Morawski, Kazimierz Sidor, Jan Haneman.**

Polska wystawa i jej konteksty (3)

Witkacy, konstruktywiści i współcześni

(Korespondencja własna z Paryża)

Bez nożyczek na srebrnej tacy, bez barwnych wstęg i okolicznościowych przemówień, choć w atmosferze niecodziennego wydarzenia inaugurowano naszą „PRESENCES POLONAISES — L'ART VIVANT AUTOUR DU MUSÉE DE ŁÓDŹ" w Centrum im Georgesa Pompidou. Atmosfera taka towarzyszyła zarówno przedpremierowemu otwarciu wystawy dla dziennikarzy, jak i specjalnej inauguracji (następnego dnia) dla „stowarzyszenia miłośników" (adherents) Centrum, ale przede wszystkim samej premierze we wtorkowy wieczór 21 czerwca 1983 r.

Mimo iż „przy okazji" odbyła się cicha i nader skromna manifestacja plakietkowiczów (*„To już chyba ostatnia okazja"* — mówił jeden z ich francuskich kibiców, popatrując czy równo przykleił sobie na klapie prostokątny znaczek) uroczystość otwarcia miała wyłącznie charakter ewenementu artystycznego. Gości oficjalnych było niewielu a i ci w zapamiętaniu oglądali dzieła sztuki. *„Widziałaś minę ministra?"* — budował prestiż swej „akcji" młody człowiek odpinając w windzie plakietkę. *„Aha"* — odpowiadała bez przekonania — też w najczystszej polszczyźnie — jego towarzyszka. A nasz minister (ściślej mówiąc: wiceminister Wacław Janas) — co było widoczne — minę miał dyplomatycznie odświętną i najwyraźniej interesował się przemianami polskiego unizmu.

Zjawili się na otwarciu natomiast dosyć licznie krytycy, artyści i dyrektorzy wielu muzeów sztuki, w tym także z Zürichu, Berkeley i Düsseldorfu, a rozpromieniony — jednak nie bez tremy — Ryszard Stanisławski objaśniał szlaki polskiej awangardy samej Madame Pompidou.

Jak zwykle w takich przypadkach błyskały flesze, oślepiały reflektory i szumiały kamery filmowe. Jean Maheu, dyrektor Centrum, udzielał wywiadu Andrzejowi Bilikowi na tle fantasmagorycznych płócien Stanisława Ignacego Witkiewicza, natomiast Ryszard Stanisławski wolał stanąć przed kamerami w otoczeniu dzieł konstruktywistycznych. *„Ach, to są ci jego ukochani konstruktywiści!"* — wykrzykiwała jakaś nobliwa dama, wtajemniczona widać w artystyczne preferencje dyrektora łódzkiego Muzeum, gdy wkraczała do sal z dziełami Katarzyny Kobro i Henryka Stażewskiego.

Również zwyczajowo nasz francuski ambasador wydał uroczysty cocktail we wspaniałych wnętrzach potallevrandowskiego pałacu. Gdy spostrzegłem się na ów cocktail, moi francuscy przyjaciele prosili o telefon z ambasady, gdyby okazało się, że nie ma tam co jeść — poczekają z kolacją. Powiem tylko, że nie musiałem dzwonić a goście — w tym także Pierre Joxe (przewodniczący rządzącej większości w Zgromadzeniu Narodowym), którego od dłuższego czasu w polskiej ambasadzie nie oglądano — opuszczali przyjęcie wyraźnie usatysfakcjonowani. Nawet Tadeusz Kantor, rozindywidualizowany początkowo skromnym jego zdaniem, miejscem, jakie poświęca mu „POLSKA OBECNOŚĆ" (*„mnie, artyście uznanemu przez cały świat!"* — perorował), potem przyjmował hołdy odprężony i całkiem zadowolony. *„Pas mal ce Kantor, aaa?"* — szeptali przecież na wystawie Francuzi, co sam słyszałem. Resztę wrażeń z pałacu przy rue de Tallevrand przemilczę. Nie będę wynosił na zewnątrz tajemnic dyplomatycznych salonów — gospodarze gotowi potem na nie zabronić wstępu.

Wreszcie o samej wystawie. Aby ułatwić czytelnikom lekturę mojego opisu zamieszczam obok plan ekspozycji: cyferki w tekście odpowiadają oznaczeniom na schemacie. „entrée" to wejście na wystawę, „sortie" — wyjście.

Ten labirynt polskiej awangardy, jednak z wyraźnie oznaczoną przez komisarzy i architektów wystawy, drogą (nić Ariadny wiąże zarówno syntetyczne informacje, umieszczone przed każdym zaułkiem labiryntu, jak i plastyczny wystrój poszczególnych jego części) — otwiera twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Wkraczamy do pomieszczeń o ciemnych ścianach, gdzie panujący półmrok nakazuje skupienie i kieruje uwagę ku podświetlonym gablotom i ostro wypunktowanym płaszczyznom. Cała ta witkacowska część „POLSKIEJ OBECNOŚCI" kreuje atmosferę artystycznego misterium i metafizycznego wtajemniczenia. A więc najpierw młodość Witkacego, jego pierwsze przyjaźnie i pierwsze manuskrypty (1); książki Witkiewicza-ojca, jego rysunki dla syna, korespondencja. Tam także (1), niejako w syntetycznym skrócie, egzemplifikacje wielorakiej twórczości autora „Szewców", a mianowicie portrety węglem, pierwsze wprawki fotograficzne, rękopisy powieści i dramatów, dedykacje, projekty dekoracji scenograficznych, ilustracje do Jaworskiego „Historii maniaków", manuskrypty tekstów filozoficznych itd. oraz wydzielona partia przykładów ilustrujących przyjaźń Witkacego z Bronisławem Malinowskim. Jej uzupełnieniem — jakby na wzór podobnej aranżacji piętro niżej, w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie prezentuje się maski i rzeźby prymitywne obok inspirowanych nimi obrazów awangardowych — jest ekspozycja obiektów etnograficznych gromadzonych przez autora „Życia seksualnego dzikich". Dalej fotografika Witkacego i z nim jako twórczym modelem (2) oraz rysunki (3) zestawione cyklicznie tak jak powstawały. Centrum tej części wystawy wypełnia ośmiościan, ni to atelier z lustrami, ni to pracownia, pomieszczenie z 82 pastelami „Firmy portretowej" i jej regulaminem, który czytają zwiedzający w zadziwieniu i rozterce: malarz to czy psychoanalityk, szyderca czy komercjalny pochlebca, karykaturzysta czy wnikliwy znawca duszy ludzkiej (podwójny portret Stefana Glassa, portret Marii Nawrockiej, portrety Neny Stachurskiej). Po tej, na poły nobliwej (odkurzone ślady przeszłości) na poły groteskowej (rysunki, portrety) wędrówce poprzez dzieło Witkacego, wchodzimy nagle w świat jego narkotycznie oszałamiającej wyobraźni: przed nami (6) 26 płócien i pasteli, malarskiej realizacji idei Czystej Formy.

„Uczucia, wyobrażenia, kombinacje pojęć, mające mniejszy lub większy sens logiczny i życiowy, i działania, będące mniej lub więcej podobnymi do działań rzeczywistych ludzi czy nawet fantastycznych stworów" — pisał Stanisław Ignacy Witkiewicz w artykule przeciw futurystom, objaśniając przy tym swoją twórczość.

Długo stoją w tej sali zwiedzający naszą wystawę. Te obrazy niczego znanego nie przywołują, nie dają się etykietować żadnym odpowiednim „izmem". Spójrzmy więc na tytuły: *„Stworzenie świata"*, *„Kuszenie św. Antoniego"*, *„Walka"*, *„Marysia i Burek na Cejlonie"*. Niby sugerują jakieś fabuły, jakąś akcję, ale przecież nie z tego świata, wypełnione platniną potworów i uzwierzęconych ludzi krzykliwe w barwie, ale okrutne w nastroju, bogate w katastroficzne, choć niewyrażalne, emocje.

Ale oto labirynt prowadzi dalej, ku „salce" z nazwiskiem Bruno Schulz (7), któremu i Witkacy w pewnym stopniu torował drogę ku odbiorcy, podziwiając twórczość autora *„Sklepów cynamonowych"*. Schulz, choć tłumaczony na francuski, choć eksponowany na Zachodzie przez Artura Sandauera, będzie dzięki naszej wystawie, jednym z jej istotnych odkryć, a to przede wszystkim dlatego, że „PRESENCES POLONAISE" przedstawia dzieła drohobyckiego nauczyciela w pełnym ich konturze artystycznym.

„Na próżno by wertować jedną z najbardziej kompletnych historii literatury, jaką jest Encyclopédie de la Pleiade w poszukiwaniu nazwiska Schulza" — pisze w „dużym" katalogu Maurice Nadeau.

Ale przecież na wystawie Bruno Schulz to nie tylko pisarz, jeden z najbardziej fascynujących w literaturze XX wieku, ale to także rysownik i twórca *„Księgi bałwochwalczej"* (ukazała się właśnie w Paryżu z komentarzami i interpretacyjnym objaśnieniem) ekspresjonistycznie mrocznej i masochistycznej, groteskowo zhiperbolizowanej i neurotycznej.

Opuszczamy te kręgi piekieł Witkacego i Schulza. Wchodzimy do przedkonstruktywistycznego czyśćca. Ów pasaż (8), który łączy na wystawie dwa różne nurty polskiej awangardy (ich rzeczywistym związkom i kontrastom należałoby poświęcić całą rozprawę), to formiści i futuryści: a więc Tytus Czyżewski, malarz, poeta i autor futurystycznych dramatów, Leon Chwistek, teoretyk i praktyk formizmu, trzy olejne fascynacje maszyną i jej dynamizmem Konstantego Mackiewicza, manifesty i tomiki polskiego, futurystycznego epizodu (Jasieński, Stern, Młodożeniec i Wat).

Nagle zmienia się wystrój plastyczny wystawy. Mroczny labirynt ustępuje miejsca pełnej światła, bieli i geometrycznej prostoty hali (9) z wydzielonymi logicznie, choć bez ostentacji, etapami ewolucji polskiego konstruktywizmu (i ta etykieta domagałaby się specjalnego opracowania) oraz jego szczególnych i oryginalnych dominant: zatem początki konstruktywizmu („Zwrotnica", Peiper, Przyboś, debiuty artystyczne Strzemińskiego i Kobro, zeszyty *„Bloku"*) Dalej mechano-faktury Henryka Berlewiego, działalność Mieczysława Szczuki i Teresy Żarnower (rysunki, plakaty, projekty typograficzne); dział poświęcony architekturze (Bohdan Lachert, Józef Szanajca, Szymon Syrkus, Andrzej Pronaszko — projekt teatru symultanicznego ekspozycji uznać za piekło i czyściec) prezentuje jeszcze, z dumą bogacza, który ma wszystko, wieloraką działalność grupy „a. r.", jej poetyckie, typograficzne i teoretyczne osiągnięcia; tzw. konstruktywizm poetycki Karola Hillera (tu 17 *„Kompozycji heliograficznych"*); fotografię, fotomontaż i film (Kazimierz Podsadecki, Janusz Maria Brzeski, Mieczysław Berman, Franciszka i Stefan Themersonowie) oraz *„Linię i kolor"* czyli ostatnią fazę dzieła Władysława Strzemińskiego (11).

Zanim przejdziemy do części współczesnej „POLSKIEJ OBECNOŚCI", co byłoby zgodne z logiką wystawy (*„Gdzieś podział Wacława Szpakowskiego i Henryka Stażewskiego"* — będą krzyczeć, i słusznie, ci którym mało jeszcze nazwisk i „izmów"), niespodzianka: oto znajdujemy się w — jakby żywcem przeniesionej z łódzkiego Muzeum — sali neo-plastycznej (10), z jej dokładnie odwzorowaną architekturą i z tymi samymi obrazami (Arp, Léger, Prampolini, Marcoussis i inni). *„Tu dalej, w Łodzi, są schody"* — chwalili się znajomością pomieszczeń pałacu Poznańskiego niektórzy ze zwiedzających i nie byli to łodzianie.

Pora na współczesnych czyli na trzecie skrzydło „PRESENCES POLONAISES". Jeśli poprzednie dwie części wystawy zaaranżowano, generalnie rzecz biorąc, wedle określonych linii rozwojowych, więzi i uogólniających etykiet, tak w części współczesnej króluje indywidualizm: wybrane egzemplifikacje szesnastu twórców łączy tylko eksperymentalizm i uporczywe poszukiwanie własnych, oryginalnych środków wyrazu. Dzieli ich natomiast, i to niekiedy niezwykle ostro, zakres inspiracyjnych doświadczeń, idei i świadomościowych dążeń. Znaleźli się na tej wystawie co najmniej z dwóch powodów nierozdzielnie zresztą ze sobą związanych: po pierwsze, daje się w ich twórczości zauważyć wyraźne związki z ideami burzy i naporu polskiej awangardy dwudziestolecia międzywojennego oraz — po drugie — ich twórczość we współczesnych dokonaniach sztuki światowej daje im miejsce samodzielne i własne.

Tak zatem Tadeusz Kantor, którego pole twórczości *„bywa niekiedy teatrem, a niekiedy malarstwem"* z dziesiątkami rysunków (21) — improwizacji, z jednym ambalażem na płótnie i environnement *„Dzieło zamknięte"*, inspirowanym tematem *„Umarłej klasy"*; dalej Władysław Hasior z *„Pracownią artysty"*, environnement-kaplicą, przestrzenią wypełnioną z przepychem i różnorodnością jego dzieł (18); Alina Szapocznikow (20) z rzeźbą z poliestru *„Portret Piotra"* i z równie powszechnie znanym *„Portretem wielokrotnym"*; *„Redukcje"* — seria 17 kompozycji z lat 1975—1976 Henryka Stażewskiego, prekursora op-artu; rzeźbo-konstrukcje w drewnie Jerzego Beresia (19) na poły groteskowo-dadaistyczne, na poły nawiązujące swoimi znaczeniami do treści prasłowiańsko-chłopskich; jakby poznaczone ranami, surrealno-ekspresjonistyczne płótna Tadeusza Brzozowskiego (20); „obrazy liczone" — metaforyczny zapis przemijania czasu — Romana Opałki (16) i *„studia talmudyczne"* Stanisława Fijałkowskiego (19).

Patrzę na powyższy akapit i myślę, czy aby z nie nazbyt słoniowatą nonszalancją profana chodzę wokół współczesnych, bo przecież należałoby jeszcze wpisać w tę marszrutę po polskiej, awangardowej współczesności, nazwiska Zbigniewa Gostomskiego z jego environements absolutnymi (15), Janusza Połoma, który już zdobywał Paryż w roku poprzednim, z jego *„antynomiami elektronicznymi"* — wysoce ztechnizowaną, ale zastanawiającą próbą przekładu Becketta na język komputerowo-sformalizowany (15), Wojciecha Bruszewskiego z *„instalacją-video"* czy Ireneusza Pierzgalskiego (15) z *„przedmiotem kinetycznym"* oraz Zdzisława Jurkiewicza (14) z kompozycjami fotograficznymi i akrylami na płótnie.

Wzbudza zainteresowanie zwiedzających ironiczny wehikuł Krzysztofa Wodiczko (16), a także *„stół z białymi ziemniakami"* — pozioma kompozycja z porcelany, drewna i płótna — Antoniego Starczewskiego (16). Jeśli na koniec wymienię prace Marii Stangret (16), to będzie już wszystko. Tyle tylko że ów polski labirynt zamyka właśnie konstrukcja przestrzenna Tadeusza Kantora na temat *„Umarłej klasy"*: czyżby było to profetyczne wskazanie kolejnych ewolucji polskiej sztuki współczesnej, czy też metaforyczne zamknięcie labiryntu, do którego wkraczaliśmy również w mroku, tracąc nadzieję i popadając w apokaliptyczne przerażenia?

Ci dociekliwsi Czytelnicy „Odgłosów", którzy przyjrzeli się dokładniej zamieszczonemu obok planowi wystawy, mogą zapytać o pomieszczenia z numerami 5, 13 i o te z napisem *„audio-visuel"*. Objaśniam: w salce nr 5 monitory z dramatami Witkacego, z filmem Józefa Robakowskiego o Witkacym, a Jana Rybkowskiego o Schulzu; w trzynastce filmy i programy o polskiej literaturze współczesnej, której książki prezentuje się w salce 12 (wszystkich autorów wymieniłem w swojej pierwszej korespondencji). Przy wejściu na wystawę monitory z adaptacjami dramatów Wyspiańskiego (Wajda), Jasieńskiego (Warmiński), Różewicza (Kieślowski), Zygmunta Krasińskiego (Hübner) oraz z filmami o Grotowskim, o polskiej architekturze, o łódzkim Muzeum Sztuki. Wewnątrz wystawy monitory z dwuczęściowym filmem Ryszarda Waśki pt.: *„Konstruktywizm w Polsce"*.

To byłoby wszystko, albo prawie wszystko, czym przyciąga zwiedzających wystawa w Grande Galerie na piątym piętrze Centrum im. Georgesa Pompidou. Jednak wystawa ta obrasta i obrastać będzie, aż do zamknięcia we wrześniu, a nawet potem, w imprezy z nią integralnie związane: koncerty, spektakle teatru Kantora, wykłady i odczyty, wielką retrospektywę polskiego filmu fabularnego. Pomijam tytuły dzieł i nazwiska autorów, aktorów, kompozytorów i reżyserów. Wymieniałem je w swojej pierwszej korespondencji.

Poprzednio też wspomniałem o bogatej dokumentacji, która wystawie towarzyszy, więc tylko trzy zdania na temat katalogu, choć zasługiwałby na oddzielne omówienie: 336 stron formatu A-4, zredagowanych przez Urszulę Czartoryską i Nicole Ouvrard, to rzeczywiście największe kompendium wiedzy o sztuce polskiej XX wieku, jakie kiedykolwiek ukazało się w języku obcym. Katalog ów, jak wszystkie wydawnictwa Centre Georges Pompidou, rozpocznie swój żywot samodzielny, upowszechniając wartości sztuki polskiej daleko poza Paryż. Syntetyczne artykuły, noty informacyjno-biograficzne o autorach eksponowanych dzieł przygotowali m.in. Janusz Degler, Lech Sokół, Anna Micińska, Andrzej Turowski, Janusz Zagrodzki, Urszula Czartoryska, Ryszard Stanisławski, Jerzy Lisowski oraz ze strony francuskiej Pierre Restany, Serge Fauchereau, Maurice Nadeau, Stanislas Zadora, Germain Viatte i Michel Panoff. No i dziesiątki reprodukcji, w tym wiele barwnych.

W sumie mogę z całkowitym przekonaniem powiedzieć, że „POLSKA OBECNOŚĆ" będzie zauważona, że wiele setek spośród 25 tysięcy odwiedzających Centrum każdego dnia, naszą wystawę zobaczy. Pomijając obszerny artykuł w „Le MONDE" jednym z najbardziej wpływowych dzienników na świecie, noty w prasie francuskiej mają tymczasem informacyjny charakter. Przyjdzie jednak czas na oceny i omówienia wnikliwsze. Mam zamiar do nich wrócić, może we wrześniu, aby o odbiorze polskiej (łódzkiej!) wystawy czytelników „Odgłosów" poinformować.

Gdyby nie brak tupetu, mógłbym na zakończenie napisać — jak Sienkiewicz — o „niemałym trudzie" i o „pokrzepieniu serc". Ekscytowałem przecież siebie i próbowałem ekscytować Czytelników także i dlatego, iż podobnie jak Francuzi zostali powiadomieni o uczuciach Georgesa Pompidou, które zrodziły wspaniałe Centrum kultury i sztuki, tak i my łodzianie, chcielibyśmy usłyszeć prezydenta Józefa Niewiadomskiego mówiącego podczas wmurowywania kamienia węgielnego: *„Ponieważ kocham sztukę i kocham Łódź..."* Niechby to był taki mniejszy Beaubourżek, gdzie zbiory naszego muzeum odzyskałyby swój blask. Niechby Francuzi musieli [illegible] tać w „Le Figaro" *korespondencje własne z Łodzi"*.

Ot marzenia...

GRZEGORZ GAZDA

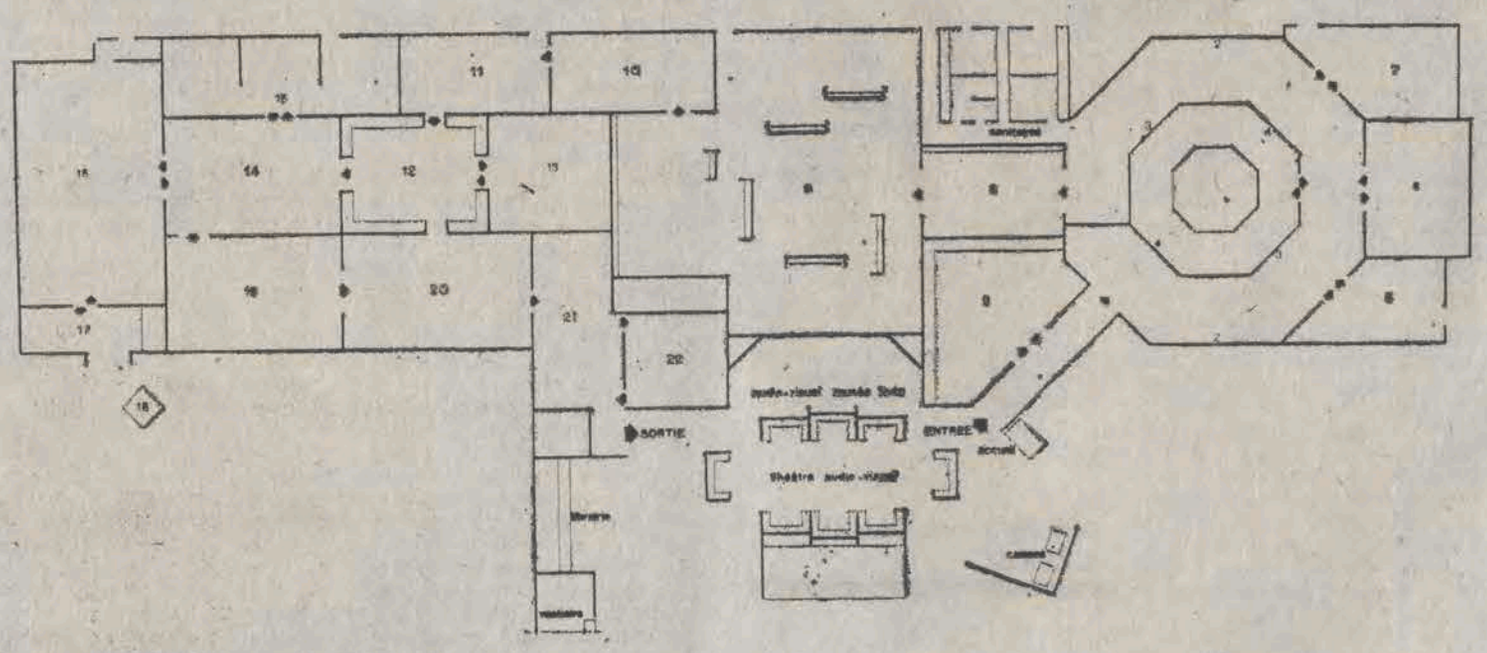

Opole i Kołobrzeg

Marny jubileusz

Właściwie zamierzałem napisać reportaż z festiwalu opolskiego, ale po powrocie doszedłem do wniosku, że lepiej będzie potraktować te imprezę po prostu felietonem. Bo organizowany też — mimo iż było to jubileuszowe spotkanie pod wieżą piastowską w Opolu — XX Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki nie był niestety żadnym poważniejszym wydarzeniem w dziejach polskiej piosenki.

Na dobrą sprawę nie wiem, czy nie było lepiej przed rokiem, gdy zrezygnowano z organizowania tego festiwalu rozpatrzywszy się w możliwościach personalnych i repertuarowych. W tym czasie zmarł jeden z ojców polskich festiwali — Karol Musioł, niegdysiejszy przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, a później do ostatnich dni życia — prezes Towarzystwa Przyjaciół Opola, który każdego roku patronował piosenkarskiemu spędowi. Tak czy inaczej — festiwal doszedł do skutku. Nie byłoby sensu, gdybym zaczął tutaj omawiać poszczególne amfiteatralne koncerty, bo przecież obszerne fragmenty pokazała wszystkim telewizja polska. Ograniczę się więc do kilku uwag.

Koncert jubileuszowy był całkowicie okazjonalny. To, że zobaczyliśmy w nim tych a nie innych wykonawców, najlepiej świadczy o możliwościach organizatorów i zainteresowaniu ze strony gwiazd piosenki. Nazwisko, na które bardzo liczono to Jan Pietrzak. Jako ostatni (sprzed dwóch lat) laureat nagrody publiczności miał zaśpiewać w koncercie „20 lat minęło". Poza tym w programie festiwalu zapowiadana była impreza towarzysząca — „Kabaret pod egidą Pana Janka". Jej centralną postacią miał być właśnie Jan Pietrzak, a sekundować mu miała cała czołówka polskiego kabaretu z Krystyną Jandą i Piotrem Fronczewskim na czele. Niestety, Jan Pietrzak nie zjawił się w Opolu. Zamiast niego nadszedł telegram od jego małżonki, która poinformowała że mąż miał wypadek i leży w szpitalu. Koniec.

Rozpaczą powiało z koncertu „Premier" przed laty tradycyjnie najsilniejszego — nie licząc „maratonu kabaretowego" z którego w tym roku całkowicie zrezygnowano — punktu festiwalowego przeglądu stanu posiadania. Jeżeli to były najciekawsze propozycje muzyczne zgłoszone Antoniemu Koziowi, jeżeli to były najlepsze teksty jakimi dysponował Jacek Korczakowski, to nie chciałbym być członkiem Rady Programowo-Artystycznej, bo nie mógłbym z tego wyjść bez zawału. Niestety, od kilku ładnych lat nie ma w Opolu żadnych ciekawych, nowych piosenek: albo system ich poszukiwania jest nie taki, jak powinien, albo propozycje naprawdę atrakcyjne nie docierają na estradę opolskiego amfiteatru, bo nie wierzę w całkowitą indolencję rodzimych autorów i kompozytorów.

Show zespołu „2 + 1", stanowiący drugą część tego koncertu, był pozakonkursowy. Wiadomo, grupa jest popularna i może przyciągnąć sporo widzów dzięki swym przebojom, ale zastanawiam się, czy celowe jest podpinanie półrecitali do koncertów konkursowych. Podobnie w przypadku występu zespołu „Bajm" po „Promocjach". Zresztą zarówno „2 + 1" (szczególnie solistka), jak i „Bajm" wypadł nieco poniżej swych możliwości.

Jeśli wyłączyć z tych rozważań koncert „Mikrofon i ekran" który jako impreza finałowa był wypadkową wszystkich wcześniejszych, to trzeba przyznać, że najciekawszy okazał się koncert „Promocje — Opole 83". Wiadomo mi, że lista wykonawców była nieco dłuższa, ale niektórzy z nich — choć obecni na miejscu — nie wystąpili. Nie wiem tylko dlaczego. Słusznym posunięciem Rady Programowo-Artystycznej pod przewodnictwem dyrektora „Estrady Opole", Władysława Bartkiewicza było ustanowienie nagrody im. Karola Musioła, przyznawanej w konkursie promocyjnym, głównym trofeum festiwalu. Zawsze przecież ze szczególnym zainteresowaniem przypatrywaliśmy się debiutantom, i to im właśnie najbardziej zależy na zdobyciu festiwalowych wyróżnień. Kilka nowych twarzy, parę udanych piosenek — w odniesieniu do tegorocznych „Promocji" wydaje się to potwierdzać.

I tyle o centralnych imprezach jubileuszowego XX Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. I jeszcze pytanie: dlaczego, będąc w trudnej sytuacji kadrowej, jeśli chodzi o wykonawców, nie przyjęto propozycji Andrzeja Janeczki i Zbigniewa Gniewaszewskiego? Andrzej Janeczko, szef „Trzeciego oddechu kaczuchy", będący największą rewelacją festiwalu sprzed dwóch lat, z powodzeniem mógł zaśpiewać w „Premierach". Zbigniew Gniewaszewski miał duże szanse na nagrodę w „Promocjach", co potwierdza fakt zdobycia przez niego parę dni wcześniej głównej nagrody oraz nagrody publiczności podczas poznańskiego finału Ogólnopolskiego Przeglądu Wokalistów pod hasłem „Każdy głos na wagę złota".

Poza głównym nurtem festiwalu opolskiego odbywało się tam sporo imprez rockowych, z których największą była „Noc rockowa" w amfiteatrze, zatytułowana „Muzyka w serce wstąpi nam". Myślę, że przy obecnym zalewie tej muzyki jedno zdanie wystarczy, tak jak musiało wystarczyć to, co pokazano w nie do końca rozsuniętych suwakach, będących scenograficznym pomysłem Marka Grabowskiego.

Z imprez towarzyszących największym zainteresowaniem cieszył się „Kompot" — musical rockowy Jonasza Kofty i Bene Rychtera. Widowisku temu przyznana została nagroda dziennikarzy akredytowanych przy festiwalu. ■

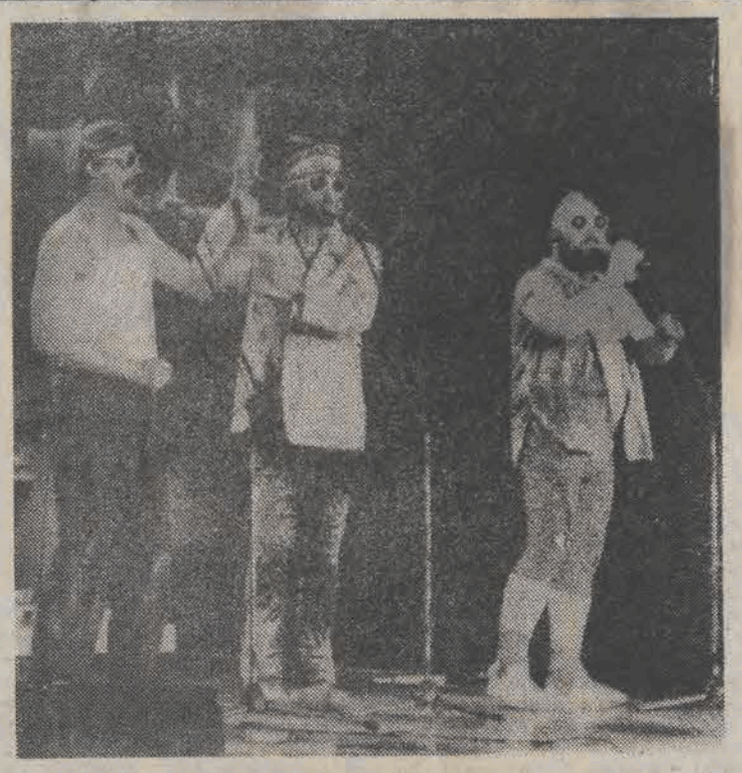

Wały Jagiellońskie

Nie tylko dla wojska

Nie będę ukrywał, że tak zatytułowane było widowisko słowno-muzyczne, według mojego scenariusza i z moimi tekstami, które miało swoją premierę podczas niedawno zakończonego XVII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Ale pamiętając ów dziecięcy wierszyk o samochwale, co w kącie stała, nie mam zamiaru chwalić czy recenzować własnych produkcji estradowych. Zresztą czytelnicy, których poziom tego spektaklu naprawdę interesuje, będą mogli ocenić go już niebawem — jako jedyne z całego festiwalowego zestawu widowisko „Nie tylko dla wojska" zostanie pokazane w programie telewizyjnym w okolicach Święta Odrodzenia.

Nadając taki tytuł zarówno godzinnej całości estradowej jak i temu materiałowi chciałem wyrazić swój pogląd na to, czym — moim zdaniem — powinien być organizowany corocznie festiwal w kołobrzeskim amfiteatrze. Otóż jestem przekonany, a moje wieloletnie obserwacje (byłem na tej imprezie już po raz ósmy) to potwierdzają, że święto piosenki żołnierskiej musi być dobra, atrakcyjna zabawa właśnie „nie tylko dla wojska" stąd takie ożywienie wnoszą — na przykład — utwory, które oscylują na granicy tematyki żołnierskiej i cywilnej. Nie można (i na szczęście organizatorzy zdają się to coraz lepiej rozumieć) zamykać się w skostniałej formie marsza, będąc hermetycznym na wszelkie nowatorskie trendy w muzyce. Wyłączenie poszerzanie wachlarza propozycji artystycznych choćby nawet z początku nieco szokujących, daje gwarancję nadążania za duchem czasu.

Pisząc widowisko „Nie tylko dla wojska" wraz z komozytorem Jackiem Malinowskim staraliśmy się o tym pamiętać: zaadzaliśmy się również w tej kwestii z reżyserem spektaklu — Jerzym Woźniakiem. Wprawdzie widowiska są podczas Festiwali Piosenki Żołnierskiej wyłączone z wszelkich ocen jurorów, ale na potwierdzenie słuszności naszej koncepcji nie musieliśmy długo czekać. Jesienią ubiegłego roku szkicując widowisko wpadłem na pomysł ożywienia akcji udziałem autentycznych polskich komandosów — i pomysł ten wypalił. Dziennikarze akredytowani przy XVII FPŻ (przy czym mam świadków, że w tej sytuacji ja jako przedstawiciel „Odgłosów" nie wypowiadałem się) przyznali swoją nagrodę grupie żołnierzy 6 Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej za wybitne walory widowiskowe pokazu stanowiącego udaną próbę stworzenia nowej stylistyki estradowej w widowisku „Nie tylko dla wojska". Tak to brzmiało dosłownie w protokole. Dodam jeszcze, że chłopcy w czerwonych beretach otrzymali dziennikarską nagrodę jednogłośnie. A co potrafią żołnierze z pododdziału podporucznika Edwarda Gruszki, którzy przez kilka dni gościli w Kołobrzegu, to już temat na osobny materiał, o jaki może zresztą się kiedyś pokuszę.

Teraz ciekawostką gwoli rozbawienia. O ile w przypadku naszych komandosów można mówić o perfekcji, o tyle w przypadku, który przytoczę za chwilę — bynajmniej. Nie wiem, czy to wina teleksu czy telefonu, w każdym razie w sobotnim wydaniu jednej z gazet sprzed tygodnia ukazała się taka informacja: „Tego jeszcze tu nie było. W kołobrzeskim amfiteatrze spadł dosłownie z nieba (a właściwie z dachu nad sceną) autentyczny desant na liniach, z których jedna grupa natychmiast zaczęła bronić sceny, a druga atakować. No i zaczęło się..." Później słów parę o drugim z wystawianych w tym dniu widowisk i znów: „Ale gościem (winno być, jak sądzę, gwoździem — przyp. K. D.) czwartkowego wieczoru w amfiteatrze było widowisko słowno-muzyczne „Nie tylko dla wojska" z muzyką J. Malinowskiego i tekstem Drzewieckiego w reżyserii Jerzego Woźniaka. Piosenki i pieśni, balet, dużo ruchu, no i oczywiście ów desant i ćwiczenia spadochroniarzy, łamiących gołymi rękami grube deski, walczących na noże, kije, rozdających ciosy mogące zabić dosłownie k o n i a. Jacek Lech z zespołem „Prima Voto" i b a l e t e m zaśpiewał „To nic, to tylko świat", nastrojową balladę „Szesnasty kołobrzeski" bardzo dobrze zaprezentował Ryszard Arning i Janusz Jędrzejczyk". Uroczy akapit, prawda?

Jako autorowi jednego z widowisk, nie wypada mi recenzować trzech pozostałych, z których każde — trzeba to przyznać — było zupełnie odmienne i w formie, i w treści. Telewidzowie mogli się o tym przekonać oglądając je na małym ekranie. Tyle tylko, że transmisje festiwalowe nie stały w tym roku na najwyższym poziomie, zwłaszcza jeśli chodzi o realizację obrazu.

Cztery tegoroczne widowiska słowno-muzyczne przedstawione na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu w pierwszych dniach imprezy przytłoczyły pozostałe koncerty, zdominowały festiwal. Właściwie poza widowiskami i galówką, w której znalazły się ich fragmenty, odbył się wyłącznie koncert „Premier". Czego by się nie powiedziało, to w oczach wielu obserwatorów przybyłych tu świeżo po festiwalu opolskim — koncert ten był ciekawszy niż nowe propozycje jubileuszowego XX KFPP. Wśród trzydziestu trzech piosenek przedstawionych w kołobrzeskich „Premierach" znalazło się co najmniej pięć, sześć, zasługujących na uwagę, choć były też pozycje ocierające się o szmirę. Jury obradujące tym razem pod przewodnictwem prof. Antoniego Poszowskiego, rektora Akademii Muzycznej w Gdańsku, wytypowało najlepsze piosenki. Publiczność nie protestowała podczas odczytywania werdyktu, więc chyba decyzja była słuszna. Zastanawia mnie jednak fakt, jak długo jeszcze podobać się będą utwory wykonywane na pograniczu dobrego smaku, a wywoływani do bisów wykonawcy pozwalać sobie będą na zachowanie nie licujące ze sceną. Takie wypadki zdarzyły się tego roku w Kołobrzegu.

Od kilku lat nie ma podczas FPŻ konkursu amatorów — młodych solistów i zespołów wyłanianych drogą ogólnopolskich eliminacji. Podobnie, jak w Opolu i Zielonej Górze, ten koncert również był zawsze bardzo znaczący, gdyż mógł stać się przepustką na dużą estradę dla młodego wykonawcy. Niestety, jego finansowaniem zajmowała się Centralna Rada Związków Zawodowych i w aktualnej sytuacji nie ma sponsora dla tej interesującej akcji. A może znajdzie się taka instytucja do przyszłego roku?

XVII Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu stał się już przeszłym wydarzeniem. Jego organizatorzy już wkrótce zajmą się przygotowywaniem następnej, przyszłorocznej imprezy. Faktem jest, iż zainteresowanie świetem żołnierskiej piosenki nie słabnie, mimo że brak ostatnio jakiegoś wielkiego przeboju związanego z wojskiem. O popularności żołnierskiej piosenki świadczył chociażby wypełniony po brzegi przez pięć lipcowych wieczorów kołobrzeski amfiteatr i chęć zabawy ze strony publiczności, która — tradycyjnie — w większości tworzyli wakacyjni turyści. Zainteresowanie władz natomiast wyraziło się przybyciem na koncert galowy gości — przedstawicieli centralnych władz politycznych, administracyjnych i wojskowych z sekretarzem KC PZPR, ministrem kultury i sztuki, szefem Głównego Zarządu Politycznego WP, wiceministrem obrony narodowej; nie mówiąc już o tym, że specjalne deski i kije przeznaczone do rozbicia przez komandosów w trakcie widowiska załatwiał mi osobiście zastępca naczelnika miasta Kołobrzegu.

Konferansjerzy, spośród których najlepiej radziła sobie kołobrzeska debiutantka — Anna Głębocka, pożegnali nas do przyszłego roku żywiąc nadzieję, że spotkamy się nad Bałtykiem przy okazji XVIII Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Ja w to nie wątpię.

Na koniec jeszcze dwie ciekawostki. Wśród wyróżnionych przez jury wykonawców utworów premierowych znaleźli się także przedstawiciele naszego miasta: aktor Leszek Benke, solista Teatru Wielkiego Jerzy Rynkiewicz i piosenkarka Urszula Solarek. Prawie nikt nie zauważył, że przyznana tej ostatniej wykonawczyni dodatkowa nagroda — „Złote Ostrogi" — przypadła jej... niezgodnie z regulaminem, albowiem jest w nim powiedziane iż jest to trofeum przeznaczone dla debiutanta na tym festiwalu. A przecież panna Urszula śpiewała już w Kołobrzegu przed paroma laty.

Wiele osób po powrocie do Łodzi pytało mnie, dlaczego Bogdan Czyżewski śpiewał piosenkę „Czterdzieści lat munduru" stojąc wśród publiczności. Otóż ten sympatyczny piosenkarz jest kontuzjowany (gips na nodze po poważnym złamaniu) i nie było innej możliwości pokazania go, jak ta którą wykorzystano (na widowni i za specjalną zastawką będącą elementem scenografii). Początkowo opatrunek gipsowy miał być zdjęty wcześniej. Kiedy okazało się, że trzeba będzie mieć go dłużej, zamierzano (w porozumieniu z Czyżewskim) zrezygnować z tego występu. W ostatniej chwili powstała ta właśnie koncepcja — i udało się. Piosenka i jej wykonawca zdobyli „Złoty Pierścień". A ktoś ze złośliwych ukuł porzekadło, że wystarczy złamać nogę, by wywalczyć główne trofeum „Kołobrzegu 83". Ale jest w tym z pewnością sporo przesady.

Autor obu relacji: KRZYSZTOF DRZEWIECKI ■

Centralny Zespół Artystyczny WP

Spotkanie z pieśniarzem Łodzi

W „Łodziance" o tej porze dnia było luźno. Zamówiłem pół czarnej, wyciągnąłem z kieszeni „Odgłosy" i pogrążyłem się w lekturze tygodnika.

— Można się przysiąść? — przede mną stał krępy, jednoręki mężczyzna. Jego nalaną twarz ozdabiała krótko przystrzyżona bródka.

— Proszę bardzo! — rzekłem, zastanawiając się skąd znam tego człowieka. Nagle przyszło olśnienie: przecież jest to znany poeta i satyryk Artur Gliszczyński.

— Mistrzu, co pan tu robi w „Łodziance"? — zawołałem w zdumieniu.

— W jakiej „Łodziance"? — oburzył się Gliszczyński. — Przecież siedzimy u „Roszka". Coś się panu dobrodziejowi pomieszało...

— Rzeczywiście — wydukałem zbity z tropu. — „Łodzianka" — to wszak tytuł redagowanego przez pana kalendarza humorystycznego.

— O, właśnie! — zgodził się Gliszczyński. Rzucił okiem na leżący przede mną numer „Odgłosów". — Co tam ciekawego w „Rozwoju"? — powiedział.

— W „Rozwoju"? Wywiad z Ireną Dziedzic — poplątała mi się odpowiedź.

— Dziedzic? Nie znam takiej — zamruczał poeta. — I co jeszcze?

— Piszą też o łódzkich tramwajach...

— Rok prawie jak uruchomiono w Łodzi tramwaje, a temat wciąż aktualny. Wydaje mi się jednak, że tramwaje nie wytrzymają konkurencji dorożek.

— Dlaczego? — zapytałem zaskoczony wypowiedzią Gliszczyńskiego.

— To proste. Tramwajem przejechać się mogę po Piotrkowskiej czy Dzielnej, ale nie pojadę na Pragę, bo tam nie ma szyn. Dorożka zaś dowiezie mnie wszędzie.

— Dorożką na Pragę? Żartuje pan, mistrzu. Przecież to ponad sto wiorst drogi.

— Myślę o łódzkiej, a nie warszawskiej Pradze. Dzielnica ta leży po obu stronach plantu kolei fabrycznej, sięgając aż po zagajnik miejski.

— Łódź się jednak zmienia — powiedziałem ni to do siebie, ni to do mego rozmówcy.

— Co pan sądzi o naszym mieście? — zagadnąłem poetę.

— Co myślę o Łodzi? Że jest brzydka i przygnębiająca, źle urządzona i brudna. Ulice pełne dziur i wybojów. Brak wodociągów i kanalizacji. Prezydent miasta źle wypełnia swoje obowiązki. Zabiega tylko o względy swoich przełożonych i marzy o nowych orderach.

— Chyba zbyt ostro ocenia pan prezydenta Niewiadomskiego? — próbowałem pohamować wzburzenie poety.

— Jakiego Niewiadomskiego?! — rozeźlił się Gliszczyński. — Znowu pan coś pokręcił. Odkąd mieszkam w Łodzi, prezydentem miasta jest Pieńkowski.

— Słusznie — zmitygowałem się. — Przekręciłem nazwisko. Gliszczyński udobruchał się. Podjąłem rozmowę.

— Ludzie uczeni twierdzą, że lubi pan podkreślać swoją warszawskość, podpisując niektóre utwory kryptonimem „Felek z Pragi".

— Przecież to bzdura! — roześmiał się poeta. — Kryptonim wziąłem stąd, że mieszkam na Pradze, ale łódzkiej. Dokładniej przy ulicy Nowej, blisko zagajnika. Mieści się tam przedsiębiorstwo Arkuszewskiego, w którym pracuję.

— To wyjaśnia sprawę. Ludzie uczeni wiodą spór, jak należy pisać pańskie nazwisko. Helena Karwacka uważa że najwłaściwiej — Gliszczyński.

— Nie znam tej pani. W metryce mam zapisane Gliszczyński, ale podpisuję się także Gliszczyński. Jedna litera różnicy, nie ma więc o co toczyć batalii. Przyjaciele zwą mnie po prostu „Glistą". My tu jednak gadu, gadu, a czas płynie. Muszę pana pożegnać...

Poderwałem się na równe nogi, chcąc uścisnąć dłoń poety. Krzesło po przeciwnej stronie stolika było jednak puste. Oczekując na zamówioną kawę musiałem się chyba zdrzemnąć.

WACŁAW PAWLAK ■

Emilian Kamiński

Marek Kondrat
Foto: Zofia Nasierowska

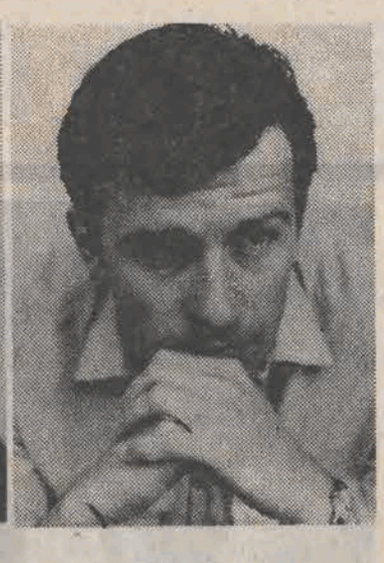

Tomasz Stockinger
Foto: Renata Pajchel

Wojciech Wysocki

Janusz Gajos
Foto: Zofia Nasierowska

Michał Juszczakiewicz
Foto: Renata Pajchel

Chcę być gwiazdorem...

Dokończenie ze str. 1

głem przekonać się do pana Gajosa w roli Tureckiego w „Kabareciku" Ale teraz wiem, że prawdziwy aktor nie powinien powielać się w swojej choćby najbardziej lubianej przez widzów roli, a zaskakiwać widzów coraz to nowymi wcieleniami. W tym przypadku imponuje mi Janusz Gajos".

Krzysztof z Elbląga

MÓWI JANUSZ GAJOS:

— Start do zawodu aktora – zaczynałem od czekania. Do szkoły teatralnej zdawałem czterokrotnie. Trzy razy do Łodzi i jeden raz do Krakowa. W tym czasie odbyłem służbę wojskową, podczas której próbowałem pisać o automatyzacji człowieka pozbawionego w wojsku osobowości. Wziąłem udział w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim, na którym przyznano mi I nagrodę. W Teatrze Lalek w Będzinie pracowałem jako aktor. Ostatecznie zostałem przyjęty do PWSTiF w Łodzi. Na drugim roku reż. Maria Kaniewska zaangażowała mnie do filmu „Panienka z okienka", a na III roku grałem w zawodowym Teatrze „7.15" w Łodzi, na IV — rozpocząłem kręcenie serialu „Czterej pancerni i pies", z którym spędziłem 5 kolejnych lat, z roczną przerwą. Po roli w serialu Tv, na następne propozycje czekałem 3 lata, pracując w łódzkim Teatrze im. S. Jaracza.

— Kiedy dojrzałem jako aktor, zrozumiałem, że popularność młodego, nieznanego człowieka może się odbić na jego zawodowej drodze. że reżyserzy i widzowie po kupieniu tego, co zrobiłem, nie bardzo wierzą, że stać go na coś więcej. Po moich występach w „Kabarecie" — ludzie przestali do mnie mówić: — panie Janku, a zaczęli mówić: — panie Turecki. Najbardziej lubię, kiedy zwracają się po nazwisku.

— Obecnie mogę wybierać role Ale nie mogę wpłynąć na przebieg swojej aktorskiej drogi. Mogę rolę przyjąć lub odrzucić, ale niczego nie narzucać. Jestem przecież człowiekiem do wynajęcia.

— Wiem też, że czekanie na pracę, wywołuje u aktora różne stany, przeważnie niedobre. Może go zepchnąć na płyciznę — na chałturę

— Moja wszechstronność aktorska? Jestem przeciwnikiem podziałów na aktorów: komediant, tragik, romantyk i nie wiem — kto we mnie tkwi. Aktora określają zwykle jego warunki zewnętrzne. Mnie się wydaje, że trzeba grać po prostu człowieka i jego problemy. Można to zobaczyć w tym, co jest dobre w kinie amerykańskim.

„Moim ulubionym gwiazdorem jest Marek Kondrat. Wciąż taki młodzieżowy, choć martwię się trochę co będzie za parę lat, gdy zmienią się jego warunki zewnętrzne, bo przybędzie lat i zmarszczek? Ale na razie lubię patrzeć jak gra, śpiewa i tańczy. Nie będę ukrywał, że chciałbym to robić jak Kondrat".

Robert z Piły

MÓWI MAREK KONDRAT:

— Mówi i pisze się o mnie od lat „młody aktor". Może więc zweryfikujemy pojęcie — kto to taki — „młody aktor". Na pewno w tej grupie mieszczą się ludzie kończący studia aktorskie i wiekiem autentycznie młodzi. Jeżeli chodzi o mnie, to uważam, że nie mieszczę się już w tej młodzieżowej grupie. Mam 33 lata, jestem mężem, ojcem dwojga dzieci, a ze szkołą teatralną rozstałem się 7 lat temu Nagrody aktorskie otrzymałem niedawno, bo będąc już człowiekiem dojrzałym i aktorem z tzw. dorobkiem. Nagrody dają łatwiejszy start. Nie znam kryteriów, według których jestem oceniany, ale wiem, że np. ukończenie studiów z wyróżnieniem sprawiło, że otrzymałem angaż do Teatru Dramatycznego w Warszawie, że do swoich filmów zaangażowali mnie Andrzej Wajda i Janusz Majewski.

— Pracowitość? Nie, nie znajduję tej cechy u siebie. Z natury jestem emocjonalny i mam wesołe usposobienie Moje role dramatyczne są dla mnie zaskoczeniem. Czas pokaże jak sprawdzę się w tym gatunku.

— Prymus w szkole? Ależ skąd! Byłem tam wyróżniany in minus. Np. ze scen otrzymałem dwóję od prof. Janiny Romanówny. Miałem poprawkę. Inni profesorowie ostro mnie strofowali i ostrzegali, że w zawodzie czeka mnie wiele rozczarowań.

— Nigdy nie powoływałem się na swoje koligacje rodzinne, one tylko dopingowały mnie do pracy nad sobą

— Do tego co robię dziś w zawodzie mam dość duży dystans. Aby nie żyć wyłącznie aktorstwem i teatrem — krąg moich przyjaciół wywodzi się z innych środowisk. Moja żona jest cybernetykiem. Nie przesiaduję w teatrze, a to dlatego, że aktorzy obcując wyłącznie z ludźmi ze swego środowiska, często rozmijają się z poczuciem rzeczywistości. Tracą przez to dystans do siebie, do życia, do wszystkiego. Znajomi i przyjaciele spoza teatru dają mi poczucie bezpieczeństwa i wyzwalają aktywność intelektualną z innej płaszczyzny.

„Imponuje mi spośród młodych aktorów — Tomasz Stockinger, bo potrafi być nie tylko lirycznym, wydelikaconym amantem, ale i prawdziwym menem, gdy trzeba. Znajomi mówią, że mam dobre warunki zewnętrzne i talent aktorski. Za rok zdaję maturę. Spróbuję sił w PWST.".

Bogdan z Warszawy

MÓWI TOMASZ STOCKINGER:

— Moje pierwsze pomysły na życie wynikały z pewnego zdezorientowania, braku ostatecznej decyzji życiowej, może nawet infantylizmu, nie zaś skrystalizowanych poglądów i konkretnego wyboru. Myślę, że w tym przypadku nie byłem odosobniony, bo znam kolegów, którzy do aktorstwa też trafili przypadkowo. Pierwsze egzaminy na wyższe studia zdawałem jednak do PWST. W czasie studiów zorientowałem się, że zaczyna mi się rozwijać, dojrzewać, interesować teatrem. Dziś tak wrosłem w aktorstwo, że nie wyobrażam sobie innego zajęcia.

— Na studiach należałem do tych, którzy dostawali dobre stopnie, ale byli lepsi ode mnie. W szkole nic o nas nie wiadomo, dopiero po latach może ujawnić się aktor.

— Propozycje grania w filmie i telewizji przyszły po roli Bogdana w filmie „Sto koni do stu brzegów" Im więcej się gra, tym bardziej chce się grać. To taka zawodowa choroba aktorów Kiedy aktor pracuje mniej, przeżywa najtrudniejsze okresy, występują stresy i wątpliwości.

— Chciałbym dorosnąć do ról, które maksymalnie i w pełny sposób ukazywałyby przeżycia człowieka. Takie role składają się z dwóch czynników: z napisanej roli i osobowości aktora. Czy i kiedy do nich dorosnę to zagadka. Tego nie można sobie zaplanować, przewidzieć. Zdarza się, że sam aktor nie podejrzewa siebie o drzemiące w nim możliwości.

— Tak, mnie się też wydaje, że jestem słaby i chwiejny. Chciałbym być mocniejszy i bardziej zdecydowany. Fascynują mnie wielkie role kina amerykańskiego. Ponadto imponuje mi mit mocnego, prawego człowieka, którym posługuje się kino amerykańskie. U nas tego nie ma. Wszyscy są jacyś połamani, zwichnięci.

— Nie, nie mam skrystalizowanego emploi. Nie dążę do niego, zresztą robią to za mnie inni ludzie. Czasami wbrew mojej woli. Boję się zaszufladkowania, choć każdy aktor jest szufladkowany i każdy chce się tego pozbyć. Chciałbym mieć okazję do pokazania czegoś innego niż to, co dają moje dotychczasowe role.

„Emiliana Kamińskiego pamiętam z roli Błazna Valeria w sztuce „Leonce i Lena", gdzie dał jednostkowy popis aktorski. Dynamiczny, niezwykle sprawny ruchowo, wspaniale śpiewający. Budujący rolę na zasadzie transformacji. Może być wysublimowanym amantem i prymitywnym wieśniakiem lub chłopcem z marginesu społecznego. Jest moim wzorem".

Cezary z Piastowa

MÓWI EMILIAN KAMIŃSKI:

— Zawsze byłem trudnym dzieckiem, co podkreśla moja matka i w jej opinii nie zmieniłem się ani trochę. Tylko wtedy miałem guzy na głowie, a obecnie dostaję dotkliwsze ciosy. Zawsze byłem samotnikiem i to chyba zwracało na mnie uwagę. Ale dzięki temu zrozumiałem, że samotność człowieka jest tym, na co jest skazany w życiu i nie jest to źle. Jeżeli człowiek pozna siebie, to zrozumie mechanizmy rządzące naszym tak często niezrozumiałym życiem.

— Bałem się lustra. Ojciec powtarzał często, że jestem brzydki i wolałem na siebie nie patrzeć, aby nie przyznawać mu racji. Ale lubiłem patrzeć na siebie w odbiciu rzeki Swider, z którą są związane najpiękniejsze chwile mego dzieciństwa.

— Aktorstwo wydawało mi się dobrą zabawą. Ale w miarę upływu lat, w miarę powiększania się mojej praktyki scenicznej, dochodzę do wniosku, że chyba mam do niego powołanie.

— Oczywiście, że pamiętam swój egzamin wstępny do PWST. Gdy wszedłem na salę egzaminacyjną, wydawało mi się, że mam przed sobą ogromny telewizor, bo nigdy nie widziałem jednocześnie tylu aktorów. To spotkanie sparaliżowało mnie. Byłem zdenerwowany, ale też i szczęśliwy, że ci ludzie zgodzili się na poświęcenie mi paru minut. Powiedziałem wtedy do siebie: Teraz wy będziecie mnie słuchali, a nie ja was. I wysłuchali mnie.

— W szkole teatralnej byłem uważany za studenta konfliktowego, niespokojnego ducha. Nie starałem się być systematyczny, nigdy nie zmuszałem się do nauki. Jeśli sprawiało mi to przyjemność, potrafiłem ćwiczyć etiudę przez cały dzień, czasem do późnej nocy. Studia w PWST traktowałem jako okres przejściowy i przygotowawczy do pracy w teatrze.

— W zawodzie i życiu aktora nie ma nic pewnego. Często żyje się na granicy ryzyka. A ja lubię ryzyko.

— Grać dużo i grać dobrze — to marzenie każdego aktora. Owszem, dużym niebezpieczeństwem dla młodego aktora jest, gdy od razu dostaje dużą rolę. Nie mając doświadczenia w mniejszych zadaniach, może mu go zabraknąć w momencie tworzenia roli życiowej. Osobiście przestrzegam zasady, aby nie od razu dawać całego siebie. Staram się również przestrzegać, aby rozwój człowieka i aktora (w moim przypadku) był naturalny. Od najmłodszych lat interesuję się światem niedotykalnym. W PWST zajmowałem się hipnozą, hipnotyzowałem kolegów. Często z dobrym skutkiem. Wydaje mi się, że parapsychologia jest tą dziedziną wiedzy, która może wzbogacić moje aktorstwo.

„Zastanawiam się czy Wojciech Wysocki prywatnie też jest taki cyniczny jak w swoich ekranowych wcieleniach? Mimo to, że gra czarne charaktery, moja dziewczyna przepada właśnie za nim. Osobiście nie podzielam jej zachwytów i nie lubię tego przystojniaczka. Ale też chciałbym grać w filmie i być gwiazdorem. Kto by nie chciał!".

Waldemar z Kielc

MÓWI WOJCIECH WYSOCKI:

— Wszystko zaczęło się od recytatorskiego występu przed moją przybraną ciocią, znaną poetką Joanną Kulmową Ciocia pozytywnie oceniła mój występ i stwierdziła, że powinienem zdawać do szkoły teatralnej. Zdałem.

— Po angażu do Teatru Współczesnego w Warszawie zagrałem jako debiut Kordiana. Pracując nad tą rolą — myślałem: Kordian to ja, będę wyrażał siebie Słowackim Sądzę, że w niektórych spektaklach udało mi się to osiągnąć, ale były też takie przedstawienia, gdzie mogła być widoczna pewna „chwiejność formy". Nad Kordianem pracowałem pół roku.

— W filmie obsadzanie mnie poszło w jednym kierunku. Wszystko zaczęło się od roli Grzegorza w „Con amore", postaci negatywnej. Nie każdemu reżyserowi chce się szukać nowych możliwości u zaszufladkowanego aktora. Moje dotychczasowe role filmowe są podobne do siebie, budowane na jednym schemacie Ale przecież nie jest to uzależnione ode mnie.

— Aktorstwo jest dla mnie czymś co leży między rzemiosłem a osobowością Sądzę bowiem i nie odkrywam w tym stwierdzeniu niczego nowego, że nie ma dobrego aktorstwa bez rzemiosła, ale tchnąć trochę ducha w to rzemiosło nie jest źle. Prawda?

— Po latach bytowania w aktorstwie, przekonałem się, że jest to zawód dla ludzi bardzo cierpliwych i silnych.

— Sukces, kariera, popularność? Sukcesu nie znam, bo go nie osiągnąłem. Kariera, nie wiem czemu, ale kojarzy mi się z czymś łatwym i tandetnym. Może za często oglądałem telewizję? A popularność — nazwałbym łechtaniem próżności.

— Cel i ambicja w zawodzie? Osiągnąć najwyższy pułap i poziom zawodowstwa, które bardzo cenię u innych. Moim wzorem jest Zbigniew Zapasiewicz.

— Ryzyko zawodowe? Była nim rola Kordiana. W tym zawodzie są dwa określające go czasy: czas pracowania na bilet i czas odcinania kuponów. Jestem na etapie zdobywania biletu.

— O swoich rolach szybko zapominam, bo taka jest natura aktora. Muszę grać coś innego, myśleć nad czymś nowym. Najważniejsze dla mnie jest to, nad czym pracuję w danej chwili.

„Chciałbym zostać aktorem, ale nie takim, co trzyma halabardę w teatrze, statystuje w Tv, a na rólkę w filmie czeka latami. Chciałbym grać główne role w filmach jak Michał Juszczakiewicz. Jest taki młody, że chyba nie ukończył szkoły aktorskiej, ale właściwie po co mu ona? Gra takie duże role i w tylu filmach, że nie musi się męczyć na studiach. Zazdroszczę mu.

Zbigniew z Konina

MÓWI MICHAŁ JUSZCZAKIEWICZ

— W szkole podstawowej recytowałem wiersze na akademiach, grałem jakieś role w podwórkowych przedstawieniach, przeważnie na strychu. W trzeciej klasie liceum zgłosiłem się na zdjęcia próbne do serialu Tv „Wakacje". Zostałem przyjęty. Wtedy pomyślałem, że będę zdawał do PWST, choć wcześniej planowałem zdawać na Politechnikę Gdańską, bo na Olimpiadzie Astronomicznej zająłem 12 miejsce. Do PWST w Warszawie zdałem za pierwszym razem. Na studiach miałem problemy z dykcją i prawidłowym oddychaniem, co związane było z moją nerwowością, tremą. Pierwsze filmy nakręciłem pomiędzy III a IV rokiem studiów.

— Mechanizmy lansowania młodych aktorów są dla mnie dziwne. Nie wiem czemu właściwie przypisywać moje zauważenie i tak pełne wykorzystanie w filmie jak do tej pory. Rozwój młodego aktora w kontekście do wpływu jego samego na to, co robi zależy głównie od niego i od szczęścia. Niemal pół na pół. Szczęściem jest spotkać w pracy ludzi mądrych, będących autentycznymi artystami, którzy mogą stać się dla nas autorytetami i mistrzami. To jest chyba najważniejsza sprawa. Jeśli chodzi o mnie, spotkałem kilku takich ludzi i nazywam to dużym zyskiem dla mnie.

— Grając dużo w filmie odczuwam brak teatru. Teraz gram, jestem po premierze monodramu „Się" (fragmenty). To moja pierwsza poważna praca na scenie. Stwierdzam, że głównym miejscem rozwoju aktora jest z pewnością teatr. Film nie jest w stanie dać tego wysycenia pracą, intensywnością i długotrwałością prób. W planach teatru „Kordian", którego mam zagrać.

— Wciąż poznaję swoje wady i zalety i na pewno wszystkich jeszcze nie poznałem, z niektórymi walczę, innym się poddaje. Nie posiadam jeszcze świadomości swego warsztatu. Po prostu jestem tylko dojrzalszy. W momentach zwątpienia i rozczarowania liczę na matkę i żonę. Jestem też od niedawna szczęśliwym ojcem córki Aleksandry.

W zaprezentowanych powyżej wypowiedziach aktorów nie ma nic z pozy na gwiazdora, nawet w okresach tzw. świetnej passy zawodowej nie wierzą oni w sukces i różnie go smakują. Do zawodu są dobrze przygotowani, poza tym mają talenty aktorskie, którymi przebijają się wśród innych absolwentów szkół aktorskich. W sądach na temat tego co robią są ostrożni i długo ważą słowa.

Zbigniew Cybulski czy Daniel Olbrychski zdarza się raz na kilkadziesiąt lat. Myślę że oni mają tę świadomość Ale czy dotrze ona do młodych chłopców marzących o karierze aktora-gwiazdora?

W każdym bądź razie życzę im pomyślnych rozważań na własny temat i ewentualnego miejsca w aktorskiej profesji!

BOHDAN GADOMSKI

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO - OBYCZAJOWA

WŁODZIMIERZ WOLSKI I PODRÓŻNIK

Znany poeta Włodzimierz Wolski (1824—1882), autor librett do oper Moniuszki „Halka" i „Hrabina", słynął w młodości z ciętego dowcipu, w czym zresztą nie ustępował innym kompanom z grona tzw. Cyganerii warszawskiej. Przypominamy mało znaną anegdotę z życia poety-cygana, zaczerpniętą z 218 numeru „Biesiady Literackiej" z 1880 r.:

Poeta nasz, wyczytawszy wieczorem w Kurierze, że jenerał... potrzebuje towarzysza podróży do Tyflisu na wspólny koszt, wybrał się o północy pod wskazany w ogłoszeniu adres. U jenerała już wszyscy spali, Wolski zaczął z całych sił dzwonić, obudzona służba przybiegła do drzwi, pytając co za interes.

— Pilny — odpowiedział poeta — muszę się widzieć z samym panem jenerałem.

Po kwadransie zwłoki Wolski został wpuszczony do salonu, na środku stał jenerał w szlafroku, ze świecą zapaloną w ręku.

— Czego pan żądasz? — zapytał kwaśno nocnego gościa.

— Wszak to pan jenerał potrzebujesz towarzysza podróży do Tyflisu?

— Tak, zrobiłem ogłoszenie, ale cóż tak pilnego, można było zaczekać do jutra. Więc to pan...

— Tak, to ja przyszedłem panu jenerałowi powiedzieć, że wcale nie myślę jechać do Tyflisu.

KARMELKOWY POETA

W „Satyriconie" niejakiego Żaby (podobno pseudonim galicyjskiego humorysty Antoniego Barańskiego), wydanym w 1900 r. w Jarosławiu, znajdujemy charakterystykę Władysława Bełzy, poety, antologisty, autora niezapomnianego „Katechizmu polskiego dziecka" („Kto ty jesteś? Polak mały?)". Zjadliwy portrecik pisarza, karykaturalnie przedstawiający osiągnięcia twórcze Bełzy, mimo zbyt ostrych miejscami rysów odpowiada prawdzie historycznej:

Pegaz mój bryka, człek go nie okiełza
I choć się sili, już go nie powstrzyma.
Ot, rym już gotów: pan Władysław Bełza
Także poeta, a jego maksyma
Jest poetycka: „Że fam człowiek pełza.
Gdzie nie przeskoczy"... Więc za pióro ima
I składa rymy: „fitu, fitu, fitu...
Oto pełniutka skrzynia aksamitu."

Nie mój to koncept, lecz go wyczytałem
Gdzieś, że pan Bełza takie wiersze składa.
A w jego życiu poetyckim całym
Wierszy tych fura. Fura to nie lada.
Zresztą jest jego przedsięwzięciem stałym
Pisanie wierszy. A czy to jest wada?
No, czytelniku, mam koncept nienowy,
Że on poeta tylko karmelkowy.

Ostatni wiersz pamfletu nie byłby zrozumiały, gdyby nie dodatkowe wyjaśnienie. Otóż „karmelkowy" to tyle co słodki, cukierkowy, ale w przypadku Bełzy odnosi się to do jego udziału w zabawie ogrodowej, która odbyła się 4 czerwca 1899 r. we Lwowie. Dochód z owej zabawy przeznaczono na rzecz I Bezpłatnej Czytelni Koła Pań Towarzystwa Szkoły Ludowej. Do udziału w zabawie fantowej zaproszono najwybitniejszych pisarzy: Konopnicką, Kasprowicza, Przybyszewskiego, Żuławskiego, którzy nadesłali swoje teksty, w które z kolei owinięte były karmelki-fanty. Władysław Bełza również nadesłał wierszyk, dzięki któremu pamflecista dopełnił miary swej złośliwości:

Wie nie od dzisiaj mały i wielki,
Jaki to w sobie wdzięk słodycz chowa.
Wszak dzieci łowi się na karmelki,
A starszych ludzi na słodkie słowa.

JAK KTO UMIERA

Królowie i książęta schodzą z tronu. Trębacze, klarneciści i fleciści puszczają ostatni dech. Adwokaci, aktorzy, mówcy milkną na zawsze. Wielcy i mali Żydzi przechodzą na łono Abrahama. Kupcy, bankierzy, rachmistrze liczą się z ostatnią minutą. Podróżni pielgrzymi kończą swą podróż. Sędziowie i prokuratorzy zostają wezwani na sąd Boży. Doktorzy, aptekarze i felczerzy odchodzą tam, gdzie żadnych nie ma chorób ani boleści. Rejenci i notariusze spełniają ostatni śmiertelny akt. Aktorzy i komedianci odgrywają ostatnią rolę. Ubodzy przenoszą się do lepszego świata. Nauczyciele sylabizują ostatnie wyrazy. Redaktorzy wydają ostatni numer... życia. Pijacy żegnają się na zawsze z kieliszkiem.

„Ilustracja Polska" 1902, nr 4

STUDNIA FOREMNA

Staropolska poezja polska obfitowała w wiersze, które nie zawsze mogły być czytane w mieszanym towarzystwie. Zaginęłyby może, gdyby nie systematyczne zapiski kolekcjonerów z tamtych lat, spośród których szczególnie wyróżnił się Jakub Teodor Trembecki (1643—1719), spisujący przez wiele lat owe ulotne wiersze współczesnych mu poetów. Z wydanego na początku naszego stulecia przez Aleksandra Brücknera „Wirydarza poetyckiego" Trembeckiego pochodzi „Studnia foremna", odnotowana w dziale „Wiersze zbieranej drużyny".

Pod wysokim pagórkiem i kępa krzewista
Jest studzienka, która ma wodę przezroczystą
Z obu stron para słupów u źródła wstawionych,
Z alabastru białego kształtnie otoczonych
Tam dnem bystrym wypada zdrój ciekącej wody,
Który w koło sadzone napawa ogrody.
Do tej studni po wodę wiele ludzi chodzi,
Lecz trudny do niej przystęp nie wszystkim wygodzi.
Bo kto chce dosiądz, musi póki stawa szyje.
Wrazić się tak dopiero z onej się napije.
Więc ją nie każdy może tak nachylić kości,
Wielkie drugim ta studnia zadaje trudności.
Starym tam z niej pić trudno, bo i głowa w mierze
Nie stoi i we grzbiecie nie chybkie nacierze.
Dziecioni także, bo choć te młode kości mają
Przez krótkość jednak szyje pić nie dosięgają.
Oto kto nie ma według proporcyej szyje,
Sięgając tej tam wody, trudności zażyje.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Dwa łyki Ameryki

TADEUSZ BŁAŻEJEWSK

1.

Andrzej Kijowski znów dał znać o sobie jako pisarz. W tym samym prawie czasie ukazały się dwie jego książki: „Dezygent i inne opowiadania" w Wydawnictwie Literackim oraz nakładem Czytelnika „Podróż na najdalszy Zachód". Ta ostatnia stanowi zbeletryzowany opis kilkumiesięcznej podróży po Stanach Zjednoczonych, odbytej mniej więcej dziesięć lat temu. Jest w naszej współczesnej literaturze taki nurt, którego symbolem przez dłuższy czas była „Podróż" Stanisława Dygata, a który polega na zbieraniu refleksji Polaków udających się z takiej czy innej okazji w podróż na zachód od Łaby. A ponieważ — z różnych zresztą powodów — nie każdy u nas w taką podróż się wybiera — więc i pisarskie oraz dziennikarskie relacje z podróży (jak mawiano jeszcze niedawno: raporty) cieszą się znacznym czytelniczym zainteresowaniem.

2.

Okazję podróży stworzyło Kijowskiemu wystosowane przez Paula Engle, poetę i profesora uniwersytetu w Iowa City, zaproszenie do uczestnictwa w imprezie pod nazwą „International Writing Program" (Międzynarodowy Program Literacki). Przedsięwzięcie owo, jak wynika ze zbeletryzowanego sprawozdania, polegało przede wszystkim na bezpośrednim intelektualnym i towarzyskim kontakcie kilkunastu autorów z najprzeróżniejszych stron świata którzy —najczęściej zresztą przy pomocy tłumaczy — przedstawiali co jakiś czas swoje prace na różne tematy, dyskutując potem, przede wszystkim jednak mieli luz, dużo wolnego czasu i mogli prawie dosłownie robić, co im się tylko żywnie podobało. Jakże więc w takiej sytuacji nie skorzystać z możliwości poznania Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej?

3.

O samym Międzynarodowym Programie Literackim w stanie Iowa pisze Kijowski z sympatią, ale przeważnie żartobliwie, bo w końcu nie bardzo było wiadomo, co na nim robić. Powstawały więc sytuacje zabawne i dowcipne, ale nie będę tu o nich opowiadał, aby nie odbierać ewentualnemu czytelnikowi przyjemności wysłuchiwania ich z ust autora. Twierdzi on, iż owo dziwne seminarium wzięło się „z nadmiaru amerykańskich pieniędzy, z inflacji wszelkiej darmochy, z koegzystencji, kooperacji, z détente, z łatwości podróżowania, stąd, że samoloty, statki i hotele trzeba kimś zapchać, no i stąd, że powstał wszechświatowy stan «literatów», «intelektualistów», to znaczy ludzi, o zupełnie nieokreślonych umiejętnościach i kwalifikacjach, którzy sami, swym uporem, tupetem, natarczywością, a czasem odwagą, czasem wreszcie siłą rzeczywistego talentu (jeden na dziesięć tysięcy), ustalają własną wartość. Nasza dziedzina jest tworzenie fikcji, wywoływanie sztucznych wrażeń, zastępczych emocji i uczuć". Nie może im się oprzeć również czytelnik książki Kijowskiego, któremu pozostaje wyobraźnia i coś na kształt zawiści, że nie miał szczęścia być wybranym przez pana Engle'a, aby zakosztować paru łyków Ameryki.

4.

Zrozumiałe, że przybysza z innego kontynentu fascynuje przede wszystkim to, co widzi. Ulega magii liczb — najwyższa budowla, jaką ogląda, posiada 110 pięter i około 400 metrów wysokości. Nawet nie może zobaczyć jej w całości, bo ginie w obłokach. Ale taki widok czyni wrażenie na Europejczyku, zwłaszcza na Europejczyku ze Wschodu. Sięga więc do lektury i od tej pory za przewodnik po Nowym Jorku służyć mu będzie książka Jacoba Riisa „The Battle with the Slum". Relacje z podróży wsparte lekturami zasługują po prostu na baczniejszą uwagę, są bardziej pouczające.

5.

Kiedy turysta nasyci oczy, zastanawia się nad mentalnością tubylców. Andrzej Kijowski czyni to jakby przez pryzmat westernu: „Prawo, państwo, religia, wszelka instytucja i wszelka ideologia są wtórne, myśli Amerykanin. Pierwsza jest obecność człowieka na Ziemi i jego prawo do obrony. Nie prawo jest źródłem bezpieczeństwa, ale bezpieczeństwo jest źródłem prawa i każdy je stanowi na swoją potrzebę". W centrali FBI w Waszyngtonie zainstalowana jest specjalna czerwona lampa, która zapala się raz za razem. Jej światło oznacza, że w Stanach zginął właśnie kolejny człowiek. W takim kontekście powyższa refleksja zdaje się posiadać głębsze znaczenie.

Nigdy nie byłem w Ameryce, ale zdaję sobie sprawę, że nie jest łatwo o niej pisać. Przede wszystkim dlatego, że chyba od samego jej odkrycia pokutuje na świecie mit Ameryki, mit bogactwa i wolności. Trwa uporczywa wiara w szczęśliwość tej ziemi. Stereotyp pucybuta, który zostaje milionerem, należy do najtrwalszych. Przypominając różne mity autor „Podróży na najdalszy Zachód" stara się je skonfrontować z tym wszystkim, co zobaczył i czego doświadczył. Być może była to konfrontacja dość przypadkowa i powierzchowna, lecz dla mitów raczej niezbyt korzystna. Zresztą z amerykańskimi mitami walczyć o tyle jest trudno, że hołdują im głównie sami Amerykanie. Są święcie przekonani, jak pisze Kijowski, iż jest im lepiej niż komukolwiek na świecie, bo po prostu mieszkają w Ameryce. Przez całe dziesięciolecia panowały tu mity konstruktywne, związane przede wszystkim z intensywnym rozwojem gospodarczym: mit ogrodu, czyli ziemi, która rodzi sama; mit przemysłowej prosperity; mit kalifornijskiego złota; mit amerykańskiego standardu życia, czyli posiadanie przynajmniej domku z ogrodem i samochodem. Dziś konkurują z nimi, rozpowszechnione zwłaszcza wśród młodzieży, mity schyłkowe raczej: życia improwizowanego, bezcelowej włóczęgi, różnych form kontestacji. Nad tym wszystkim unosi się jednak blue jeans oraz guma do żucia — zewnętrzne, powierzchowne formy światowych wyobrażeń o szczęśliwej Ameryce.

6.

Andrzej Kijowski nie byłby chyba sobą, gdyby nie skorzystał z paraboli. Dostarcza jej znaleziona w bibliotece uniwersyteckiej w Iowa City irlandzka legenda o podróży świętego Brendana Żeglarza, który zasłyszawszy o pięknym i żyznym kraju, wybrał się tam z gromadą świątobliwych mnichów. „W tej legendzie — wyznaje Kijowski — wyczuwałem wielką antynomię ruchu i trwania, odnowy i tradycji, wolności i dyscypliny, antynomię, która jest tajemnicą kultury i jej napięciem wewnętrznym. Czyż jej dzieje nie składają się z dwóch sprzecznych nakazów: nakazu szukania nowości i nakazu powracania do źródeł?" Na takiej to właśnie kanwie podróżny udający się na najdalszy Zachód, buduje znaczną część swojej relacji.

7.

Doczytawszy tę relację nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż amerykańska skala inna jest od europejskiej. Po prostu zdeterminowana poczuciem nadmiaru, obcym nam raczej. Czy europejski biedak, na przykład, jest w stanie pojąć, iż amerykański Murzyn udający się krążownikiem szos do własnego domku poza miastu, też może być biedakiem? „Amerykańskiej zamożności nie mierzy się bowiem ani ilością, ani jakością używanych przedmiotów, ale stopniem zależności ekonomicznej i swobodą poruszania się w przestrzeni społecznej (...), większość Amerykanów nie ustaje przez całe życie w poszukiwaniu lepszych miejsc osiedlenia i pracy oraz lepszego wykorzystania swoich zdolności. Ten ruch daje im poczucie szczęścia, które nam, mieszkańcom kontynentów podzielonych granicami i przeludnionych, jest w ogóle nieznane". Dla pojęcia skali amerykańskiej istotne staje się więc poczucie przestrzeni; aby zrozumieć Amerykę trzeba pamiętać, iż wyrosła ona z konfrontacji człowieka z przestrzenią, oraz o tym, że zdobywał ją człowiek już cywilizowany. Czy jednak rzeczywiście ją zdobył? Czy tylko oswoił, bo wygoda i pragmatyzm są tu w cenie jak nigdzie. Dwa łyki Ameryki zaczerpnięte z „Podróży na najdalszy Zachód" nie na wszystkie możliwe pytania odpowiedzą, ale nie o to też chodzi. Wystarczy, że ukazują różnorodność świata.

Andrzej Kijowski: „Podróż na najdalszy Zachód". „Czytelnik". Warszawa 1982 s. 237, nakład 20 320 egz., cena zł 70.—

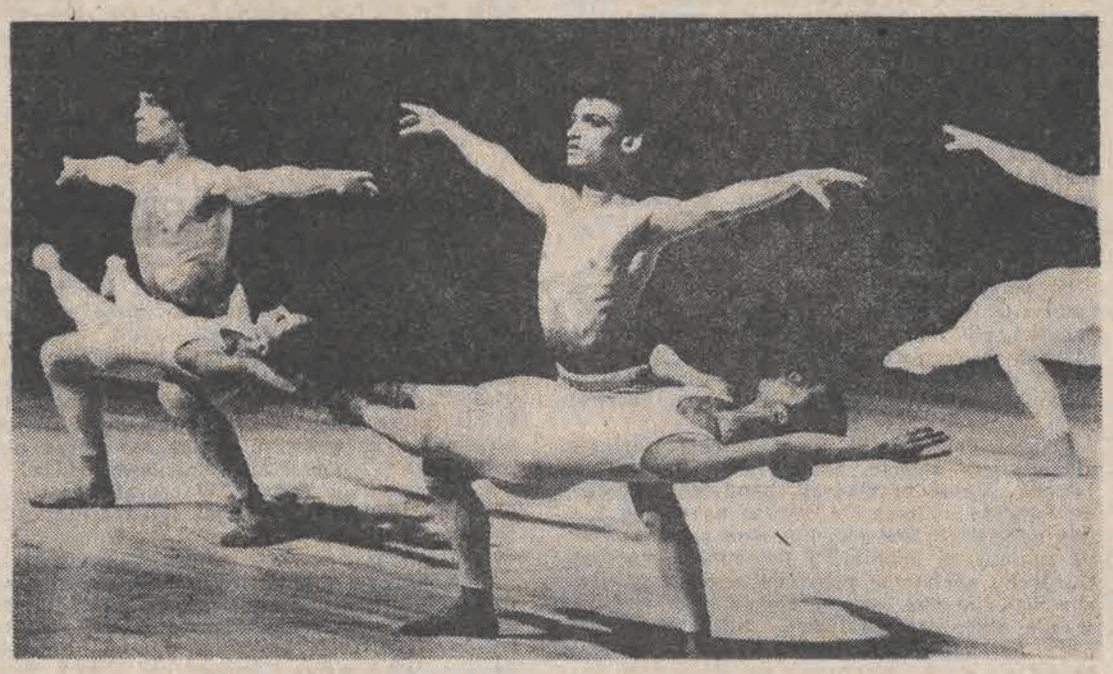

Foto: Mirosław Zajdler

Z półki recenzenta

SZCZURY TOBRUKU

W „Bibliotece Pamięci Narodowej" ukazała się książka poświęcona słynnym „Szczurom Tobruku" — polskim jednostkom walczącym w Afryce przeciwko osławionym dywizjom Roomla. Nazwa „Tobruk" weszła na stałe do leksykonu zmagań i bohaterskich potyczek żołnierza polskiego w czasie ostatniej wojny.

W tej niewielkiej książeczce, opartej na dokumentach, a także wspomnieniach żołnierzy Karpackiej Brygady, zawarta została niezwykła, obfitująca w ciężkie zmagania i wyniszczające bitwy epopeja tych, którzy po tragicznym polskim wrześniu, poszli walczyć na obczyznę „o wolność waszą i naszą".

Stanisław Ozimek: W pustyni i w „Tobruku". PIW 1982. Str. 170. Cena 60 zł.

ZNOWU ŁYSIAK

Waldemar Łysiak pisze tylko bestsellery. A skoro sam jest o tym przekonany, więc stara się na fali czytelniczego boomu osiągnąć najwięcej: w ciągu 9 lat wydaje 12 książek (niektóre miały po kilka wydań!). Temat: Napoleon, jego epoka i dzieje Polski i Polaków z tą epoką związane.

Właśnie otrzymaliśmy drugie wydanie (uzupełnione) jego pierwszej książki pt. „Kolebka" opowiadającej o walkach, bohaterstwie, patriotyzmie i stosunkach Cesarz — Polska. Jest tylko jedna obawa: oto w miejsce kultu Napoleona w przeciętnej rzeszy czytelników rodzi się kult Łysiaka. Czy zaćmi zesłańca z wyspy św. Heleny?

Waldemar Łysiak: Kolebka. Wyd. Poznańskie 1983. Str. 262. Cena 90 zł.

LETNIA NOC

Carol Dunlop pojawia się po raz pierwszy na naszym rynku księgarskim. Kanadyjka pisząca po francusku dotąd jakoś nie mogła znaleźć uznania u polskich tłumaczy. A szkoda. Zawarte w wydanym tomiku opowiadania są przesycone niezwykłym klimatem małych spraw i zdarzeń, które poprzez ich umiejętną interpretację, stają się nagle istotne, niebanalne i ważne. Opisywane zdarzenia tylko z pozoru są mało znaczące, bo w konsekwencji stanowią przyczynki do prawd o człowieku, o jego życiu i o jego samotności.

Przekład: Maria Ziębina.

Carol Dunlop: Letnia noc. Wyd. Lit. 1983. Str. 90. Cena 30 zł.

HISTORIA DAWNYCH MONGOŁÓW

Stanisław Kałużyński, prof. Instytutu Orientalistycznego UW dokonał trudnej, a na naszym gruncie pionierskiej, pracy pisząc historię dawnych Mongołów. Poprzedzony wieloletnimi badaniami tekst, zawiera obraz społeczeństwa mongolskiego począwszy od życia plemiennego XII w. Poznajemy jego obyczaje, kulturę, organizację armii, która pod wodzą Czyngis Chana podbiła niemal całe obszary Azji od Morza Żółtego po Kaspijskie, i która z powodzeniem najeżdżała Europę. Wreszcie dowiadujemy się wielu szczegółów o kulturze materialnej i duchowej ludów koczowniczych.

Stanisław Kałużyński: Dawni Mongołowie. PIW 1983. Str. 316. Cena 300 zł.

PARKING „KONWALIA"

Tę książkę polecamy szczególnie gorąco. Kilka lat temu powieść tegoż autora „Piętaszek, czyli Otchłanie Pacyfiku" stała się u nas bestsellerem, a nazwisko Michela Tournier głośne.

W prezentowanym dziś zbiorze opowiadań dominuje tematyka ludzkich losów przedstawiona w niezwykle ciepłym nastroju i do tego świetnym językiem. Nie zawaham się napisać, że każde z 8 opowiadań stanowi swego rodzaju perełkę stylu, klimatu i przesłania filozoficzno-moralnego. Niewątpliwą zasługą jest znakomity przekład Eligii Bąkowskiej.

Michel Tournier: Parking „Konwalia" i inne opowiadania. PIW 1983. Str. 142. Cena 120 zł.

TRAGEDIA AMERYKI ŁACIŃSKIEJ

Jest to książka tyleż piękna, co wstrząsająca. Zawarta w niej została cała historia Ameryki Łacińskiej od momentu kiedy Kolumb postawił stopę na nieznanym sobie lądzie. Od tego też momentu rozpoczyna się jedna z najkrwawszych historii w dziejach ludzkości: grabież i gwałt popełniany na rdzennych mieszkańcach odkrytego kontynentu w imię Boga i europejskiej cywilizacji.

Autor kreśląc historię Ameryki Łacińskiej zdaje się mówić, że od czasów konkwisty nic się nie zmieniło: dzieło grabieży zatacza coraz szersze kręgi, choć tym razem niebezpieczeństwo przyszło z północy, ze Stanów Zjednoczonych.

Przekład: Ireny i Marka Majchrzaków.

Eduardo Galeano: Otwarte żyły Ameryki Łacińskiej. Wyd. Lit. 1983. Str. 320. Cena 160 zł.

Tam, gdzie dachy słomą kryte (10)

JERZY ŻUKOWSKI

W poprzednim odcinku zostawiliśmy oddział Sama otoczony z dwóch stron przez Niemców w czasie wycofywania się z akcji na terenie Reichu. Oto dalszy ciąg relacji:

Od Krucicy skręcono bardziej na wschód. Było tu suszej, przeto oddział zaczął iść szybciej gdy tylko pozwalały na to zaorane pola. Niemcy starali się zajść drogę partyzantom, ale korzystając z dróg po obu stronach, to zbliżających się to znów oddalających, pozostawali nieco w tyle. Pamiętając zaś o dobrym uzbrojeniu oddziału nie śmieli podchodzić zbyt blisko I tak z wolna zbliżano się do wsi Wola Błędowa, za którą w odległości dwóch kilometrów majaczył Las Domaradzki ze swymi stawami i bagnistymi łąkami, które w przypadku leśnej obławy, bardzo by ją Niemcom utrudniały.

Widoczny za wsią las przyciągał do siebie jak magnes i przyśpieszał tempo marszu chłopców. Tylko jednemu z nich marsz ten odbierał chęć do życia. Był to Grom, który już dwie godziny szedł w za ciasnych butach — tych które Kaper dostał od Wirka dla swej narzeczonej, a Grom uparł się, aby je choć przymierzyć. Po zaskoczeniu oddziału przez wroga nie było czasu, aby je zdjąć i teraz Grom ledwo już powlókł pościeranymi nogami.

Tymczasem oddział minął już prawie Wolę Błędową i właśnie wtedy zza ostatnich zabudowań na nie osłoniętą przestrzeń wyjechało galopem pięciu niemieckich żandarmów. Chcieli oni konno wyprzedzić oddział i odciąć mu drogę do lasu po zajęciu dogodnych pozycji i ostrzelaniu od czoła. Żandarmi galopowali w odległości około dwustu metrów i nikt do nich nie strzelał. Szkoda było amunicji ze względu na odległość i to że byli w ruchu. Z niepokojem czekano na dalszy rozwój wypadków, bo gdyby żandarmom rzeczywiście udało się zagrodzić drogę do lasu, a pozostali Niemcy podciągnęli bliżej, szanse partyzantów na otwartym polu były niewielkie. Aby oddalić się trochę od jeźdźców, skręcono ostro w lewo i w ten sposób znaleźli się oni na prawym skrzydle czwartego patrolu. Obserwujący ich Osa odezwał się do Kapra: „Patrz, s...syny jadą, żeby odciąć nam drogę do lasu, a my nic nie możemy im zrobić". Kaper był jednak innego zdania i polecił Świerkowi rąbnąć do żandarmów ze swego erkaemu. Świerk stwierdził, że co prawda są za daleko, żeby trafić, ale może po nich szurnąć. Cały patrol rozłożył się więc na ziemi, a Świerk rozstawił na nóżkach erkaem i złożył się do strzału. Nie wierząc w skuteczność całego przedsięwzięcia i nie podnosząc nawet celownika na odpowiednią odległość, przycisnął mocno kolbę erkaemu i nacisnął spust. Z lufy poszła długa, dwudziestostrzałowa seria, a gdy magazynek był już pusty, oczom wszystkich ukazał się nie do uwierzenia widok: droga galopowało pięć koni, na których nie było już jeźdźców.

Gdy patrol Kapra uświadomił sobie, co się właściwie stało wszyscy rzucili się na Świerka i zaczęli ściskać go i całować z radości, skacząc przy tym jak dzieci. Dla postępujących za oddziałem Niemców widok tańczących partyzantów musiał wydawać się dziwny, ale przecież ta jedna szczęśliwa seria z erkaemu znów otworzyła oddziałowi drogę do lasu. A las z każdą minutą był już coraz bliżej. Od tego, kto pierwszy do niego dotrze, zależało życie trzydziestu trzech ludzi.

Ostatnie pół kilometra idący przodem trzej szperacze przebyli w wielkim napięciu. Nie było bowiem pewne, czy Niemcy nie obsadzili wcześniej skraju lasu i nie czekali tylko na zbliżenie się partyzantów. Toteż kiedy szperacze dotarli do pierwszych drzew i nie padły stamtąd strzały, wszyscy ruszyli za nimi biegiem i tylko Grom z Kaprem szli wolnym krokiem. Zaraz jak tylko dołączyli do odpoczywającego oddziału, Kaper ściągnął buty z nóg Groma a kiedy ten zdjął skarpetki, ukazały się nogi obtarte tak straszliwie, że musiał je opatrzyć doktor, nakazując Gromowi zająć miejsce obok rannych na wozie.

Ponieważ po wejściu partyzantów do lasu Niemcy zaprzestali pościgu, chłopcy mogli odpocząć prawie całą godzinę, obserwując bacznie przedpole i posilając się. Doktor mógł też wreszcie spokojnie opatrzyć rannych, którzy — jak się okazało — potrzebowali natychmiastowej pomocy chirurga ze względu na ciężkie rany brzucha.

Po zapadnięciu zmierzchu ruszono w dalszą drogę przez las — początkowo ostrożnie, leśnymi duktami często przystając, a kiedy już się na dobre ściemniło, oddział wyszedł na twardą drogę i bez obawy spotkania Niemców pomaszerował w kierunku folwarku Domaradzyn.

Kiedy dotarto na miejsce w pierwszym rzędzie przeniesiono rannych do dworu i dopiero tu doktor zaczął ich starannie badać, w czym pomagały mu dwie panie, które przedstawiły się jako członkinie miejscowej organizacji AK. Doktor Wiesław stwierdził, że obaj dostali kilka postrzałów w brzuch, przy czym kule pozostały w środku na skutek osłabienia ich siły rażenia, gdyż najpierw przeszły przez deski płotu, zza którego Nero i Melania strzelali do Niemców. Stan ich był prawie beznadziejny i jedynie natychmiastowa operacja w szpitalu mogła jeszcze uratować im życie. W takiej sytuacji nie mogło być mowy o dalszym transportowaniu. Po dziesięciu godzinach drogi na trzęsącym się wozie, musieli mieć zapewniony bezruch. Oddziałowy lekarz i tak nie mógł więcej im pomóc, a chirurg miał być sprowadzony z Głowna następnego dnia. Obowiązywała przecież godzina policyjna.

Tak więc obu rannych przekazano pod opiekę pań ze dworu, a wszystkim mieszkańcom folwarku nakazano zachowanie milczenia o bytności oddziału. Po zjedzeniu naprędce przygotowanej kolacji chłopcy pożegnali się z przytomnym jeszcze Nerem, który prosił, aby zabrano ich ze sobą. Wielu ukrywało w oczach łzy, jako że nikt nie miał już nadziei zobaczenia Nera i Melanii żywymi, a wypowiadane słowa pocieszenia, że za parę dni, gdy tylko zajmie się nimi chirurg, poczują się lepiej, kłuły swym kłamstwem uszy słuchających. Dla odchodzących było to tym boleśniejsze, że musieli pozostawić towarzyszy broni, którzy za cenę swego młodego życia uratowali oddział przed całkowitym zaskoczeniem przez Niemców, a może i zagładą.

Nad ranem oddział dotarł na kwatery do Michałowa w gospodarstwie Antoniny Wróblewskiej, gdzie po rozstawieniu wart i wyznaczeniu kolejności służb zmęczone trzydziestopięciokilometrowym marszem i przeżyciami poprzedniego dnia towarzystwo rozłożyło się wizbie na słomie, szybko zapadając w głęboki sen.

Gdy się rozwidniło, Wirek wysłał meldunek do Głowna, do Miecza i Rymszy, gdzie znajduje się oddział i że dwaj ranni pozostali w Domaradzynie. Było już prawie po południu, gdy na kwaterę przybyła łączniczka Krzywda, przynosząc rozkazy i wiadomości. Oczywiście najbardziej ciekawiło wszystkich, co stało się z rannymi.

Niestety, z samego rana do głowieńskiej komendy AK dotarł meldunek z Domaradzyna, że obaj ranni partyzanci zmarli prawie w tym samym czasie po utraceniu przytomności. (Obaj pośmiertnie odznaczeni zostali Krzyżem Walecznych) W takiej sytuacji, by uchronić się przed donosami mieszkańcy folwarku powiadomili o wszystkim żandarmerię w Głownie.

Po tej smutnej wiadomości zarządzono zbiórkę oddziału. Dowódca wygłosił krótkie przemówienie, poświęcone Melanii i Nerowi, po czym uczczono ich bohaterską śmierć trzema minutami ciszy. Następnie zaintonowano pieśń, skomponowaną w czasie pierwszej wojny na cześć Orląt Lwowskich: „Poszedł w bój krwawy hufiec harcerzy...". W oczach zebranych widać było ukrywane wstydliwie łzy. Podczas tej skromnej uroczystości Kaprowi i Pikowi przypomniały się też marzenia Melanii, który kiedyś umówił się z narzeczoną Kapra na spotkanie na balu partyzanckim po zakończeniu wojny. Nikt z nich nawet nie przypuszczał, że takiego balu nie będzie!

W smutnym nastroju wysłuchano dalszych nowin. Otóż według z trudem zebranych wiadomości, oddział miał duże szczęście i uniknął rozbicia w wyniku błędnych kalkulacji Niemców i dzięki podjęciu jedynie słusznej decyzji Wirka — wycofania się na lasy Domaradzyna.

Rodzice dziewczynki, która uciekła wartownikowi przy stodole, powiadomili Niemców o jakichś „umundurowanych bandytach", z czego wyciągnięto wniosek, że jest to na pewno ten sam oddział partyzancki, który od pewnego czasu buszuje na pograniczu Reichu z Generalną Gubernią, nachodząc bogatych gospodarzy niemieckich. Szybko zorganizowano więc obławę w sile około trzystu ludzi: żołnierzy z różnych formacji i cywilów. Sądząc że oddział będzie się starał przedostać do pobliskiego lasu, tuż za Moszczenicą, obsadzono głównymi siłami jego skraj, oskrzydlając szeroko cały teren, a także wysłano patrol rozpoznawczy, który dotarł do samego domu i z którym stoczono walkę.

Zarządzony przez Wirka odwrót przez pola do odległego o dziesięć kilometrów lasu, całkowicie pomieszał szyki Niemcom, którzy zdołali dopiero zamknąć do połowy pierścień okrążenia. Szybkie wycofanie się oddziału spowodowało oderwanie się go od głównych sił niemieckich, które czekały na partyzantów z zupełnie innej strony. Niemcy zorientowawszy się, że przeciwnik tak dobrze uzbrojony jest w broń maszynową, nie kwapili się podejść na odległość celnego strzału, a później, po zastrzeleniu przez Świerka pięciu konnych żandarmów, zaniechali poważniejszej akcji i ograniczyli się tylko do odprowadzenia oddziału w pobliże lasu, ostrzeliwując wycofujących się partyzantów z dużej odległości.

Według otrzymanych informacji, w całej akcji miało zginąć dziewiętnastu Niemców, a kilku zostało rannych, co — biorąc pod uwagę odległości, z jakich strzelano — należy uważać za duży sukces. Ale wiadomości o stratach przeciwnika przyjęte zostały bez entuzjazmu wobec śmierci Nera i Melanii.

Podczas wieczornej zbiórki Świerk, Wit, Sokół-policjant Mitręga, Masław, Leser, Koszka i doktor Wiesław wyróżnieni zostali przez dowódcę za ich postawę. Bryczkę i konia podarowano gospodarzom kwatery, a dwa inne konie polecono przekazać dwóm gospodarzom, którzy uprzednio przysłużyli się oddziałowi. Łup przekazano na przechowanie głowieńskiej „dywersji", po czym, aby znaleźć się jak najdalej od miejsca wydarzeń, oddział odskoczył aż w okolice Koluszek, maszerując w minorowym nastroju spotęgowanym jeszcze siąpiącym tej nocy deszczem.

Tak zakończyła się ostatnia wyprawa oddziału Sama do „Szwajcarii".

XVIII. ROZPUSZCZENIE ODDZIAŁU

Pod koniec listopada dzień był już bardzo krótki. Partyzantom dawało to coraz większe poczucie bezpieczeństwa, gdyż noc, trwająca teraz dwie trzecie doby, była ich opiekunką, ale chłody i ciągle padające deszcze znacznie utrudniały działalność. Mnożyły się przeziębienia, które przy częstym zmienianiu kwater niełatwo było wyleczyć. Toteż ci, którzy nie byli „spaleni" opuszczali stopniowo oddział i wracali do swych domów. W początkach grudnia stan liczebny wynosił już tylko dwudziestu paru ludzi.

Brak liści na drzewach znacznie ułatwiał ludności niemieckiej i szpiclom zbieranie informacji o oddziale Sama. Niemcy nabrali już pewności, że to tylko ten jeden oddział działa w okolicy. Wiadomości i donosy nie zawsze były jednak wykorzystywane, gdyż Niemcy zajęci byli teraz osobistymi sprawami i przygotowaniami do ewakuacji. Front stał nad Wisłą, przygotowywana była zimowa ofensywa. Mimo to władze niemieckie w Łodzi, Łowiczu i Skierniewicach nie zaprzestały zupełnie poszukiwania oddziału Sama. Wyczekiwali tylko na sprzyjające okoliczności — takie, jak pod Strykowem — by zorganizować silną obławę i rozbić oddział tak jak stało się to wcześniej z oddziałem Maszynisty. Przyjęta przez partyzantów zasada — nie stać na tej samej kwaterze dwa dni, — była główną przeszkodą w wytropieniu oddziału Sama.

Tymczasem na wsi coraz odważniej grasowali różnego autoramentu złodzieje i bandyci. Nachodzili nocą zamożniejszych polskich gospodarzy, przedstawiali się jako żołnierze Ruchu Oporu a następnie grabili, dopuszczali się gwałtów, terroryzowali bezbronną ludność, zakazując pod groźbą zemsty meldować o napadach władzom niemieckim. Chcąc ukrócić ich bezkarność, Komenda Okręgu poleciła oddziałowi przeprowadzić przy współpracy z dywersją kilka akcji oczyszczających teren z bandytów i przestępczych elementów. Po ich przeprowadzeniu w okolicy zapanował spokój.

Poza tym jeszcze pod koniec listopada oddział Sama podłożył minę na torach kolejowych w pobliżu Rogowa, ale zamiast transportu wojskowego wykolejono tylko pociąg z węglem, gdyż Niemcy w ostatniej chwili zmienili rozkład jazdy, o czym nie było już możliwości powiadomić oddziału.

Dla tak zwanych „spalonych" Komenda Okręgu przygotowała tymczasem zimowe kwatery w pobliżu Głowna, Koluszek i Rogowa, i w połowie grudnia nastąpiło rozpuszczenie oddziału. W każdym rejonie rozmieszczono sześciu — siedmiu ludzi, pojedynczo u zaufanych obywateli i członków AK. Broń długą po odpowiednim zakonserwowaniu oddano do magazynów rejonowych, a broń krótką i granaty zamelinowano w podręcznych magazynach każdego rejonu, pozostawiając każdemu z partyzantów pistolet jako broń osobistą.

W ten to sposób zostały utworzone trzy patrole polskiej żandarmerii polowej, mającej za zadanie zadbać o bezpieczeństwo miejscowej ludności polskiej oraz ścigać i zwalczać bandytów oraz szpiclów. Dowódcami tych patroli zostali: na rejon Głowna — ppor. Sam, który wyleczył się już z odniesionych ran, na rejon Rogowa i Jeżowa — chor. Masław i kpr. Kres, zaś na rejon Koluszek — kpr. Grom i plut. Nurek, podlegający pchor. Wirkowi „Spaleni" najczęściej przebywali na melinach w tych okolicach, z których pochodzili i które dobrze znali.

W drugiej połowie grudnia nadeszły mrozy, jednak śniegu nie było, przeto nocne patrole członków oddziału Sama mogły śmiało chodzić po zamarzniętych polach, nie zostawiając za sobą żadnych śladów. Chłopcy przychodzili znikąd i znikali bez możliwości ich wytropienia. Działalność patroli była przy tym tak skuteczna, że w krótkim czasie zupełnie ustały bandyckie napady i na wsi zapanował spokój. Miejscowa ludność była pełna uznania dla swych opiekunów i obrońców, ale cieszyli się też z tego nawet trochę niemieccy żandarmi, gdyż polscy partyzanci wyręczali ich skutecznie w ściganiu przestępców.

Przed Bożym Narodzeniem spadły pierwsze śniegi i nastała prawdziwa zima. Patrol głowieński zaciągnął się w tym czasie do „Argusa" — przedsiębiorstwa nocnych stróżów, którzy jako Werkschutze pilnować mieli rusznikarni urządzonej przez Niemców w dawnej fabryce Norblina w Głownie. Chłopcy myśleli o przetrwaniu tam zimy, a następnie zrobieniu „wielkiego skoku" na rusznikarnię przed powrotem do lasu. Skończyło się to jednak tylko na planach.

Pod koniec drugiej dekady stycznia Armia Czerwona i Wojsko Polskie przekroczyły Wisłę, zajęły Łódź i okolice, teren działania oddziału Sama. Z początkiem lutego — jak cała Armia Krajowa — oddział Sama rozwiązał się a jego członkowie zwolnieni zostali z przysięgi zachowania tajemnicy. Niektórzy z nich, jak na przykład Masław, czy Kres, wstąpili do działającego u boku Armii Czerwonej Polskiego Wojska oraz organów bezpieczeństwa — do akcji ścigania faszystów, współpracowników Niemców i szpiclów. Inni, wróciwszy do swych domów i rodzin, przystąpili do odbudowy zniszczonej wojną Ojczyzny. Najmłodsi powrócili do szkół kontynuować przerwaną naukę.

Do ostatniego apelu żołnierzy oddziału Sama nie stawili się jego poległi bohaterowie: Bąk — Ryszard Gałązka, Mur — Stanisław Duklewski, Berkut — ? Galicki Melania — Janusz Kowalski, Nero — Jerzy Szperling. Swe młode życie oddali Polsce. Cześć i chwała ich pamięci!

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że działalność oddziału nie pociągnęła za sobą żadnych specjalnych aresztowań, ani represji ze strony okupanta wobec polskiej ludności cywilnej na terenach gdzie oddział działał. Śmiem też twierdzić, że oddział Sama, choć walczył na tak trudnych dla partyzantki terenach, był chyba najbardziej zdyscyplinowanym i najlepiej uzbrojonym w zdobyczną broń oddziałem partyzanckim takiej liczebności na wszystkich ziemiach polskich podczas drugiej wojny światowej.

Gdynia, czerwiec 1980 roku.

Takie oto były dzieje partyzanckiego oddziału Sama z Okręgu Łódzkiego Armii Krajowej, spisane w dziesięć lat po wojnie przez jednego z trzech kronikarzy oddziału, a poprawione i uzupełnione po trzydziestu pięciu latach materiałem uzyskanym w późniejszym czasie.

Opracował i do druku podał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Polemiki • Listy • Opinie

ŻYDZI W DAWNEJ ŁODZI

Po przeczytaniu w „Odgłosach" artykułów o historii Żydów, pragnąłbym dorzucić kilka uwag o Żydach w Łodzi.

Udokumentowana obecność Żydów w Łodzi sięga końca XVIII wieku. Według danych ze spisu przeprowadzonego w 1793 roku Łódź zamieszkiwali dwaj Żydzi z rodzinami (łącznie 11 osób na liczbę 190 mieszkańców). Byli to piekarz Daniel Layzerowicz i krawiec Abram Lewkowicz. Imienny spis ludności żydowskiej przeprowadzony w 1808 roku na polecenie władz wykazał już obecność 24 rodzin (łącznie 98 osób) wyznania mojżeszowego. Burzliwy rozwój przemysłu pociągnął za sobą wzrost liczby mieszkańców, wśród których poważny odsetek stanowili Żydzi. W latach siedemdziesiątych XIX stulecia odsetek ludności żydowskiej wahał się w granicach 22–23 proc.

Ogromna ekspansja Żydów na nowo powstające miasta przemysłowe, w tym także i Łódź oraz niechęć chrześcijan do nich sprawiły, że władze miejskie wyznaczyły w 1825 roku specjalny rewir w rejonie Starego Rynku, w którym mogli zamieszkiwać Żydzi. Żyd chcący osiedlić się poza rewirem musiał otrzymać specjalne zezwolenie, którego wydanie było uwarunkowane m.in. odstąpieniem od noszenia tradycyjnego stroju oraz wykazaniem się odpowiednim statusem majątkowym. Pierwszymi, którym zezwolono zamieszkać przy ulicy Piotrkowskiej byli Ludwik Mamroth, kupiec i Dawid Lande, hurtownik przędzy. Ograniczenia te zniesiono dopiero w 1862 roku, lecz nie wywołało to masowego pędu ludności żydowskiej do przesiedlenia się w inne rejony miasta. Przybywająca do Łodzi biedota nadal tradycyjnie zamieszkiwała tereny dawnego rewiru.

Wraz z napływem ludności żydowskiej do Łodzi zaistniała potrzeba dostosowania się do miejscowych warunków, a jednocześnie zorganizowania życia społecznego według swoich obyczajów, co niezwłocznie zaczęła czynić nowo powstała gmina żydowska. Wybrano Starszych Kahalnych z których dwaj Mojżesz Fajtlowicz i Pinkus Zajdler położyli największe zasługi dla organizowania życia tej społeczności. Za ich przyczyną wybudowano w 1809 roku pierwszą bożnicę przy ówczesnej ulicy Dworskiej, a następnie zakupiono od małżonków Adama i Magdaleny Lipińskich w 1811 roku plac przy ówczesnej ulicy Wesołej pod cmentarz żydowski za sumę 36 złp. Dotychczas zmarłych chowano na cmentarzach w okolicznych miastach. Cmentarz przy ulicy Wesołej powiększany kilkakrotnie pełnił swoją funkcję do 1892 roku, kiedy to nabyto tereny przy ulicy Brzezińskiej, na których założono nowy cmentarz żydowski.

Toczące się spory między sferami oświeconymi (zwolennikami żydowskiej Haskali czyli Oświecenia) a ortodoksyjnymi o władzę doprowadziły w 1822 roku do rozwiązania gmin, a w miejsce dotychczasowych kahałów powstały Dozory Bożnicze.

Wraz z założeniem cmentarza utworzono 24.V.1811 roku instytucję do opieki nad nim noszącą nazwę Bractwa Pogrzebowego. Jego założycielem było 10 obywateli żydowskich wyróżniających się statusem majątkowym. Po przyjęciu na siebie jeszcze obowiązku pielęgnowania chorych bractwo to otrzymało nazwę Chewra Kadisza u'Bikur Cholim — Bractwo Święte i Pielęgnowanie Chorych.

Łódzka Chewra Kadisza była instytucją arystokratyczną i ekskluzywną, a zaliczenie w jej poczet było wielkim honorem, o który zabiegali najznamienitsi obywatele żydowscy. Jednocześnie była najstarszą żydowską instytucją charytatywną w Łodzi. Przy jej znacznym udziale wybudowano w latach 1859–61 synagogę przy ulicy Wolborskiej (dawniej Dworskiej) oraz łaźnię rytualną. Jej fundusze również przyczyniły się znacznie do budowy szpitala żydowskiego. Bujny rozkwit działalności Bractwa Świętego przypada na lata 1840–1870, zaś po tym okresie jego działalność ogranicza się już czysto do spraw, dla których zostało ustanowione.

Znamienity udział w dziele rozbudowy miasta mieli również obywatele żydowscy. Od samego początku uczestniczą oni czynnie w dziele rozbudowy przemysłu łódzkiego tworząc podwaliny pod przyszłe potęgi przemysłowe. Wystarczy wspomnieć chociażby rodzinę Poznańskich, będących potentatami łódzkiego przemysłu, a których dobra służą do dziś społeczeństwu. Wspaniałe pałace, ogromne zespoły fabryczne są dzisiaj świadectwem burzliwej historii naszego miasta.

Ten zastygły nurt życia odnaleźć można jeszcze spacerując alejami cmentarza żydowskiego w Łodzi. Obok nieczytelnych już nagrobków odnaleźć można jeszcze wspaniałe grobowce będące świadectwem minionej epoki. Zachowały się m.in. grobowce rodzinne czołowych postaci życia gospodarczego miasta jak np. Barcińskich, Dobranieckich, Poznańskich, Hertzów, Prussaków i Silbersteinów.

Mimo, że Łódź żyła głównie problematyką przemysłową, istniało w niej również bogate życie kulturalne. Tutaj żyli i tworzyli znakomici malarze jak: Samuel Hirszenberg, Maurycy Gotlieb czy Maurycy Trębacz. Łódzkie gazety i wydawnictwa książkowe ilustrowali m.in. tacy graficy jak: Joanim Kahane czy Artur Szyk. Pochodzeniem żydowskim legitymował się także założyciel pierwszej polskiej gazety w Łodzi, jakim był „Dziennik Łódzki" — Henryk Elzenberg. Nie należy również zapominać o współczesnych nam twórcach Arturze Rubinsteinie i Julianie Tuwimie, których rodowód wywodzi się z Łodzi.

Pasmo żydowskich sukcesów na gruncie łódzkim, podobnie jak w całej Polsce, przerwała okupacja hitlerowska. Dzieło zniszczenia zapoczątkowało zburzenie we wrześniu 1939 roku synagogi dla oświeconych Żydów wybudowanej w latach 1881–87 na skrzyżowaniu ulic Spacerowej (obecnie Al. Kościuszki) i Zielonej, w miejscu gdzie obecnie jest stacja benzynowa i postój taxi. Po niej przyszła kolej na ludzi. Z 250-tysięcznej rzeszy Żydów jaka znalazła się w Łodzi w chwili zajęcia jej przez wojska niemieckie 8.IX.1939 r. wyzwolenia doczekało 887 osób.

MAREK SZUKALAK

NAJLEPIEJ, NIE JEDŹCIE DO HISZPANII!

Wprawdzie ilość podróżujących turystycznie Polaków po krajach zachodnich wyraźnie ostatnio zmalała, niemniej ilość ta nie spadła do zera a i zapewne wkrótce zostaną znów otworzone szersze możliwości wojażowania. Do tych wszystkich dzisiejszych i jutrzejszych turystów adresuję trochę uwag i ostrzeżeń, które narodziły się w czasie niedawnej naszej kempingowej wycieczki samochodowej.

Skuszeni pięknymi folderami zachwalającymi zabytki, krajobrazy, klimat, ludzi, zachęceni rzekomą taniością i zapowiadaną opieką — wszystko dla turystów, mając po temu możliwości wybraliśmy się na zwiedzenie Hiszpanii.

Foldery nie kłamały: różnorodność i piękno krajobrazów bogata aż do przesytu architektura, bogactwo świetnie zachowanych zabytków — były wielokrotnie podziwiane i opisywane. Nie jest moim zamiarem powtarzanie zachwytów i przekazanie wrażeń estetycznych. Moje spostrzeżenia i uwagi pragnę poświęcić zachowaniu się ludzi w Hiszpanii i ich stosunkowi do obcokrajowców.

Nie jesteśmy pierwszymi, którzy zostali napadnięci i obrabowani. Zdarza się to w każdym kraju. Ale rzadko w którym kraju jest możliwe dokonanie napadu rabunkowego w południe, na ruchliwej, pełnej przechodniów ulicy dużego miasta przy niemym, ale nie bez pewnego zaciekawienia przyglądaniu się jak napastnicy zatrzymują samochód, blokują drzwi kierowcy, wywlekają siedzącą obok niego kobietę na uliczny asfalt biją, a następnie z wyrwaną jej torebką, która trzymała na kolanach uciekają — a tłum gapiów, przechodniów robi szpaler, aby nie utrudniać złodziejowi ucieczki.

Ale zanim nas to spotkało, z opowiadań przygodnych sąsiadów na kempingach dowiadywaliśmy się, że pewnemu małżeństwu ze Szwajcarii wykradziono w Maladze z pozostawionej na ulicy przyczepy kempingowej wszystko, co dało się z niej wynieść: koce, ubrania, radio, sprzęty itp. i to w ciągu niecałej godziny ich nieobecności. A przecież złodzieje, aby dostać się do środka musieli łomem otworzyć drzwi, z przyczepy wynosili duże przedmioty, wszystko to na oczach tłumu przechodniów w pełni dnia. Innym turystom z RFN w pozostawionym na krótko na ulicy w mieście Cadiz samochodzie wybito szybę i zabrano wszystko, co przedstawiało jakąś wartość. Nie było właściwie kempingu, na którym nie spotkalibyśmy jakiegoś poszkodowanego.

W Hiszpanii, szczególnie na południu, działają zorganizowane gangi złodziejskie, a ludność jest albo sterroryzowana i boi się okazać jakąkolwiek pomoc napadniętemu, albo przyzwyczajona do takich wyczynów i zobojętniała, albo co wygląda na najbardziej prawdopodobne, aprobująca ograbianie obcokrajowców, uważanych za bogaczy. Jest to stosunek i uczucie wspólne tym wszystkim społeczeństwom, gdzie, jak właśnie w Hiszpanii, przepychowi mieszkańców pałaców towarzyszy nędza mieszkańców slumsów.

W zrabowanej torebce znajdowały się paszporty, różne dokumenty i znaczna część pieniędzy. Ponury nastrój bezradności rozjaśnił nasz konsulat w Madrycie: zrobiono wszystko, co było możliwe i niezbędne, aby umożliwić nam bezkolizyjny powrót do Polski. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy pierwszymi Polakami obrabowanymi w Hiszpanii, że panuje zasada, iż napadnięty nie powinien się bronić, gdyż może go to kosztować zdrowie lub życie, lepiej oddać torebkę lub portfel niż oberwać dodatkowo nożem. Inna sprawa, że w torebce czy w portfelu nie należy nosić zbyt wielkiej sumy pieniędzy.

Amatorów nocowania na kempingach muszę uprzedzić: nie oczekujcie spokojnie przespanych nocy. Na niektórych bowiem dobrze urządzonych, nieźle, jakby się wydawało ogrodzonych i nie tak tanich — recepcjoniści uprzedzają lojalnie:

— Proszę nie zostawiać niczego w nocy na zewnątrz, wszystko pochować do samochodu i dobrze go zamknąć; nie jesteśmy niestety w stanie ustrzec się złodziei, którzy nocą przechodzą przez ogrodzenie i kradną.

Dopokąd władze w Hiszpanii nie uporają się z plagą złodziejstwa nie powinny liczyć na wzrost wpływów z turystyki. Ale na razie na poprawę nie zanosi się.

Niedaleko po przekroczeniu granicy francusko-hiszpańskiej zatrzymała nas policja drogowa, żądając 15.000 pes. (ok. 115 dol.) za rzekomo niewłaściwe wyprzedzenie innego pojazdu. Jestem kierowcą od ponad 30 lat, a będąc za granicą jeżdżę nawet przesadnie ostrożnie, zdając sobie sprawę, czym może grozić nawet mała kolizja, jakimi formalnymi kłopotami nie mówiąc już o mandatach płatnych w obcej walucie. Stwierdzam, że żadnego wykroczenia nie popełniłem. Targi z policją trwały chyba z godzinę — odmawiałem zapłacenia mandatu nie czując się winnym. W końcu jeden z policjantów odwołał mnie na bok i zrobił gest znany wszystkim, którzy dają i biorą łapówki. Co było robić? 5.000 pes. i zostaliśmy puszczeni wolno.

Drugi raz zatrzymano mnie na trasie z Cordoby do Madrytu. I znów ta sama śpiewka: mandat za rzekome przekroczenie szybkości, chociaż nie robiono żadnego pomiaru. Ale byliśmy tuż po napadzie rabunkowym, napompowani wściekłością pokazaliśmy protokół o rabunku dokładając parę ostrych zdań i na tym się skończyło. Wśród kempingowych sąsiadów znaleźli się również i tacy, których zatrzymała policja drogowa za wymyślone przekroczenia. Ale zatrzymani, będąc nie pierwszy raz w Hiszpanii znali sztuczki policji, postawili się twardo, grożąc interwencją swojej ambasady i im „karę" darowano.

O ile na szosach co 30–50 km spotyka się patrol policji drogowej, o tyle w miastach policji (poza kierującymi ruchem, zresztą rzadko) nie widać. Brak jest z reguły strzeżonych parkingów, które utrudniłyby złodziejską działalność.

Okradanie cudzoziemców przynosi korzyści nie tylko złodziejskim bandom. Ukradzione dobra, a przede wszystkim zawsze i wszędzie cenna waluta obca i to z reguły w ilości większej niż ją miał zamiar zostawić turysta, pozostają i to bez żadnych świadczeń na miejscu. A za przystawienie stempelka zezwalającego na opuszczenie gościnnego kraju poszkodowany musi uiścić po raz drugi opłatę w pełnej wysokości. Więc może nie warto ponosić kosztów na walkę z plagą okradania cudzoziemców?

WŁODZIMIERZ W.
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

DYŻURNA KIEŁBASA

Żadne posunięcia organizacyjne, choćby nie wiem jak doskonałe, nie zastąpią deficytowych towarów. Czy więc rzeczywiście ludzie pracujący i nie posiadający w rodzinie emerytów mogą poczuć smak szynki jedynie dwa razy w roku, na święta? Niestety, wszystko wskazuje na to, że tak. Coraz trudniej będzie także o lepsze gatunkowo wędliny. Brakuje po prostu surowca, czyli wieprzowiny. Brakuje także niezbędnych przy produkcji wędlin naturalnych jelit oraz sztucznych osłonek. Te ostatnie są sprowadzane za dewizy z Francji, a ostatnio i z ChRL. Udział wędlin wołowych, tak bardzo przez łodzian nie lubianych, będzie stanowił przeszło 50 proc. produkowanych ogółem wędlin. Tak więc, chcąc czy nie chcąc, będziemy musieli polubić „husarską", „bielską", „bytomską", serwolatkę, „bełzką" itp.

Przyzwyczajeni jesteśmy od lat do wieprzowiny i do wędlin wieprzowych, których, niestety, jest coraz mniej. Niechętnie więc kupujemy zarówno wołowinę, jak i wędliny z niej wyrabiane. Poza tym są to wędliny, których okres przydatności do spożycia jest bardzo krótki i wynosi od dwóch do pięciu dni. I wreszcie sprawa niebagatelna: brak przypraw. To powoduje konieczność zastępowania przypraw, różnymi substytutami lub koncentratami przyprawowymi. A to niestety pogarsza smak wędlin. W tym miejscu chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewien problem.

Bratem kiedyś udział w degustacji wędlin w Zakładach Mięsnych w Łodzi. Muszę obiektywnie stwierdzić, że wędliny bardzo mi smakowały. I wszystko byłoby pięknie, gdyby ten sam smak miały wędliny w sklepach. A tak, niestety, nie jest. Potwierdzają to handlowcy, którzy w niejednej degustacji brali udział. Stąd ich apel, ażeby to, co producenci mają „na pokaz", było także na co dzień w sklepach.

Zapewne wszystkich interesuje, co też handlowcy robią z wędlinami, których nie uda się sprzedać przed upływem terminu przydatności do spożycia. Oczywiście chodzi tu o wędliny nie cieszące się popytem wśród klientów, takie jak „husarska", „bełzka", „bytomska", mielonka itp. Handlowcy ochrzcili je mianem „kiełbas dyżurnych", które w zasadzie o każdej porze dnia możemy spotkać w sklepach.

— Mamy w zasadzie dwa wyjścia — mówią handlowcy. — Albo przerzucamy wędliny z kończącym się okresem przydatności do gastronomii (restauracje, bary), albo sprzedajemy bez kartek. Ale i to nie odbywa się bez kłopotów. Znajdujemy się między „młotem a kowadłem". Z jednej strony czynniki zwierzchnie patrzą niezbyt przychylnym okiem na sprzedaż bezkartkową (nawet tę uzasadnioną), a z drugiej strony naciska PIH i Sanepid, żeby nie dopuścić pod żadnym pozorem do przeterminowania towaru. Gastronomia bardzo niechętnie przyjmuje „husarską", „bielską" itp. wędliny. W przypadku odmowy pozostaje tylko sprzedaż bez kartek, co zresztą bardziej nam się opłaca z ekonomicznego punktu widzenia.

Udział wędlin w stosunku do mięsa według centralnego rozdzielnika powinien stanowić 37 proc., gdy tymczasem w Łodzi wynosi on 45–50 proc., a praktycznie jest jeszcze większy, gdyż nie realizowane są rozdzielniki na mięso, a przekraczane na wędliny. Dlaczego tak się dzieje? Otóż mięso można dość łatwo kupić na wsi. Cena kg żywca wynosiła w kwietniu podobno 200–250 zł. W ten sposób można przeznaczyć większą ilość kartek na zakup wędlin. Następna sprawa to ogromne spiętrzenie zakupów w ostatnich dniach miesiąca. Trwa to już od półtora roku i będzie zapewne ciągnęło się dalej. Szczególnie dotyczy to wołowiny z kością, gorszych gatunków wędlin i mięsa. Tak np. na początku miesiąca sklepy sprzedają dziennie po 30–50 kg wołowiny, natomiast pod koniec miesiąca często i dziesięć razy tyle. Czym to wytłumaczyć? Niektórzy uważają, że wiąże się to bezpośrednio z wypłatami wynagrodzeń dla pracowników w ostatnich dniach miesiąca. Jednak zdaniem handlowców może to mieć wpływ, ale w minimalnym stopniu. Główną przyczyną — ich zdaniem — jest to, że każdy liczy na to, że uda mu się w końcu zdobyć coś atrakcyjnego. Np. na odcinki kartek „wołowina z/k i cielęcina z/k" można kupić kurczaki. I każdy czeka do ostatnich dni. A może się uda dokonać takiego zakupu. Tymczasem podaż kurczaków pokrywa popyt zaledwie w 10 proc. I w ten sposób ludzie zostają z nie wykupionymi kartkami na koniec miesiąca. Wówczas, żeby kartki się nie zmarnowały, kupują co się da. Przykład z kurczakami wyjaśnia nam nierównomierność popytu na wołowinę. Ta anormalna sytuacja powoduje potrzebę zgromadzenia przez handel bardzo dużych ilości towaru pod koniec każdego miesiąca. A przecież urządzenia chłodnicze w sklepach nie są z gumy, a poza tym wiele urządzeń jest nieczynnych ze względu na brak agregatów i freonu. Zresztą przemysł mięsny też ma określone moce przerobowe, a transport nie przewiezie więcej niż przewidują normy.

— Jak długo więc jeszcze będziemy kupować mięso i wędliny na kartki? — pytam handlowców i producentów.

I jedni i drudzy są w tym punkcie zgodni.

— Przy obecnym poziomie skupu żywca, należy się liczyć z utrzymaniem się kartek przez co najmniej pięć lat — twierdzą.

Handlowcy uważają jednak, że niektóre asortymenty mięsa i wędlin powinny być wyłączone z systemu reglamentacji. Przykładem niech tu będzie prega wołowa i gicz cielęca, których nawet jednego kilograma nie sprzedano na kartki odkąd tylko te istnieją. I mimo że handel i tak zmuszony jest sprzedawać te asortymenty bez kartek (o czym każdy wie), to jednak nie ma kto podjąć decyzji o wyłączeniu ich z reglamentacji. Podobnie należałoby postąpić — zdaniem handlu — z golonką, podgardlem, biodrówką, nerkami, wątrobą wołową, ozorami, „husarską", „bytomską" i „bełzką". Oponenci twierdzą, że zwolnienie tych asortymentów z reglamentacji spowodowałoby brak pokrycia na kartki. Handel przeciwstawia im argumenty o niewykonywaniu od dłuższego czasu rozdzielników na mięso, licznych odmowach przyjęcia od przemysłu wymienionych rodzajów mięsa i wędlin, ze względu na mały popyt, konieczność sprzedaży tych gatunków w dużej ilości bez kartek.

WITOLD LEWANDOWSKI

„KWIATUSZEK DLA PIELĘGNIARKI"

Nawiązując do artykułu Edwarda Bryla pt. „Kwiatuszek dla pielęgniarki" („Odgłosy" nr 28 z 9 lipca 1983), nie mogę oprzeć się chęci podzielenia się swoimi uwagami. Sam tytuł w zestawieniu z tekstem artykułu jest ostrzem satyry, którego pointą jest wypowiedź przedstawiciela władz. Ten dziwny monolog w moim odczuciu pasował do „Szpilek" lub „Karuzeli", a Edward Bryl go znacznie ziagodził. Niestety tego typu wypowiedzi słyszę od ponad dwudziestu lat. Tymczasem w ochronie zdrowia jest coraz gorzej i to na kluczowych odcinkach. Dlaczego? Bowiem większość działań pseudoorganizatorskich dąży do zaostrzenia antagonizmów środowiskowych. Bo łatwiej „łowić ryby w mętnej wodzie". Antagonizmy środowiskowe w obrębie białego personelu są sprytnie wywoływane i wykorzystywane dla umiejętnego przedstawiania ich społeczeństwu wówczas, kiedy nie można przedstawić czegoś konkretnego. Na fali codziennych skandali i dezorganizacji najłatwiej jest znaleźć „chłopca do bicia" wśród ludzi w bieli. Likwidować, restaurować i reorganizować jest bardzo łatwo w grupie zawodowej, której głęboki humanizm nie pozwala stosować ogólnie społecznie przyjętych „fauli". Zresztą temat dezorganizacji pracy ochrony zdrowia to temat — „rzeka". Wystarczy śledzić warianty i propozycje przedstawiane przez wysokie komisje, zespoły i organizacje — jest ich zawsze dwa lub więcej. Dlaczego? Bo trzeba wybrać jeden, a żaden z nich nie ma szans powodzenia. Wtedy można obciążyć wybierającego. W ten sposób od lat brakuje nam pielęgniarek, lekarzy, a o reszcie nie wspomnę.

Od zarania społecznej ochrony zdrowia w Polsce nie usuwa się istotnych mankamentów, nie uczy się ludzi prawdziwej organizacji pracy i nie wynagradza się jej trudu. Dlaczego nie udają się piękne w swej idei programy? Bo nie ma ich kto realizować. Są dowódcy, czasem byle jak wyszkoleni, a nie ma armii, w odpowiednich wielkościach zgranej i docenianej. Dowódca, nawet geniusz, sam nie zwycięża. Taką podstawową armią w ochronie zdrowia są pielęgniarki. W wielu wypadkach armia ta, nie doceniana, nie doposażana, źle traktowana i źle opłacana, ulega demobilizacji i zmienia zawód. Przecież pielęgniarka jest wysoko wykwalifikowanym technikiem medycznym na miarę oficera, a zarabia tyle, że żaden szanujący się fachowiec nie przyjmie takiej gaży, a co dopiero pracujący na zmiany. Nie wspomnę już o nieporównywalnych zarobkach handlarzy, nawet pietruszką na rynku.

Tymczasem ekwiwalent moralny, satysfakcja, „kwiatuszek dla pielęgniarki" to czcze słowa i sporadycznie trafiający się przypadek. Częściej trafia się siostrze miłosierdzia chamskie słowo od pacjenta — reprezentanta coraz bardziej niegrzecznego społeczeństwa.

Organizacja i szkolenie, wszystko zależy od ludzi i w dużej części od tych co kierują. Niestety, wielu wśród nich wdrapało się na stołki nie z konkursu kwalifikacji, ale z konkursu „pleców".

Przysłuchując się obradom Zjazdu Towarzystwa Pielęgniarskiego, można było usłyszeć wiele prawdy, nieraz trochę przesady, trochę nie zawsze słusznych uogólnień wypływających z osobistego żalu, ale i stąd trzeba wyciągać wnioski. Jeden z nich jest pewny i najważniejszy, że władza nie docenia pielęgniarek i nie opiekuje się nimi. Natomiast dobry lekarz, dobry ordynator wie, że dobre wyniki w leczeniu to nie tylko skrupulatność i wiedza kadry lekarskiej, a dokładna i ciągła opieka pielęgniarek. Stąd używany stale stary i zwyczajowy tytuł „siostro", który nie tylko pochodzi od tego, że dawniej pielęgnowały zakonnice, ale od oczekiwania siostrzanej pomocy. Przecież do mężczyzny fachowca w ochronie zdrowia nie mówi się „bracie", a dawniej leczyli mnichowie i zakonnicy.

Swoim poglądom dawałem już nieraz wyraz na łamach pism, w tym i fachowych. Uwag w tych sprawach nasuwają się tysiące. Pielęgniarkom natomiast należy życzyć, aby kwiatuszek był tylko kropką nad i, a nie jedyną nagrodą za ich życiowy trud.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

lek. RAFAŁ MINICH

Łódź, 11 lipca 1983 r.

OD REDAKCJI: List lek. Rafała Minicha podyktowany jest niewątpliwie troską o los służby zdrowia. Tym niemniej trudno ze wszystkim zgodzić się, co pisze autor. A już szczególnie z próbą mitologizacji działania „władzy", która usiłuje „łowić ryby w mętnej wodzie". Nie oznacza to, że w tej dziedzinie nie popełniono takich czy innych błędów, ale zrobili to konkretni ludzie, którzy wzięli na siebie trud i odpowiedzialność administrowania służbą zdrowia, a nie mityczna i anonimowa „władza". Jeśli do każdego problemu będziemy usiłowali przykładać schemat „mądre społeczeństwo i głupia władza", to niczego nie osiągniemy, bo każda próba rzeczowej analizy i wyjścia z sytuacji z góry będzie skazana na niepowodzenie.

WIELKI KONKURS — FOTOGRAFIA POLSKIEJ WSI

Kwartalnik „Fotografia" i tygodnik „Nowa Wieś" zapraszają do udziału w konkursie „Fotografia polskiej wsi" — do 1948 roku.

Zwracamy się do młodych i starszych wiekiem mieszkańców wsi, do tych, którzy mieszkając w miastach znają swoją rodzinną wieś już tylko z dziecinnych wspomnień, bądź z przekazu dziadków, o wzięcie udziału w naszym konkursie.

Interesują nas: portrety chłopskie, zdjęcia dzieci, dorosłych, starców; architektura (nie tylko zagród wiejskich); otwarcie szkoły, poświęcenie mostu, budowa kościoła lub gminy, zebrania, defilady i procesje, uroczystości rodzinne i publiczne, strajki, przemarsze wojsk, partyzantka, nadziały ziemi, zagospodarowywanie Ziem Zachodnich. Wydarzenia ważne w skali jednej rodziny, jednej wsi, jednego regionu i w skali ogólnopaństwowej.

Interesują nas: codzienna praca, życie kulturalne — obrzędy ludowe, zwyczaje, dwory i chałupy, bieda i dostatek, zarejestrowane na kliszy losy jednostkowe i zbiorowe.

Warunkiem konkursu jest:
— odszukanie w rodzinnych zbiorach bądź w kronikach zdjęć, wykonanych przed 1948 r., a ukazujących wieś, osoby, rodzinę, sąsiadów, etc.;
— każde zdjęcie należy w miarę możliwości dokładnie opisać w następującej kolejności: a. kiedy zostało wykonane (rok, miesiąc, dzień); b. kogo bądź co ono przedstawia; c. jakie zdarzenia utrwala; d. przez kogo zostało wykonane; jakiej dotyczy wsi; f. jakiej rodziny;
— opisane zdjęcie (bądź kolekcję zdjęć) prosimy przesłać do 31.X.1983 r. w usztywnionym papierze i koniecznie listem poleconym pod adresem redakcji „Nowej Wsi", ul. Wiejska 17, 00-480 Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Fotografia polskiej wsi".

Każdemu uczestnikowi gwarantujemy zwrot nadesłanych przez niego zdjęć tuż po dokonaniu selekcji historyczno-etnograficznej i artystycznej.

Najciekawsze, najcenniejsze, pojedyncze zdjęcia i całe kolekcje będą nagrodzone.

Nagrody:
I — 20.000 zł
II — 15.000 zł
III — 10.000 zł
20 wyróżnień po 1.000 zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Uwaga: w konkursie „Fotografia polskiej wsi" nagrodę otrzymuje nadawca — a więc człowiek, który odnalazł, przechował dane fotografie, opisał i przesłał je na konkurs.

Oprócz uzyskania nagrody, konkurs stwarza jego uczestnikom szanse przekazania bądź odsprzedania wybranych zdjęć (bądź kopii) zainteresowanym bibliotekom, muzeum lub organizacjom.

Patronat artystyczny nad konkursem objął Związek Polskich Artystów Fotografików, patronat naukowy — Polskie Towarzystwo Historyczne, Instytut Sztuki PAN.

Współorganizatorami konkursu są: Muzeum Etnograficzne, Zarząd Główny ZSMP, Zarząd Krajowy ZMW.

Od latających smoków do łódzkich marzeń

Dokończenie ze str. 1

W zawodach Amerykanie wystartowali na balonie eksperymentalnym, zbudowanym z przezroczystego tworzywa. Szczegóły wypadku bada komisja. Wiadomo tylko, że w okolicach niemieckiego miasta Schweinfurt, na znacznej wysokości oderwała się gondola z pilotami i roztrzaskała o ziemię. Tego rodzaju wypadki miały miejsce przy wzlotach stratosferycznych, o czym jeszcze będziemy mówić, nigdy w zawodach.

Wysoko w przestworzach grozi oblodzenie powłoki i lin zmiana temperatury, ciśnienia, co może wpłynąć na osłabienie materiału, zwłaszcza tworzywa. Niżej nad ziemią takich niespodzianek być nie powinno, mimo trudnych warunków atmosferycznych. A jak powiedzieliśmy — były trudne Najlepiej o tym świadczy fakt, iż najlepsza polska załoga przebyła jedynie niecałe 700 km. Inne „siadały" znacznie bliżej. A rekord w tych zawodach wynosi 2150 km i należy do Belgów. Ustanowili go w 1936 r. startując z Warszawy i lądując koło Archangielska w ZSRR.

AMBARAS W SALI AMBASADORÓW

Człowiek od zarania zazdrościł ptakom, a nawet biednym robaczkom, owadom, których żywiołem jest powietrze. Najszczęśliwsi czujemy się śniąc, iż lekko unosimy się nad Ziemią, fruwamy. Skrzydła pozwalają jaskółce rozwijać szybkość do 150 km na godzinę, amerykańska siewka potrafi w locie ciągłym przebywać 4000 km, majestatyczny bocian ma zasięg tylko 300 km. Nietoperz, to właściwie helikopter, startuje pionowo i do tego ma „radar". Nawet w nocy ona ja, robiąc błyskawiczne zwroty, wszelkie przeszkody. Taka wstrętna szarańcza przelatuje ponad 2000 km bez odsapnięcia, a niezbyt sympatyczniejsza ćma, zwana „trupia główką" — 1200 km. Zadziwiająco te stworki w energię, napęd i sterowanie wyposażyła przyroda Motyl macha skrzydełkami 70 razy na sekundę, co chwytają jeszcze nasze oczy, ale komar aż 300 razy, co odbieramy już tylko jako bzyczenie.

Człowiek w tym kontekście wygląda więc marnie. Może być piechurem, biegaczem, może sobie podskoczyć i co najwyżej wesprzeć się tyczką. I na szczęście — także szarymi komórkami. We wszystkich kulturach z marzeń powstały legendy o przeróżnych wzlotach człowieka — na dywanie, ognistym wozie, orle, miotle czy kogucie, jak nasz szlachcic Twardowski, którego diabelskie siły poniosły aż na Księżyc. Mędrcy i zwykli wiejscy praktycy kombinowali jednak nad uskrzydleniem człowieka. W zapiskach znajdujemy wiele najdziwaczniejszych pomysłów, wzorowanych głównie na postrzeganej naturze Te w stosunku do człowieka nie dały się spełnić. Dopiero dalsze poznawanie praw i zjawisk przyrody prowadziło na właściwą drogę. Nie ma wątpliwości, że jako pierwsi Chińczycy konstruowali latające smoki. Właśnie na ogrzane powietrze. W ich paszczach umieszczali płonące kaganki, co stwarzało wrażenie, że stwór zieje ogniem. Oni też przy pomocy prochu miotali coś w rodzaju pierwszych rakiet.

Różne konstrukcje kreślił Leonardo da Vinci, głównie w formie „mechanicznego ptaka", choć ponoć nieobca mu była tajemnica wzniesienia się „przy pomocy dymu" (a więc ogrzanego powietrza), a nawet zabawiał papieża Leona X latającymi figurkami Inny pomysł frapował fizyka Francesco de Lana, który zaprojektował statek powietrzny unoszony przez cztery wielkie kule z cienkiej blachy miedzianej pozbawione wewnątrz powietrza. Nie znał jeszcze ogromu ciśnienia atmosferycznego, które takie kule zmiażdżyłyby jak bańkę mydlaną.

Zupełnie pewny swego, i nie bez racji, był pewien ksiądz, Lourenco de Gusmao, który przybył w 1709 r. do Lizbony z ówczesnej portugalskiej kolonii, z prowincji Santos w Brazylii. Długo go nie chciano dopuścić do króla z jego petycją, w której prosił o wydanie patentu na budowę latającej machiny, załączając jej rysunki i opis. Oferował budowę całej flotylli dla celów wojennych. Uważając go za postrzeleńca król wydał patent, oczywiście z przymrużeniem oka. Wkrótce jednak Gusmao przyniósł do pałacu dziwaczną konstrukcję, aby zademonstrować jak lata. Z powodu wiatru próba odbyła się w dużej sali audiencyjnej tzw. Sali Ambasadorów. Zachował się opis widowiska, dość humorystyczny. Aparat rzeczywiście latał, ale przy okazji zapalał złociste kotary i narobił ambarasu. Króla pomysł jednak zaciekawił, swego pupila uczynił nawet członkiem Akademii Nauk Flota jednak nie powstała.

WYNALAZEK Z... LENISTWA

My, śledząc narodziny „powietrznej bani", przenieśmy się do Francji. Znów zetkniemy się z Akademią Nauk, w której dyskutowano nad wieścią o wyczynie braci Montgolfier. Młody, wybitny fizyk, Jacques Charles, otrzymał polecenie by pojechać do Annonay i na miejscu zbadać sprawę. Owa decyzja aeropagu uczonych stała się przyczyną nieprawdopodobnego i wręcz zabawnego wydarzenia, jakich niewiele może odnotować historia rozwoju techniki. Zamiast udać się w uciążliwą na owe czasy podróż do zapadłej mieściny prof. Charles, bystry acz leniwy, rozmyślał w Paryżu nad zagadką wzlotu „powietrznej bani". Doszedł do wniosku, że musiałaby być napełniona... wodorem. Gaz ten, odkryty właśnie przed 17 laty, był 4 razy lżejszy od powietrza. Ekspertyzę swoją przedstawił w „Gazecie Francuskiej" i wziął się, z pomocą kolegów, do budowy balonu wodorowego. Jego wzlot mieszkańcy Paryża oglądali w sierpniu 1783 r.

Nie wiadomo, czy profesor bardziej się wstydził czy śmiał, kiedy w miesiąc później dotarli do niego bracia Montgolfier i stwierdzili, że swój balon napełniają ogrzanym powietrzem. A więc chodzi o dwa osobne wynalazki. Balony obu typów długo ze sobą konkurowały, wykazując wady i zalety. Wodór groził wybuchem i spowodował niejedną katastrofę, zanim zastąpiono go niepalnym helem. Ten w naturze występuje tylko w USA, które wkrótce nałożyły embargo na jego sprzedaż. Uzyskiwanie helu w sposób chemiczny jest bardzo drogie i dopiero energia jądrowa stwarza tu nowe szanse. Pozostawał więc gaz świetlny, niestety też latwopalny.

Balony na ogrzane powietrze stwarzały inne kłopoty — potrzebna była aparatura i paliwo do podgrzewania, a poza tym nie mogły mieć dużego udźwigu. Przegrały więc konkurencję i zanikły, by w naszych czasach, teraz, wrócić do łask Japońska firma „Canon" oferuje tanie, nowoczesne balony sportowe na ogrzewane powietrze. W Polsce mamy jeden taki balon. W Aeroklubie Poznańskim. Studenci z Białegostoku sami — z pomocą fabryk — zbudowali podobny. W Łodzi pozostajemy w sferze marzeń i podchodów do sprawy z różnych stron. Od dawna i bezowocnych.

Mieliśmy Zjednoczenie „Stomil", producenta odpowiednich tkanin i wytwórcę balonów na gaz. Mogło być mecenasem i współfundatorem aerostatu dla Łódzkiego Aeroklubu. Niestety, do tej pory nie utworzył on sekcji balonowej, na wzór kilku innych aeroklubów w kraju. Starają się o to zapaleńcy tego pięknego sportu. Kilku z nich zdobyło odpowiednie kwalifikacje (pilota balonowego) na kursie w Poznaniu, skąd pochodzą właśnie tegoroczni zdobywcy pucharu im J Gordona Bennetta, inż. Stefan Makne i Ireneusz Cieślak.

Działacze AŁ powinni energiczniej zająć się tą sprawą. W rachubę wchodzi tylko balon typu montgolfier, gdyż gazowe są bardzo drogie w eksploatacji. Cena gazu ogromnie wzrosła. Z tej racji nie odbyły się w tym roku, posiadające już swoją tradycję międzynarodowe zawody balonowe z okazji Święta Czytelników „Głosu Robotniczego". Koszt zawodów sięgał 2 mln zł. Poza tym gaz jest limitowany, a powietrze nie.

LĄDUJEMY POD PIOTRKOWEM, W ŻYCIE

Sport balonowy jest frapujący. Osobiście latałem już na szybowcach, samolotach sportowych i odrzutowych, na helikopterze. Najprzyjemniej jednak wspominam lot balonem. Nim powiem o paru wrażeniach spójrzmy na współczesny tzw. wolny balon (w odróżnieniu od balonu na uwięzi, np. zaporowego czy obserwacyjnego oraz od sterowca, napędzanego silnikiem).

Wolny, sportowy balon to zwykle bania (np. w pucharze J. Gordona Bennetta regulamin dopuszcza pojemność tylko do 2200 m. sześć), zrobiona z podwójnej nagumowanej tkaniny, lekkiej i wytrzymałej (kiedyś z kitajki — impregnowanego jedwabiu chińskiego). U góry bania ma klapę do upuszczania gazu, z boku tzw. rozrywacz, który gwałtownie pozbawia balon gazu przy lądowaniu. U dołu zwisa rękaw, przez który napełnia się balon. Cała kula objęta jest siecią z mocnych lin, spływających znacznie poniżej i utrzymujących gondolę pilotów, zwaną też koszem.

Od klapy przez wnętrze balonu zbiega doń biała lina, od rozrywacza — czerwona. Przy manewrach nie wolno ich, broń Boże, pomylić. Szarpnięcie czerwonej liny na znacznej wysokości — to śmierć. Choć przezorny człowiek i na taką okoliczność obmyślił ratunek, jako że powłoka może rozerwać się też z innych przyczyn. Piloci zaopatrzeni są więc w spadochrony, które zresztą obmyślono zaraz po narodzinach balonu. Francuska nazwa „poraszut" przyjęła się w innych językach, np. rosyjskim.

A co jest w koszu? Przede wszystkim balast, zwykle piasek Poza tym — aparatura. Busola, wysokościomierz, termometr, wariometr (wskazuje przechyły), mapnik i wlewka — długa lina wyrzucana przy lądowaniu, by stabilizować i hamować balon.

Pierwszy raz do takiego aerostatu o nazwie „Katowice" wsiadłem 3 lata temu w parku na Zdrowiu w ramach zawodów balonowych „GR". Pogoda była nie najlepsza, wiatr silnie kołysał zakotwiczonymi banianami. Tłum ludzi napierał by lepiej widzieć Kolejno odczepiono liny, przytrzymywane nadal przez żołnierzy. W gondoli znalazło się nas czterech. Wreszcie komenda: puszczaj! Porywy wiatru rzuciły balonem ku samochodom. Gondola zerwała antenę z karetki pogotowia ratunkowego, następnie, łamiąc gałęzie drzewa, wyniosła nas ponad park. Lataliśmy jak wielkie wahadło Im wyżej, tym spokojniej. Wreszcie wydało mi się, że stanęliśmy w miejscu, w absolutnej ciszy. Kilometr nad Łodzią. Co za wspaniały widok, co za emocjonalne i estetyczne wrażenie! Jak lekko i wesoło. I... zimno Im wyżej tym zimniej. Na 6 km będzie minus kilkanaście stopni. Widząc na moich rękach „gęsią skórkę" katowiczanie oblekli mnie w sweter, a później nawet w specjalny kombinezon, który na pierwszy rzut oka składał się z samych... kieszeni. Lotnik musi mieć pod ręką wiele przedmiotów.

Byłem uczestnikiem zawodów. I to międzynarodowych. Wokół płynęły majestatycznie balony. Załoga z Wiednia poszła gdzieś wysoko, szuka najpomyślniejszego kierunku wiatru. Lot jest docelowy. Mamy siadać gdzieś przy szosie Piotrków — Bełchatów. Kto najbliżej punktu zero ten wygra. Kapitan zaintrygowany wysokością wiedeńczyka, każe wyrzucać balast. Chwytamy kilkukilowe woreczki z piaskiem i wysypujemy na burtę. Ktoś krzyczy, panowie, uważać część worków ma piasek nie przesiany, są kamienie. A w dole ulice, ludzie, auta, szklarnie. Trefny towar wyrzucimy za miastem (takiego brać nie było wolno).

Piloci próbują mnie nastraszyć, pokpić sobie. Kiedy się dowiadują, że mam „na koncie" 50 godzin na samolotach sportowych — przestają. Już nie proponują, bym czym prędzej zakładał spadochron, bo coś syczy, pewnie gaz uchodzi. Ale opowiadają o swoich groźnych przygodach. Spadli kiedyś w rejonie Sosnowca na hałdę. Innym razem ledwo przemknęli nad linią wysokiego napięcia. Ja zbaczam do „fachowych" pytań. Z jaką szybkością lecimy? Z szybkością wiatru — 9 m/sek, 30 km/godz. A kierunek wiatru? Można sprawdzić. Odczuwa się go na poślinionym palcu lub puszczając taśmy z papieru.

Zachłystuję się kolejny raz przepięknym rozległym widokiem żółtych dywanów rzepaku szarych zbóż, zielonych łąk i lasów. Widzę naraz z lewej Piotrków, z prawej Bełchatów, Łask. Przed nami balony idą już ku ziemi. Kapitan sięga więc po białą linkę. Syczy gaz (świetlny, z łódzkich rur), powłoka marszczy się nieco. Zboża coraz bliżej. Ale wcześniej nastwisko. Rozbiega się bydło. Drogami, ścieżkami biegną ludzie. Jadą na rowerach, motocyklach. Przed nami szosa i... wysokie napięcie. Gwałtowne szarpnięcie czerwoną liną. Żyto łagodzi uderzenie i wleczenie gondoli. Leżymy wreszcie na boku, uczepieni burty. Piloci wyskakują, by z dala zatrzymać nadbiegających. Gaz ciągle syczy, wystarczy czyjś napieros, by zamienić powłokę w kupkę popiołu. Moim znajomym tak się już zdarzyło. Oczekujemy na ciężarówkę, która podążała naszym śladem. Wkrótce się zjawia. Z informacjami: najbliżej celu usiadł wiedeńczyk, pilot z Poznania złamał nogę...

Ściskamy dłoń naszego kapitana, który wydaje ostatnią komendę: panowie, śląskim zwyczajem skaczemy na kufel piwa. Redaktor, prowadź!

Tuszę, że to co z autopsji opowiedziałem, dostatecznie orientuje o co w całym baloniarstwie chodzi Możemy więc znów wrócić do frapującej historii Nim człowiek wyruszył ponad ziemię, najpierw dokonano próby ze zwierzętami. Łajka miała więc swoich poprzedników Zresztą wtedy były takie same obawy przed atmosferą, jak w naszych czasach przed kosmosem. 19 września 1783 roku, w Wersalu, w obecności króla, wypuszczono montgolfierę z kaczką, kogutem i baranem Ówczesna prasa doniosła triumfalnie, iż „żyły wszystkie i zgoła nic zdziczały".

JAK ZGINĄŁ KOT FILUŚ

Ludwik XVI ciągle nie zgadzał się jednak, by w gondoli miejsce zajęli ludzie. Wreszcie postanowił: wsadzi się dwu przestępców skazanych na karę śmierci. Tłumaczono mu, że tu chodzi o honor, zaszczyt, przejście do historii. Baron de Rozier wielekroć wznosił się na balonie przywiązanym liną, dowodząc, że wyżej nie ma „zjadliwego powietrza" i innych niebezpieczeństw. Król wreszcie dał zgodę. 21 listopada 1783 roku, baron i markiz de Arlandes wzlecieli z Lasku Bulońskiego i po 25 minutach lądowali w odległości 8 km. Pierwszy dopędził ich konno książę de Chartres, składając gratulacje: dowiedliście, że człowiek może latać jak ptak! Warto tu od razu dodać, że akuratne 200-lecie wzlotu człowieka obchodzić będziemy w listopadzie, choć Francja, ojczyzna balonu, obchodzi je przez cały rok, organizując wiele imprez pod wysokim protektoratem prezydenta Republiki, parlamentu i rządu. Na każdy miesiąc bieżącego roku są wyznaczone różne imprezy.

Druga ważna data w narodzinach balonlarstwa wypada 10 dni po pierwszej. 1 grudnia owego roku z ogrodu Tuileries wystartował balon gazowy ze wspomnianym już prof. Charles. Lot również był udany. Balon bardzo szybko wyrósł z pieleszy. Po pół roku budową i wyposażeniem był podobny do opisanego wyżej balonu współczesnego. Wokół wynalazku tego żyła, kręciła się cała Francja Baloniki unosiły się na balach, a „sztuczne czereśnie" umykały z rąk królowej.

W miesiąc po paryskich wzlotach, wszystko opisała „Gazeta Warszawska", a król Stanisław, skory do nowinek i nauk, wielce się sprawą zainteresował. Caryca Katarzyna postąpiła wprost odwrotnie — wydała zakaz wszelkich eksperymentów. W Polsce Jan Śniadecki i Jan Jaśkiewicz ze Szkoły Głównej Koronnej (tak wówczas nazywał się Uniwersytet Jagielloński), po udanych próbach z małymi balonikami na ogrzane powietrze, 1 kwietnia 1784 roku (a więc w niewiele miesięcy po Francuzach), wypuścili w Krakowie wielki aerostat w kształcie dwu ostrosłupów ściętych, wysokości 9 m i pojemności 260 m sześciennych. Aparat wzleciał na wysokość 4 km i cało wylądował po kilkudziesięciu minutach. Eksperyment kosztował na owe czasy dużo — 2000 zł Tyle, co wszystkie inne roczne prace badawcze w uczelni. Brak środków stanął na przeszkodzie dalszym próbom.

Trwały, one gdzie indziej, w Warszawie, we Lwowie, Kamieńcu Podolskim (generał Witte), w Puławach. Balonowe szaleństwo było zaraźliwe. W tej ostatniej miejscowości, w familii Czartoryskich, powstało „Towarzystwo Balonowe" pod egidą profesora. Do eksperymentu użyto kota Filusia, który stał się „pierwszym polskim aeronautą", co zresztą przypłacił życiem Balon rozbił się o drzewo

W Warszawie, pod okiem króla, który medalami nagradzał sukcesy, eksperymentów było wiele. Jeden z balonów poleciał na odległość 20 km, do wsi Słupna Wieśniak Lasota rzecz spadłą z nieba zaniósł do księdza. Ten odczytał załączoną karteczkę, że król znalazcy da nagrodę. „Gazeta Warszawska" zresztą ostrzegała, żeby się nie bać latającej bani, bo to robota ludzka, a nie diabelska. Piszę o tym, by dodać, iż chłopi ze wsi Honesse, w ojczyźnie balonu Francji, opadły aerostat zaatakowali widłami (a wodór dawał „smród diabelski") i dla hańby włóczyli przywiązany do końskiego ogona.

W tym czasie powstawała też literatura popularyzatorska i piękna. Aerostat opiewano w poematach (Kniaźnin, Trembecki) pisano dzieła „naukowe". Fizyk J. Osiński, zapatrzony zapewne na wspomnianego Włocha de Lana, obszernie wyłożył konstrukcje dużego aerostatu (30 m długości i tyleż szerokości) z blachy, który by się unosił po usunięciu

Latająca kula

Próba napełnienia balonu „Polonez"

zeń powietrza. Miał latać nisko, ciągniony przez zaprzęg koński i wozić towary na linii Warszawa — Kraków. Uczony wyliczył nawet, że gdyby w roku obrócił 20 razy, to by w ciągu roku przyniósł 24 tys. złotych czystego zysku. Poza tym, już bez koni, mógłby, latając nad rzekami, zastępować mosty i promy. Cele mądre, niestety, zasada fizyczna zła.

Nie dziwmy się Polakowi, koncepcje wielu błądziły. Proponowano np. by do aerostatu zaprzęgać wielkie, tresowane ptaki, jak choćby orły, konstruowano „wiosła powietrzne", ogony sterowe, ręcznie napędzane śmigła. Nasz wspomniany poeta Trembecki przekonywał króla do swojego pomysłu: wystarczy długi drąg z magnesem na końcu, który będzie przyciągał żelazną płytę przymocowaną do gondoli. Balon ruszy do przodu i da się przy tym sterować. Dziś wiemy, że takie dwa przyciągania się znoszą i nie może powstać siła ciągu. Ale Trembecki miał tylko jedno zmartwienie: na takim magnesowym statku busola nie będzie wskazywać północy.

START Z FOKSAL PRZY WYSTRZALE ARMATNIM

Z balonem od początku wiązano wielorakie nadzieje. Kiedy miał zaledwie 7 lat, już zawezwano go do służby wojskowej (na początku patrolowej, później i bombardowań). Następnie został wprzęgnięty jako sterowiec do transportu ludzi i towarów, latał nawet ponad oceanem do Ameryki, nabierając kolosalnych rozmiarów: np. ćwierć kilometra długości. Na trwałe wszedł do sportu poprzez najpierw rozliczne pokazy i mityngi, cyrkowe popisy z wyskakiwaniem ludzi na paraszutach. Służył do płatnych przelotów turystycznych. Dużą rolę odegrał w badaniach naukowych przestworzy. Z wielu dziedzin wyparł go potem samolot. Aerostat jednak nie dał za wygraną, nie chce pójść do muzeum, przeciwnie — zapowiada się jego wielki renesans. Lata w kosmos (stacje łączności telekomunikacyjnej to balony), być może otrzyma silniki odrzutowe i zostanie ogromnym transportowcem.

Przez długie lata służył na pokaz, do zadziwiania ludzi, jak później samolot. Wielu pilotów z tego żyło, i to bardzo dobrze, wśród łask i darów królewskich, niesłychanej sławy. Jednym ze słynniejszych był syn robotnika z Calais, Pierre Blanchard. Przełamał sztywne bariery klasowe, zyskał kult możnych i pospólstwa dzięki odwadze i przedsiębiorczości. On to właśnie jako pierwszy wzleciał na balonie w Polsce, zresztą podobnie pierwszym był w Anglii, Rosji, USA. Jako zawodowy „pokazywacz", za biletami, za pieniądze.

Do Warszawy przybył w 1789 roku. U wylotu dzisiejszej ul. Foksal przy Nowym Świecie istniał ogród do zabaw i widowisk, stworzony na wzór londyńskiego „Vauxhall" — fonetycznie „foksal". Stąd przy ogromnym tłumie, w obecności króla Stasia, Francuz w „towarzystwie Damy" — jak pisała „Gazeta Warszawska" — po wystrzale armatnim, wzleciał na ponad 2 km i żeglując w powietrzu 45 minut doleciał do Białołęki. Gazeta opisuje wielką uroczystość w teatrze, to, że kasztelanic Gurowski oferował owej Damie 100 dukatów za odstąpienie miejsca w gondoli, jak i inny pokaz — opuszczenie z balonu psa na paraszucie. Na cześć Francuza król kazał wybić medal z napisem (w tłumaczeniu z łaciny): „Odważny nie boi się losu Ikara".

Blanchard zginął w czasie swojego 66 lotu, w pobliżu Hagi. W czasie ataku serca wypadł z gondoli balonu. W wielu pokazach uczestniczyła z nim żona, Sophie. Przeżyła męża o kilka lat, ponosząc również śmierć lotnika. W 1819 roku, nad ogrodem Tivoli w Paryżu, zrzucała z balonu sztuczne ognie. Nagle zapalił się balon i zaczął gwałtownie spadać. Publiczność wiwatowała sądząc, że to w ramach popisu. Gondola uderzyła o dom, a pilotka wyleciała na ulicę. Była to jej 67 podróż.

Ażeby nie zapomnieć. Właśnie jej mąż był tym pierwszym, który udał się balonem nad morze przeleciał kanał La Manche, zasługując na dożywotnią pensję od króla i pomnik w miejscu lądowania. Wprawdzie w locie przeżyć miał wiele. Będąc tuż nad falami, wyrzucał z gondoli wszystko, w końcu własne spodnie. Tej samej sztuki chciał w rok później dokonać pierwszy człowiek, który wzleciał nad ziemię, baron de Rozier. Skonstruował sobie jednak fatalny aparat, właściwie pułapkę śmierci. Połączył oba typy balonów — nad gondolą zwisał pojemnik na ciepłe powietrze, z paleniskiem a nad nim cylinder z wodorem. Była to więc wprost bomba z zapalnikiem. I tak zginął ten Ikar czasów nowożytnych.

POLSKIE SUKCESY

Rozwojem balonlarstwa żywo interesował się przedsiębiorczy Amerykanin, właściciel wielu fabryk i pisma „New York Herald", James Gordon Bennett, junior. Dla sławy i reklamy, w 1905 roku ufundował on nagrodę dla uczestników międzynarodowych zawodów. Wyasygnował na ówczesne czasy wielką sumę — 50 tys. franków. Już we wrześniu 1906 r. impreza była licznie obsadzona. Zwyciężył Amerykanin, przelatując 647 km. Zawody odbywały się co roku do wybuchu I wojny światowej. Wznowiono je w 1920 roku. W 1924 roku puchar na stałe dla Belgii zdobył E. Demuyter, zresztą później prezes Towarzystwa Przyjaźni Belgijsko-Polskiej. Później puchar dwa razy na stałe zdobyli Amerykanie. Regulamin powiada, że puchar na stałe bierze państwo, którego zawodnicy zwyciężą trzy razy pod rząd. Państwo to funduje nowy puchar. Poza tym kolejne zawody organizuje zwycięzca.

Polacy na zawodach zjawili się po raz pierwszy dopiero w 1932 roku, w Bazylei. Już jednak w następnym roku, ku zaskoczeniu wszystkich, pokazali co potrafią. Startując z Chicago Z. Burzyński i F. Hynek zalecieli w głąb Kanady. Fascynujące są ich opowieści nie tylko o locie, ale i o tym, jak przez sześć dni przedzierali się przez puszczę, by dojść wreszcie do toru kolejowego. Zdobyli puchar. Następny start miał miejsce w Warszawie. F. Hynek i W. Pomaski wylądowali aż koło Woroneża. Rok 1935 — trzecie zwycięstwo Z. Burzyński i W. Wysocki ladują koło Wołgogradu, przelatując 1650 km. Puchar na stałe bierze i nowy funduje Polska, a dokładnie „Dziennik Polski". W 1938 roku A. Janusz i F. Janik (a więc coraz to inne nazwiska, czyli mieliśmy wielu znakomitych pilotów, sława Z. Burzyńskiego tylko ich przysłoniła) przywożą z powrotem puchar do Warszawy.

Wybucha wojna. We wrześniu 1939 roku, w Warszawie zawodów już się nie da zorganizować, choć zjawili się zawodnicy. Przenoszą się nawet do Lwowa by tam startować, ale wszystko się już wali. Po wojnie dwa razy międzynarodowe zawody organizowano w USA. FAI nie uznała ich za zawody im. J. Gordona Bennetta. Reaktywowano je dopiero 5 czerwca 1983 r., w Paryżu. Przedwojenny puchar zaginął. Polska więc była zobowiązana ufundować nowy. Aeroklub PRL prosił o pomoc. Koszt 1000 dolarów i 300 tys. zł, złoto droga rzeźba. Dolary szybko zebrały spółki polonijne. Gorzej było ze złotówkami. I tu pomógł „GR". Puchar wrócił z Paryża do kraju. W przyszłym roku zawody odbędą się w Polsce. Jeśli nasze będzie zwycięstwo, a rywale mają przed nami respekt, puchar zostanie na stałe. By liczyć na sukces, trzeba szkolić zawodników. Mieć ich w zapasie nie mniej, niż przed wojną. A więc trzeba rozwijać balonlarstwo. Także w Łodzi.

ZDZISŁAW STRZĘPEK

Ludzie do wynajęcia

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Powiedzą jedno, dwa zdania. Często wcale. Wystarczy, że są. Stoją, chodzą, pracują, odpoczywają. Pojedynczo, grupkami, w tłumie. Zależnie od potrzeb. Zrobią wszystko, no, prawie wszystko, co im się każe. Zostaną średniowiecznymi rycerzami, bywalcami kawiarń, robotnikami drugiej zmiany, policjantami. Przez kilka sekund ich bezimienne twarze migają nam w kinie przed oczami. Nie zwracamy na nie uwagi tak, jak obojętnie mijamy obcych na ulicy. I tylko czasem, całkiem niespodziewanie klientka przedwojennego sklepu, służąca królowej, czy stara karczmarka wyda się nam dziwnie znajoma. Przestajemy więc na chwilę myśleć, kto zabił i pytamy niepewnie:

— Zobacz, czy ona nie jest podobna do tej sąsiadki z pierwszego piętra?

— Ależ tak, kochanie. Przecież Kowalska od dawna statystuje w filmie. Nie wiedziałeś o tym?

DWA TYSIĄCE ANONIMOWYCH TWARZY

O statystach mówi się, że bez nich film nie mógłby istnieć. I rzeczywiście, niełatwo wskazać taki, w którym graliby sami zawodowi aktorzy.

Widzowie nie znają ich nazwisk. Nie umieszcza się ich w czołówce, ani na końcu — obok innych współtwórców filmu. Pozostają anonimowi — zwykle nawet dla reżysera, operatora, aktorów. Są jak szeregowcy w wojsku. A czy generał może znać wszystkich swoich żołnierzy.

W łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych jedyną chyba osobą, która wie o nich coś więcej jest starsza referentka do spraw angażowania statystów — Beata Krzeszewska-Just. Sama, jeszcze jako kilkuletnia dziewczynka, zaczynała od statystowania w „Młodości Chopina" Aleksandra Forda. W jednej ze scen jechała karetą przez miasto. Tyle pamięta. Aha, i jeszcze to, że bardzo ją zaskoczyło, iż te pięknie wyglądające z zewnątrz dekoracje zrobione są ze zwykłych desek i tektury. Potem grała między innymi w paru filmach Janusza Nasfetera, by wreszcie, po latach pracy w przemyśle, zastąpić w WFF swoją matkę, Jadwigę Węglińską, która angażowała statystów od czasów niezapomnianego „Skarbu" Leonarda Buczkowskiego. Teraz jest już na emeryturze, ale do wytwórni ciągle przychodzi. Trochę pomaga córce... Ale przecież nie tylko to ciągnie ją na Łąkową. Inni emerytowani pracownicy WFF też przychodzą. Dawniej — stolarze, elektrycy, księgowi, dzisiaj — właśnie statyści. To już prawie tradycja.

Ale i Beata Krzeszewska-Just nie jest wyjątkiem. Wiele jej koleżanek i kolegów zaczynało bowiem przed kamerą, choć nie wszyscy tak wcześnie. Jedni przypadkiem, drudzy — bo koniecznie chcieli do filmu, jeszcze inni — bo nie dostali się na studia do Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej, więc żeby nie marnować roku, a przy okazji zobaczyć, jak to wygląda... Najbardziej wytrwali dopięli swego!

Dawniej ze znalezieniem statystów nie było problemów. Raz na dwa — trzy lata dawano ogłoszenie w prasie. Przychodzili sami — nieraz całymi rodzinami. A jeśli nawet zdarzyło się, że w razie nagłej potrzeby brakowało ludzi, wystarczyło pójść na drugą stronę ulicy, do parku im. Poniatowskiego, albo do „pośredniaka"... Zawsze parę groszy wpadło, a robota — prawie żadna.

Ci, którzy statystują dłużej, zostają zarejestrowani. Każdy ma swoją kartę: zdjęcie, imię i nazwisko, wiek, wzrost, waga, kolor włosów, zawód, znajomość języków obcych, adres i ewentualnie numer telefonu. Kiedy są potrzebni na planie, wysyła się do nich zawiadomienia. Bywało nieraz — setki nawet tysiące zawiadomień.

Ostatnio najwięcej statystów zaangażowano do filmu „Widok z okna", a kiedy po zdjęciach prawie równocześnie pięć tysięcy osób ustawiło się w kolejce do kasy wejścia do gmachu wytwórni, bronić musiało dwóch dobrze zbudowanych kaskaderów. Oczywiście i wtedy w prasie ukazały się ogłoszenia. W WFF zarejestrowanych jest przecież dwa tysiące statystów, więc nawet gdyby wszyscy oni mogli przyjść, byłoby ich za mało. A tu jeszcze poczta pracuje teraz jak chce, zawiadomienia nie dochodzą na czas. Poza tym stale ubywa statystów w średnim wieku. Ludzie mają coraz mniej czasu... W rejestrze najwięcej jest więc rencistów i emerytów. To dobrze, bo ci sami nieraz zaglądają na Łąkową, pytając, czy jest coś do zagrania z drugiej jednak strony... W końcu społeczeństwo — nawet to filmowe — nie może się składać z samych emerytów!

TEN WSPANIAŁY, FILMOWY ŚWIAT...

Najgorsze jest czekanie. Czekanie na reżysera, aktora, na słońce albo chmurę, na tysiąc różnych rzeczy, które muszą zbiec się w czasie, aby na planie zabrzmiał wreszcie okrzyk: uwaga, kręcimy! kamera!... Nie czeka się tylko na statystów, bo to statyści mają czekać na wszystkich innych. Mają stale być pod ręką, bo a nuż aktor się spóźni i najpierw kręcić będą sceny zbiorowe?

Zmęczeni tym, bywa, wielogodzinnym czekaniem, mogą sobie statyści pytać, jak długo trwać dziś jeszcze będą zdjęcia. Zwykle niewiele się dowiedzą. Im nie trzeba się tłumaczyć, ich czas nie jest ważny, mają go przecież pod dostatkiem. Gdy się tak czeka i czeka, dobrze jest mieć ze sobą jakąś książkę, kanapki i termos z herbatą, bo o tym, że statysta też może być głodny i spragniony, nikt na ogół nie pomyśli. Jeśli zdjęcia robione są w atelier — pół biedy, gdyż można coś zjeść w bufecie, choć ceny tam nie dla statystów. Jeśli zaś jedzie się w plener — nie ma już raczej na co liczyć. Szeleszczą więc papiery śniadaniowe, bulgoce herbata w termosach, a tu charakteryzator denerwuje się i krzyczy, żeby nie jeść, bo przecież brody i wąsy przyklejone. Nie można! Ale jak tu nie jeść, skoro znów na planie „obsuwka" i w dodatku ten klej w twarz szczypie?

Statyście można kazać, żeby przyszedł w najlepszym garniturze i czystej, białej koszuli, bo będzie się kręcić scenę w restauracji. Można też dać mu brudny kostium — brudny, bo wytwórni nie stać na pranie kostiumów.

Ten kostium najpierw trzeba dobrać i przymierzyć, a gdy się już w niego ubierze — znowu czekać. Ale od ubierania gorsze jest rozbieranie, bo każdy chce mieć to jak najszybciej za sobą i iść do domu, a tu już późny wieczór, więc tłok się robi i bałagan.

Ubranych w kostiumy statystów wywieźć można autokarem na przykład nad Pilicę i kazać im przepchnąć królewską karetę przez bród na rzece. Woda — powyżej kolan, kostiumy mokre, a prywatne ubrania... Zostały w Łodzi, w wytwórni. Ale nic się nie stało, to przecież szybko wyschnie.

Statyście powinno się płacić osobno za samo przymierzanie kostiumu, co nieraz trwa godzinami, lecz nie zawsze się płaci, bo wcale nie było aż tak długo. A jak się statyście nie podoba, to kierownik planu może mu powiedzieć, żeby sobie poszedł do... domu. I już! Statysta nie ma prawa głosu.

NATRĘCI!

Do statystów trzeba mieć cierpliwość i stalowe nerwy. Najpierw nachodzą kogo tylko się da i pytają co trochę, kiedy znowu coś będzie się kręcić. I każdemu trzeba grzecznie odpowiedzieć, bo jak nie, to zaraz się obrażają.

Najgorsi są tak zwani wysiadywacze. Przychodzą codziennie do wytwórni, siedzą w hallu, palą, że aż gęsto od dymu, grają w karty, w szachy, warcaby, snują się po korytarzach i wszystkim przeszkadzają. Niektórzy nie mogą zrozumieć, że po prostu nie nadają się do tej sceny czy filmu, bo przecież w obozie koncentracyjnym nie było otyłych kobiet i panów z brzuszkami. Mówią: no to co, ale ja bym to dobrze zagrała!

Statyści myślą, że są na planie najważniejsi, że mogą zachowywać się jak na wycieczce, a przed kamerą — robić co chcą, bo im się wydaje, że pan reżyser nie ma racji i tak będzie na pewno prawdziwiej. W dodatku ciągle domagają się jakichś pieniędzy — a to za nadgodziny, a to za trudne warunki i Bóg wie za co jeszcze. Ale jak coś zginie na planie, to winnych nie ma! Przecież dobrze wiemy, że są wśród nich i złodzieje, i pijacy. Różni są.

Są tacy, co to proszeni czy nie, sami pchają się przed kamerę, choć brali udział w poprzednim ujęciu i w tym już nie mogą. Ustawiają się nie tam, gdzie trzeba, ciągle zmieniają miejsce, wysuwają przed aktorów, żeby tylko byli lepiej widoczni. A potem kłócą się między sobą, kto ile razy grał i czyja „rola" była większa. Zupełnie jak dzieci. Nie zdają sobie sprawy, ile wysiłku ilu ludzi trzeba, żeby zrobić film.

LOKAJ, SŁUŻĄCY, KELNER...

— Nie, nigdy nie chciałem być aktorem, nie ciągnęło mnie to. Mój pierwszy kontakt z filmem miał miejsce w czasie kręcenia „Zakazanych piosenek", kiedy to statystowałem, jako dziecko, razem z matką. Potem nie myślałem o filmie. Ukończyłem szkołę średnią, odsłużyłem wojsko, poszedłem do pracy — chciałem się jak najszybciej usamodzielnić. Myślałem nawet o studiach, ale jak się już ma rodzinę, dzieci, obowiązki... Przed przejściem na rentę byłem zastępcą dyrektora w jednym z zakładów przemysłu terenowego. I dopiero wujek powiedział mi: siedzisz w domu, nic nie robisz, idź do filmu, przynajmniej będzie trochę grosza. No i zgłosiłem się. Kręcili akurat „Zazdrość i medycynę". Wtedy nie wiedziałem jeszcze, co i jak...

— Nie lubię scen zbiorowych, wole gdy gra tylko kilka osób. Po prostu lepiej się czuję. Najbardziej odpowiadają mi role lokajów, służących, kelnerów... Jak potem oglądam się na ekranie to mam satysfakcję, że też choć trochę przyczyniłem się do rozwoju polskiej kinematografii. A grałem już w wielu filmach, również w takich, które do dnia dzisiejszego nie ujrzały światła dziennego. Leżą na półkach — dlaczego? Nikt nic nie wie. Dziwo, do kina na polski film chodzę raczej rzadko. Mówię sobie, że i tak obejrzę to w telewizji.

UCIEKINIER II

— Różnie to bywa. Jak jest dobra, przyjemna ekipa, to dobrze się pracuje i nie ma żadnych sesyji. Ale różni są reżyserzy, kierownicy planu. Jeden to nawet się nie przedstawi, a inny to każdą panią w rękę całuje.

— Najlepiej wspominam film pod tytułem „Układ zamknięty". To jest o domu starców. Piękny film. Statyści zagrali w nim jak aktorzy. Ja byłem Uciekinier II. Najpierw to opowiadaliśmy sobie, jak to przed wojną bywało, wspominaliśmy, jedliśmy, śpiewaliśmy... A potem była nas taka grupa, żeśmy wiecznie uciekali. Szukali nas w Łagiewnikach. Milicja nas szukała, a my się ukrywali, doili krowy na polu, że to niby byliśmy głodni. Aż wreszcie złapali nas pod Kolumną — skręca się z szosy w lewo i tam jest taki młyn, co to my już kiedyś w nim partyzantów grali. I dopiero tam zmiarkowali nas w stogu siana.

— Piękny film, mówię. Widziałem go, bo potem poprosili nas wszystkich do wytwórni i pokazali, ale dlaczego nie wyświetlają go w kinach? Podobno ma mieć tytuł „Łza".

ZAGRAM WSZYSTKO!

— W domu nie ma co robić, wnuki odchowałam, to co — stale mam latać na cmentarz? Renty mam 4.250 złotych (teraz mają dołożyć) to i trochę grosza się przyda. I tak to powoli leci... Grałam już w tylu filmach, że nawet ich wszystkich nie spamiętam. Zagram wszystko, wcale nie mam tremy. Przyzwyczaił się człowiek. A jak długo nie ma żadnego filmu, to idę na Łąkową zapytać, bo czegoś mi brakuje. Spotkam się z innymi statystkami, bo często jak siedzimy i czekamy na zdjęcia, to człowiek — chcia! nie chciał — rozmawia z innymi, opowiada o sobie, o swoich kłopotach, słucha wspomnień, jak to za młodych lat było. Ludzie mnie tam znają. Z niektórymi to się nawet odwiedzamy. Albo jadę w tramwaju, a tu podchodzi do mnie jakaś pani i mówi mi, że schudłam. Skąd mnie pani zna? — pytam. Okazuje się, że razem grałyśmy w jakimś tam filmie.

— Po prostu, nie ma czasu się nudzić.

* * *

Statyści — ludzie do wynajęcia, ludzie do wszystkiego. Zawsze gotowi, zawsze do dyspozycji. Za jedyne 300 złotych dziennie. Więc dla pieniędzy? Tak — dla pieniędzy, ale i dla czegoś więcej: dla satysfakcji, dla bycia choć przez chwilę na ekranie. Bo film — mówią — jest jak nałóg. Nałóg, w który jak się już wpadnie, to trudno potem bez niego żyć.

W kręgu fantastyki

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB
Aleje Jerozolimskie 2, Groteka, 00-375 Warszawa

Egzamin

EDWIN KUPRIENKO

Mały tłumek kłębił się przed drzwiami sali egzaminacyjnej już od samego rana. Nazwiska wyczytywano według listy. W końcu Daniel Neronof usłyszał swój numer. Wparł się łokciami w boki sąsiadów i wystrzelił do przodu, jak korek z butelki.

W środku było chłodno, cicho i dostojnie. Grube mury otaczały go ze wszystkich stron. Ludzie widziani na ich tle wydawali się również wielcy i silni potęgą nagromadzonego przez lata uznania.

Skłonił się trochę sztywno i niezdarnie. Patrzyli na niego w milczeniu koryfeusze nauki i sztuki, a on pochylił się, aby sprostać ich spojrzeniom.

— Kabina numer piętnaście — szczęknął ukryty głośnik.

Daniel zacisnął ręce w pięści i ruszył w kierunku świecącego się numeru. Fotel był niewygodny — „zupełnie jak u dentysty" — pomyślał.

— Imię, nazwisko, numer.

— Daniel Neronof N-3987415.

Z góry opuściła się olbrzymia czasza i zawisła nad jego głową.

— Proszę teraz nie myśleć o niczym, rozluźnić sie.

Siedział samotny w ciszy, a komputer rozgryzał wnętrze jego mózgu, żeby móc wydać wyrok. Później czasza powoli odjechała w górę. Wstał sztywny i jakby trochę obolały. Komisja czekała w groźnym milczeniu. Na ekranach niewidocznych dla niego monitorów świeciły się wykresy ilustrujące jego możliwości, czuł się obnażony, ogołocony z całej swojej prywatności. Przewodniczący przerwał nieprzyjemną ciszę.

— Listę przyjętych wywiesimy za dwa dni.

— Wyjście B — szczeknął głośnik.

Daniel skierował się ku świecącej literze.

A więc tyle marzeń, tyle nie przespanych nocy podsumowano tak łatwo. W prosty, obiektywny sposób można było zmierzyć wszystkie parametry jego mózgu i po porównaniu z innymi kandydatami wydać nieomylną decyzję. A potem, po pięciu latach mógłby znaleźć się w gronie tych podziwianych i sławnych...

W przeciwnym wypadku wszystkie jego marzenia...

Dwa dni czekania dzieliły go od poznania może dosyć okrutnej, ale niewątpliwie obiektywnej prawdy. I jak okazywało się po latach, zawsze słusznej, a przynajmniej nie znano — jak dotąd — innych przypadków.

Wyjście B wyprowadziło go na cichą, boczną uliczkę. Za jego plecami rozciągał się olbrzymi, zwalisty masyw Akademii. Akademii jego snów. Przez długą chwilę przypatrywał się ciemnemu budynkowi. Kilka razy chciał odejść, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. Przy końcu ogrodzenia znalazł mały kamień, schylił się i podniósł ostrożnie, jakby bał się go uszkodzić. Nagle zamachnął się i rzucił z całej siły. Brzęknęło rozsypujące się szkło okienne. Zaśmiał się radośnie, jak uwolniony od wielkiego ciężaru i pobiegł, nie oglądając się za siebie.

Po jego odejściu uliczka wydawała się jeszcze bardziej pusta i smutna... tylko olbrzymi biały neon odcinał się jasną plamą na tle ponurych murów budynku. Neon ten zdawał się krzyczeć głośno i wyzywająco swoją treść wobec otaczających go ciemności — „Akademia Poezji".

Na drugi dzień administracja wezwała szklarza i nie pozostał już żaden ślad po nocnym niepokoju czyjegoś serca.

Eksperyment kontrolowany

RICK CONLEY

Stojąc samotnie na podium, w blasku świateł, starszy mężczyzna mówił ze znużeniem:

— Zwołałem tę konferencję prasową, żeby poinformować o moim odejściu z Amerykańskiego Instytutu Psychotronicznego.

Przez publiczność składającą się z naukowców i dziennikarzy przebiegł szmer podniecenia.

— Jako współzałożyciel tej organizacji, niechętnie ją opuszczam, ale moja dalsza tu obecność może postawić pod znakiem zapytania pracę uczciwych ludzi. Otóż ostatnio, w swym gorliwym dążeniu do wykazania istnienia zjawisk psychicznych, popełniłem ten jedyny, niewybaczalny w nauce grzech — rozmyślnie manipulowałem przebiegiem eksperymentu. Tak, aby uzyskać pożądane wyniki.

Przed kilkoma tygodniami wszczepiłem w mózgi szczurów elektrody, które, zasilane przez generator liczb losowych, wywoływały u zwierząt szczególnie przyjemne doznania. Moim celem było sprawdzenie, czy szczury mogą za pośrednictwem telekinezy — panowania umysłu nad materią — wywrzeć wpływ na generator. Tak, by dostarczał im większą ilość impulsów niż wynikałoby to z rachunku prawdopodobieństwa.

Zanotowałem prawie natychmiastowy sukces — wyraźne potwierdzenie możliwości psychiki!

Ale wtedy... Wtedy jeden z mych współpracowników, zaintrygowany moim zbyt ceremonialnym obchodzeniem się z aparaturą, zaobserwował z ukrycia jak manipulowałem przy urządzeniach, chcąc dostarczyć szczurom dodatkowych impulsów.

Mężczyzna westchnął.

— Dlaczego oszukiwałem? Nie wiem. W gruncie rzeczy, dopóki współpracownicy nie udowodnili mi oszustwa, nie zdawałem sobie sprawy ze swego postępowania.

Prawdopodobnie, po latach uczciwej pracy naukowej, mając na potwierdzenie słuszności mego programu badawczego, co najwyżej wątpliwe rezultaty, podświadomie postanowiłem trochę dopomóc eksperymentowi. Tak, żeby ośmielić moich kolegów i zrobić wrażenie na sceptykach.

W każdym razie jest mi przykro, że postawiłem Instytut w kłopotliwej sytuacji. Teraz powierzę prowadzenie badań zdolniejszym i bardziej godnym zaufania kolegom. W szczególności jestem zadowolony, że dr John Cole obiecał kontynuować moje badania ze stymulatorem losowym.

Życzę ci szczęścia John. Wiem, że nie stracisz kontroli — tak, jak ja straciłem.

Szczury, uwięzione w klatce w pustym laboratorium, popiskiwały w ekstazie, gdy urządzenie wysyłało powtarzające się impulsy do elektrod wszczepionych w ich mózgi.

„Jeszcze! — krzyczały umysły szczurów — Więcej! Więcej!".

Ale maszyna ignorowała ich żądania. Dalej wydzielała zwierzętom krótkie chwile raju wedle swego mechanicznego kaprysu.

Nagle szczury zamarły. Człowiek! Zbliżał się człowiek!

Po chwili dr Cole otworzył drzwi i wszedł do laboratorium. Obchodząc aparaturę doświadczalną, sprawdził stan elektronicznego licznika. Rozczarował się widząc, że ilość impulsów dostarczonych szczurom w czasie ostatniej godziny nie przewyższała średniej oczekiwanej wartości.

Przyglądając się drobnym zwierzętom w klatce, westchnął:

— Zróbcie coś, darmozjady! Zróbcie coś!

W tym momencie szczury skoncentrowały się maksymalnie.

Energia psychiczna, promieniująca z ich mózgów, wnikając głęboko w zakamarki umysłu Cole'a, sondowała go i przekształcała.

„Więcej! — krzyczały umysły szczurów — Więcej! Więcej!".

Nieświadomie Cole obrócił gałkę generatora liczb losowych. Impulsy przestały być przypadkowe. Następowały coraz szybciej.

Nawet w stanie najwyższej ekstazy szczury czuły, że ten człowiek nie był tym samym, którego ...opanowały poprzednio. W każdym razie był to człowiek, a nie maszyna, więc można było nim sterować.

Szczury popiskiwały z rozkoszy.

Znów kontrolowały sytuację.

Przełożył:
JACEK KOSTYRKO

Kronika

21—25 czerwca 1983 r. odbył się w Zagrzebiu (Jugosławia) światowy zjazd pisarzy, wydawców i teoretyków science-fiction pt. WORLD SF GENERAL MEETING. W skład polskiej delegacji weszli: Adam Hollanek, Jacek Rodek i Andrzej Wójcik.

* * *

W pierwszej połowie października 1983 r. odbędzie się w Dzierżoniowie, po raz pierwszy po trzyletniej przerwie, kolejny, piąty, już ogólnopolski konwent klubów i miłośników SF. Głównymi organizatorami zlotu fanów są Rada Główna Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki i redakcja miesięcznika „Fantastyka". Swoje przybycie potwierdzili nie tylko czołowi twórcy rodzimej SF, ale i goście zagraniczni, w tym delegacja Europejskiego Komitetu SF. Konwent poprzedzi Walny Zjazd Delegatów PSMF.

* * *

W Oddziale Łódzkim Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki otwarto pokonkursową wystawę pt. „Co się dzieciom śni?" Na ekspozycję złożyły się prace dzieci z całej Polski nagrodzone i wyróżnione w konkursie plastycznym ogłoszonym w ubiegłym roku przez PSMF. Współorganizatorem wystawy jest Dom Filmu i Plastyki ŁDK. Wystawa czynna codziennie oprócz sobót i niedziel w godz. 9—19 (ul. Łagiewnicka 118c).

R. S.

Po kataklizmie

Obraz zmian następujących na Ziemi wraz ze zwiększaniem się lub zmniejszaniem aktywności Słońca, od dawna fascynował pisarzy uprawiających fantastykę. Jaki będzie nasz świat po tej największej katastrofie, jakie deformacje rodzaju ludzkiego będą jej towarzyszyć — pytania te stawiali już sobie klasycy gatunku SF — Wells i Verne. Zadaje je także w swej najnowszej książce pt. *„Cieplarnia"* Brian W. Aldiss, znany polskiemu czytelnikowi z opowiadań publikowanych w tomach z cyklu „Kroki w nieznane" i powieści „Non stop".

Jak zatem wygląda pisarska wizja świata po biologicznym kataklizmie? Autor *„Cieplarni"* pokazuje życie ludzi w świecie zdominowanym przez przyrodę, gdzie człowiek, bezradny wobec niej, poddaje się bezwolnie prawom natury, z którą nie może i nie umie walczyć. Ziemię opanowały rośliny, miniaturowi ludzie mieszkają na gałęziach olbrzymich drzew, bytują i umierają jak zaszczute zwierzęta, narażeni na setki niebezpieczeństw, z których najgroźniejsza jest zatrata własnej świadomości, oddanie się w niewolę cudzemu mózgowi. Aldissowi udało się tu stworzyć wstrząsające w swoim rodzaju obrazy śmierci, którą ginący przyjmują bez protestu, o której żyjący szybko zapominają, aby móc dalej żyć.

„Cieplarnia" obfituje w ciekawe, niebanalne pomysły (jak choćby podróż ludzi na Księżyc w torebkach nasiennych roślin), ma doskonałe tempo, które jednak pod koniec zaczyna nieco zwalniać. Cały ten niesamowity świat żyje i pulsuje, kierowany pasją do niszczenia i panującym prawem powszechnej destrukcji. Niezwykle sugestywny jest np. opis wybrzeża morskiego, gdzie każdy kamień, każda muszla i zmurszały do białości korzeń pożerają się nawzajem, tocząc bezlitosną walkę o prawo do istnienia. Roślinny chaos drwi sobie z bezbronności ludzi — ujarzmionych zwycięzców, a symbolem ich klęski jest paradoksalne znalezisko bohaterów „Cieplarni", którzy przypadkowo trafiają na automatyczną tubę, używaną zapewne niegdyś, z czego znalazcy nie zdają sobie sprawy, w kampaniach wyborczych. Ponad głowami ludzi rozlega się nagle głos: *„Któż zmontował katastrofalny strajk portowców w trzydziestym pierwszym?! (...) Pomyślcie o sobie, przyjaciele, i głosujcie na naszą partię. Głosujcie za wolnością!"*.

Aldiss nie jest jednak konsekwentny w kreowaniu świata zagłady homo sapiens. Wprowadzając tradycyjny typ narracji wszechwiedzącej, autor zrezygnował z próby stworzenia nowego języka pojęć — a taki eksperyment mógłby w interesujący sposób podkreślić obcość i wrogość roślinnej Ziemi. W zielonej, pęczniejącej chlorofilem „cieplarni", ludzie nie tracą jednak, co byłoby w tej sytuacji logiczne, umiejętności myślenia, posługiwania się mózgiem, kojarzenia odległych nieraz zjawisk. Sięga tu często autor do całkiem innej konwencji, w poszukiwaniu dodatkowych efektów. Oto w społeczeństwie zatomizowanym na małe grupy, mężczyźni strugają tzw. „dusze", drewniane, prymitywne figurki, które wraz ze śmiercią swych „pierwowzorów" wędrują do „nieba". Wprowadzenie tego elementu miało zapewne włączyć powieść w krąg rozważań o tzw. archetypach, czyli wiecznych wątkach, przewijających się pod różną szerokością geograficzną przez całe dzieje ludzkości. Motyw „dusz" nie ma jednak w powieści uzasadnienia i odbiera siłę wyrazu kreowanym przez Aldissa obrazom.

W tym świecie destrukcji ludzie zachowują jeszcze jedną cechę, właściwą wyłącznie naszemu gatunkowi — umieją się śmiać, wyczuwają komizm sytuacji — często skądinąd groźnych. Autorskie niekonsekwencje zacierają więc (może świadomie?) ponurą, pesymistyczną wymowę całości i zakończenia powieści — kiedy bohaterowie, bezskutecznie szukający dla siebie miejsca w obcym świecie, powracają na drzewo, ku niebezpieczeństwom już oswojonym i znanym.

Bardziej konsekwentny jest w *„Cieplarni"* świat roślinno-zwierzęcy. Jedyny w swoim rodzaju jest np. obraz „trawerserów" pająków-olbrzymów, zdążających przez kosmos ku Księżycowi, po niepokój i po ból. Z obrazem trawersera, którego długie nici spajają Ziemię z Księżycem, związana jest jeszcze jedna, możliwa do pomyślenia, interpretacja powieści. Niezwykły ten stwór jest tak ogromny, że nie potrafi już sobie uświadomić swego organizmu jako całości, a sygnały o niebezpieczeństwie docierają do dalekiego mózgu czasami zbyt późno — i trawerser ginie. W tę zwierzęcą kreację wpisał Aldiss znaną historię ewolucji, przypominając ten moment dziejów Ziemi, gdy wymierają prehistoryczne gady. Czyżby więc świat od początku? Czyżby koczujących wśród gałęzi ludzi czekało jeszcze triumfalne opuszczenie drzewa, podobnie jak ich dawnych, człekokształtnych przodków?

Wydaje się więc, że *„Cieplarnia"*, pozornie pesymistycznie kreśląc szanse człowieka na przetrwanie, pokazuje jednocześnie pewne szanse ocalenia. Ludzkość przeżywała i będzie przeżywać kolejne katastrofy — i tylko od niej będzie naprawdę zależeć, czy wyjdzie z nich cało.

MARIA BARTUS

Brian W. ALDISS „Cieplarnia"; ISKRY, Nakł.: *50.000 egz.; Cena 80 zł.*

Wielość światów

Wielka Encyklopedia Powszechna termin *„tranzyt"* definiuje jako *„przewóz ludzi lub towarów do kraju przeznaczenia przez terytorium kraju trzeciego, dokonywany na określonych warunkach; tranzyt może się odbywać drogą lądową, wodną, śródlądową, lądowo-morską lub morską"*. Pierre Pelot, autor powieści *„Tranzyt"*, przewidział dla tej formy transportu rozwiązanie, którego nie uwzględnia żadna encyklopedia. Tranzyt odbywa się tu bowiem drogą niezwykłą — poprzez ludzką świadomość.

Koncepcje światów współistniejących jednocześnie z tym, w którym żyjemy, wysuwała ludzkość niemal od początku swego istnienia. Znalazło to odbicie w religiach i mitach. Świat, który istnieje obok, od którego dzieli nas może jeden krok, fascynował od dawien dawna twórców utopii społecznych.

W powieści Pelota istnieją więc dwa światy. Jednym z nich jest ten, w którym egzystuje Europejski Instytut Badań Telergicznych na pirenejskim zboczu. Jest to świat dla siebie, gdzie dokonuje się naukowych eksperymentów, ale gdzie jednocześnie roi się od ludzkich ambicyjek, zawiści i podłostek. W drugiej, opozycyjnej wobec pierwszej rzeczywistości, nieznany nikomu człowiek, już nie: Carry Galen, Królik Doświadczalny, patrzy na złocące się brzozy, kocha kobietę, słuchając, jak bajek o żelaznym wilku, opowieści o prawach tego świata — bez rządzących i rządzonych.

Ta utopijna wizja krainy wiecznej szczęśliwości została ukazana z perspektywy jej stałych mieszkańców, autor szczęśliwie ominął tu rafy łatwego moralizowania. Inność tego świata czytelnik dostrzega w reakcjach bohaterów, nic tu bowiem nie jest powiedziane wprost ani określone do końca. Jest to świat, w którym szanuje się prawo człowieka do własnych wyborów. Jest to rzeczywistość szczęśliwej podróży, przemieszczania się, nieustannej, choć powolnej, pogoni za tym, co najważniejsze. Nie istnieje tu cel narzucony z góry.

Te dwa światy nie wyczerpują całego obrazu powieściowego. Jest jeszcze przecież rzeczywistość zastępcza, wymyślona dla Galena przez jego mocodawców, którym nie na rękę jest odkrycie szczęśliwej Arkadii. Jest to fałszywa biografia bohatera, któremu stwarza się przeróżne życiowe przeszkody i determinacje, mające go zmusić do zapomnienia. A przecież istnieje jeszcze czwarta przestrzeń — ta, która istnieje poza Instytutem, w której Galen przed laty urodził się i żył.

Ciśnienie wielości światów jest tak ogromne, że sztuczna powłoka wymyślonej biografii musi w końcu pęknąć. Ścieranie się tych wizji pokazuje autor niezwykle sugestywnie w postaci burzy, zagarniającej „ja" bohatera: *„probował łapać oddech, szamotał się, gromadził wszystkie świadome siły do rozpaczliwej proby, w splątanej sieci tysiąca i jednej skłębionych w nim rzeczywistości szukał nowych punktów oparcia, solidnych boi, które pomogłyby mu utrzymać się na powierzchni Wszystkie boje pękały, wszystkie wiązania zrywały się, ledwo ich dotknął"*.

„Tranzyt", pozostając w poetyce science-fiction, jest znakomitą powieścią psychologiczną. Dzięki zmianie perspektyw narracji, krajobraz, każdej z rzeczywistości jawi się w odrębny sposób, nie jest zbudowany na prostej zasadzie czarno-białego kontrastu. Pełnia świata wymarzonego przez bohatera ukazana jest w powieści nie od razu, lecz odsłania się powoli oczom Galena i czytelnika. Pelot rezygnuje z efektów, wszystkie „światy" mają w utworze byt autonomiczny. Wspomnienia Galena o przeszłości pojawiają się, przed wspomnianym momentem „rozsadzenia" świadomości, tylko w postaci sygnałów i na wpół uświadamianych okruchów obrazów.

Powieść Pelota nie jest więc tylko powieścią opartą na interesującym pomyśle i opowiadającą o efektownych przygodach bohaterów przyszłości (akcja „Tranzytu" toczy się w 2102 roku). Pelot okazuje się tu głębokim moralistą, jego refleksja dotyczy bowiem generaliów ludzkiego życia, mówi o tragicznej sytuacji człowieka. Wielość światów istnieje przecież nie tylko w fikcyjnym bohaterze, jest ona w nas samych, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy. To, co w nas ciemne, nie poznane, podświadome, istnieje tylko w sferze naszych najbardziej wewnętrznych przeżyć. Nie znaczy to jednak, że człowiek, bezradny wobec samego siebie, ma rezygnować z niewyraźnej wizji szczęśliwego świata i zgodzić się z tym, który jest. Powieść Pelota nie stawia kropki nad „i", nie wiadomo nawet czy bohater dotrze do świata, który utracił — najważniejsze jest jednak to, że do niego dąży.

MARIA BARTUS

Pierre Pelot „Tranzyt". Czytelnik, seria „Z kosmonautą", Nakład 60.000 egz.. Cena 90 zł

1 Włoska obora

Lewym okiem

Cały nasz aparat gospodarczy od wielu, wielu lat podlega kontroli ze wszystkich stron, instytucje, których racją bytu jest „nadzór i kontrola", były i są nader liczne i jak słychać liczba ich będzie rosnąć. Pracowałem dłużej niż ćwierć wieku w „kluczowym" przemyśle i wiem. Inspektorzy miesiącami nie wychodzili z przedsiębiorstw i ich jednostek nadrzędnych, w każdym przedsiębiorstwie i każdym większym biurze były (i chyba nadal są) permanentnie utrzymywane specjalne pomieszczenia dla inspektorów z zewnątrz, oczywiście pomieszczenia z telefonem. Oprócz NIK przeprowadzali swoje badania przedstawiciele banku finansującego, Rady Narodowej, związków zawodowych, ministerstwa, zjednoczenia, komisji sejmowych i inne. Badano skrupulatnie całe zwały dokumentacji, czy aby jeden papierek zgadza się z drugim, prawie nigdy jednak nie badano, czy oba zgadzają się z rzeczywistością i ze zdrowym rozsądkiem. Po każdej takiej akcji pozostawał grubachny tom protokołów i zarządzeń pokontrolnych, na który należało odpowiedzieć równie grubym tomem sprawozdania z wykonania tych zarządzeń. Obs tomy szły następnie na półki w paru instytucjach i życie toczyło się dalej.

I chyba żadna kontrola urzędowa nigdy w porę nie ujawniła bzdur, błędów i nadużyć, dopóki nie doprowadziły do skandalu.

Kiedy wybuchnie skandal — wychodzi na jaw mnóstwo rzeczy i normalny człowiek w głowę zachodzi, jak to wszystko było możliwe. Jak to jest możliwe, żeby w Rolniczej Spółdzielni bardziej opłacało się nie uprawiać ziemi, nie hodować świń, nie doić bydła — niż czynić to wszystko? Proszę, przeczytajcie „Przegląd Tygodniowy" z 3 lipca. W artykule napisanym z okazji słynnej już sprawy prezesa Bednarczyka czytamy, że Rolnicza Spółdzielnia (podkreślam: r o l n i c z a) zarabiała ogromne sumy wynajmując swych ludzi do różnych usług w mieście, z tych zarobków pokrywała straty na hodowli i uprawie i oczywiście ani hodowlą, ani uprawą nie była zainteresowana. Sprzątaczce na pół etatu płaciło się tam tyle, ile profesorowi wyższej uczelni. Brygadziści (nie uprawiając ziemi i nie hodując krów) dostawali po 50—60 tysięcy miesięcznie, aż wreszcie sami z zażenowaniem stwierdzają, że to za dużo, ale co zrobić, skoro tak wynika z przepisów?

Kontrola niczego tu nie zakwestionuje, bo „tak wynika z przepisów" Czy naprawdę nie ma nikogo, kto by potrafił wymyślić mądre przepisy? Żeby nie było tak, że po uruchomieniu bardzo kosztownej oczywiście licencyjnej obory spółdzielnia będzie do niej dokładać 22 miliony rocznie, więc oczywiście lepiej nie uruchamiać i miech ją szlag trafi? Bo — czytamy — „Jakiś dostojnik kiedyś tam bawił we Włoszech i spodobała mu się pewna obora." I co — i żadna kontrola od paru lat nie może dociec, co to za „jakiś dostojnik", a oborę kupiono, zbudowano, wykazano w stu sprawozdaniach, opisano w tysiącu podkładkach pod ordery? No powiedzcie, jak z tym wszystkim możemy dać radę kryzysom i trudnościom, przecież to jakiś koszmar antygospodarczy i antyrozsądkowy!

Może lepiej nie czytać prasy, a przynajmniej tygodników, bo to w nich znajdujemy te wstrząsające rewelacje? A może czytać i domagać się informacji do końca, do ostatecznego załatwienia każdej skandalicznej sprawy? To cóż: co jakiś czas przeczytamy, że sprawę się „wnikliwie bada", aż pomału zapomnimy i damy spokój. Nie dałoby się żyć, gdyby człowiek nie zapominał.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Pawli—kowska

Zdarzenia i zwierzenia

Mylą się nam już imiona wielkich Kossaków. — Juliusz, Wojciech, Jerzy... Ostatniego najchętniej — bo najłatwiej — podrabiają współcześni fałszerze, choć był najmniej udanym malarzem w tym ciągu trzech pokoleń artystów. Ulotna proza córki Wojciecha Kossaka — Magdaleny Samozwaniec, coraz bardziej umyka w cień zapomnienia. Z całego jej dorobku być może pozostaną tylko tomy wspomnień o siostrze — „Zalotnica niebieska" i „Maria i Magdalena".

Maria z Kossaków Bzowska-Pawlikowska-Jasnorzewska. W tym roku mija dziewięćdziesiąta rocznica urodzin tej niezwykłej poetki — w lipcu mija trzydziesta ósma rocznica jej śmierci. Jej życie, jeśli nie liczyć okresu wojennego, było tak samo kapryśne kolorowe i wypełnione miłością, jak jej poezja.

Pisze Piotr Kuncewicz: „Pawlikowska należy do tych twórców, u których między twórczością a życiem można postawić względny znak równości — tak podobny jest styl i zakres jednego i drugiego. Życie Pawlikowskiej przebiegało w kręgach high life'u, kręgach lojalistycznych i zachowawczych, wyobcowanych po trosze z uczestnictwa w najpowszedniejszych i najpowszechniejszych kłopotach materialnych. Wykwint i elegancja musiały być pierwszym przykazaniem — równie dobrze panienki przedstawianej na balach w pałacu „Pod baranami" — jak i młodej debiutantki poetyckiej. Związek ze swoim środowiskiem, a poprzez nie z własnym czasem, doświadczy Pawlikowska w swej lirvce wielokrotnie. Mody, aktualne tańce i stroje, morze, leitmotiv samolotu i lotnika (jednym z mężów był właśnie lotnik) upodobanie do naukowej czy pseudonaukowej terminologii — wszystko to dawno w proch by się rozsypało, gdyby nie poezja".

Dodajmy — poezja, jak mało która z tamtej epoki, nietknięta przez czas. A przecież tak kpili i szydzili krytycy z tej poezji. Oskarżano ją o niemoralność, jej wiersze określano mianem „poezji cukierkowej"... I tylko szóstym zmysłem doceniali ją poeci różnych orientacji. Zarówno awangardowy Przyboś, jak i Skamandryta Tuwim wypisywali peany na cześć tej poezji, już w momencie gdy zajaśniała na nieboskłonie literatury.

Oczywiście nie był to przypadek, ani kumoterstwo. Po prostu — Pawlikowska potrafiła w swojej twórczości połączyć „ogień z wodą" — zarówno z Awangardy krakowskiej jak i ze Skamandra wzięła to, co najcenniejsze i najpopularniejsze. A jednocześnie zachowała pozycję oryginalną, indywidualną. Współczesny krytyk nazwie to synkretyzmem — odnajdzie tradycyjne formy, skamandryckí racjonalizm i awangardowe pointy.

Po latach Antoni Słonimski napisze w „Alfabecie wspomnień": „Poezja Pawlikowskiej wytrzymała próbę czasu. Przetrwała i jest chyba, jak nigdy dotąd, lubiana i czytana. Porównywano ją do Safo i do Marcjalisa. Po raz pierwszy w polskiej poezji miłosnej doszedł do głosu z taką siłą i czystością dźwięku, nie tenor męski, ale sopran kobiecy. Na przekór wrogiej naturze nie odeszła w mrok śmierci. Odnaleźć można jej lekkie, ścisłe i celne strofy na gorących ustach dziewcząt i chłopców, jest bowiem powiernicą zakochanych. Piękne to dla poety miejsce schronienia."

Poezja Pawlikowskiej zabłysła na krótko między dwoma kataklizmami — między jedną a drugą wojną. Zmarła, gdy już wypalił się czas drugiej wojny, ale jej świat „różowej magii" rozsypał się we wrześniu 1939. Poezja jednak przetrwała.

JERZY WILMAŃSKI

3 Krótka historia snobizmu

Nagłe zastępstwo

Słyszałem niedawno w ustach młodego człowieka słowo „snob" użyte w co najmniej oryginalnym znaczeniu: z kontekstu wypowiedzi wynikało, że ów młody człowiek (student!) rozumie to słowo jak synonim sobka, samoluba, człowieka „nieużytego" jak się mawia w Łodzi...

Dziwne. W czasach mojej młodości było to jeszcze słowo żywe (wyjaśniam, że moja młodość nie przypada na odległe epoki historyczne — wprost przeciwnie, stosując terminologię polityczno-przełomową, na schyłek kultu jednostki i lata pierwszej, popaździernikowej odnowy). Ba, nie tylko żywe, ale w żargonie inteligencko-młodzieżowym używane nader często, charakteryzowało bowiem jedną z najbardziej zyśmiewanych przywar znienawidzonego drobnomieszczaństwa.

Przypomnijmy pokrótce jak to angielskie słowo ewoluowało w polszczyźnie: Pojawiło się u nas w drugiej połowie ubiegłego wieku — jeśli dobrze sobie przypominam, jeszcze u romantyków go się nie znajdzie, ale chyba używał go już Prus w „Lalce" bądź w „Emancypantkach". Snob był to wówczas facet, który nie legitymując się autentycznym szlachectwem udawał herbowego lub drobny szlachcic udający arystokratę. Snob był śmieszny, pogardzali nim i ci, do których usiłował się wkręcić i ci, do których rzeczywiście należał...

Równocześnie obok snoba klasycznego egzystował — od dawna zresztą — snob kosmopolityczny. Taki, co to woli obrzydliwą owsiankę od smacznego zraza, bo zraz to potrawa polska, a owsiankę jadają — jak wiadomo — anglosasi na codzienne śniadanie... Ten typ, ewoluując zresztą, egzystuje do dziś z powodzeniem i do jego współczesnej wersji jeszcze wrócę...

Gdzieś w epoce młodopolskiej pojawił się snobizm artystyczny — w kręgach awangardowej inteligencji kto żyw próbował pisać wiersze, malować akwarelki albo improwizować na fortepianie. A przynajmniej nosić niechlujną brodę, fontaż pod szyją, popijać absynt i „liberalizować" na temat wolnej sztuki, wolnej miłości i wolnego umysłu. Snobizm na „artystę" w coraz łagodniejszych formach trwał po drugiej wojnie i — jak sądzę — zdechł w epoce przyśpieszonego, intensywnego rozwoju. A jeszcze w latach sześćdziesiątych młody chłopak piszący wiersze miał u panien nie mniejsze powodzenie (może nawet większe?) niż ten, co grał w koszykówkę w reprezentacji uczelni.

Szczególną odmianą snobizmu artystycznego był snobizm, dla którego zarezerwowałbym termin „kulturalny". Snob kulturalny artysty nie udawał, tylko konesera. Biegał na premiery i wernisaże, czytał modną literaturę, zabiegał o znajomości w sferach artystycznych, a już bruderszaft ze znanym artystą cenił bardziej niż złotą odznakę branżowego związku zawodowego!

Ten — obawiam się — również zanikający na naszych oczach rodzaj snobizmu jednak wydaje się dość sympatyczny. Przecież Boy-Żeleński uważał nawet zdrowy snobizm za ważny czynnik postępu kulturalnego.

Mogę do nieco przewrotnego wywodu Boy'a dodać przykład znany mi z autopsji: mam otóż znajomą, która uparła się lśnić w towarzystwie znajomością literatury i malarstwa. Zawód ma raczej prozaiczny, prawdziwe zainteresowania też kuchenno-odzieżowe, ale jest ambitna. Moja znajoma sporo czyta o malarstwie, kiedy znajdzie się za granicą zwiedza nie tylko domy towarowe, ale i muzea. Wprawdzie zanudza ludzi swoimi dubami smalonymi o sztuce, wprawdzie nie ma zupełnie smaku artystycznego, ale za to.. Właśnie. Niedawno z pewnym artystą plastykiem zastanawialiśmy się, czy motyw narodzin Venus, tak znany z obrazu Boticellego znaleźć można również u Tintoretta. Zatelefonowałem do owej znajomej. Bez namysłu odpowiedziała, że są trzy lub cztery obrazy Venus pędzla Tintoretta, ale żaden z nich nie przedstawia narodzin bogini.

Już nigdzie nie sprawdzałem Wierzę jej.

Taki snobizm to jednak nie najgorsza rzecz... Cóż, kiedy osobniki w rodzaju mojej znajomej to okazy coraz rzadsze. Snobizm karłowacieje...

Udawanie człowieka z wyższych sfer ogranicza się u nas do popularnego „pan nie wie, kim ja jestem", udawanie artysty zawęziło się do banalnego chwytu kiepskich podrywaczy. „Ja, proszę panią, pracuję w filmie bynajmniej". Snobizm kulturalny w swojej dzisiejszej formie to opowiastki w rodzaju: „Fronczewski? Proszę pana, beczkę wódki z nim wypiłem, fajny chłop... Pan wie, on ma syna z Violettą Villas, tego, no... Rosiewicza. A ponadto jest pedał, żyje z Łazuką i z nią z kolei ma córkę, Annę Dymną...".

Snobizm na cudzoziemszczyznę wyraża się w hodowaniu psów o możliwie najdziwaczniejszych rasach i nazwach, czasem w jeździe konnej. Współczesny snob konny wie, że w Anglii hippikę uprawiają obowiązkowo lordowie. Zapomina tylko, że w Polsce, od czasu kiedy nie mamy już kawalerii na koniach jeżdżą wyłącznie parobki. Także parobki (signum temporis!) z magisterium i wysokim stanowiskiem.

ANDRZEJ KAROL

4 Gdy Łódź chciano pozbawić praw miejskich

Coś z historii

Chyba wszyscy (włącznie z samymi biurokratami) są przekonani o szkodliwości zjawiska jakim jest biurokracja. Niekiedy jednak, choć bardzo rzadko, pewne przejawy biurokracji mogą odegrać pozytywną rolę. Aby nie być gołosłownym, posłużę się przykładem z dziejów Łodzi.

Począwszy od końca pierwszej połowy XVII stulecia rozpoczyna się upadek Łodzi, co łączy się z ogólnym zahamowaniem rozwoju miast polskich, które głównie wynikało z systemu gospodarki pańszczyźnianej i niewłaściwego stosunku klasy rządzącej, tj. szlachty, do miast. Sytuację tę pogłębiały jeszcze wojny, pożary i epidemie. Łódź — wówczas zaniedbane miasteczko biskupów włocławskich — wegetowała i wyludniała się. W rezultacie drugiego rozbioru Polski (1793 r.) znalazła się w zaborze pruskim. Przeprowadzony przez rząd pruski spis wykazał, że miasto zamieszkuje tylko 191 osób i znajduje się tu 44 domy drewniane, a przecież na przełomie XVI i XVII wieku Łódź liczyła około 800 mieszkańców.

Nowe władze, stwierdziwszy upadek miasteczka, zastanawiały się nad jego sytuacją i dalszymi losami. A oto korespondencja w powyższej sprawie wymieniona pomiędzy Kamerą piotrkowską — pruskim urzędem administracji skarbowej i ogólnej, a ministrem Ottonem Vossem, delegowanym w roku 1793 do organizowania administracji ogólnej na terenie drugiego zaboru.

Kamera piotrkowska w liście do ministra Vossa z dnia 22 grudnia 1793 roku pisze o Łodzi: „Miasto to ma bardzo małe znaczenie. Ponieważ wszelkie ulepszenia wymagają kapitału, wydaje się, że wobec wielkiej biedy obywateli i braku jakichkolwiek wewnętrznych źródeł dochodu przedwczesne jest teraz cokolwiek projektować. Przede wszystkim należałoby założyć kasę miejską, do której kapitału dostarczyłoby lepsze użytkowanie dużego i pięknego lasu miejskiego przez urządzenie huty szklanej lub podobnego przedsiębiorstwa".

W piśmie z 22 kwietnia 1794 roku, stanowiącym odpowiedź ministra Vossa na list Kamery piotrkowskiej, czytamy: „Nie została zbadana główna kwestia: czy nie dałoby się i czy nie byłoby lepiej zamienić Łódź na wieś? W tym wypadku zakładanie kasy nie byłoby potrzebne, a chodziłoby tylko o lepsze użytkowanie lasu bez żadnych urządzeń, wymagających kapitału zakładowego. Ponieważ uprawa roli i hodowla bydła są już teraz głównym utrzymaniem mieszkańców, wśród których znajduje się czterech rzemieślników, potrzebnych właściwie w mieście, więc należałoby przede wszystkim ujawnić nie podaną ilość roli. Jeżeli ilość ta byłaby wystarczająca do utrzymania mieszkańców, to będziecie pertraktować tak z Dominium (urząd administracji lokalnej zarządzający dobrami państwowymi), jak i z obywatelami o przyłączeniu miejscowości do powiatu wiejskiego i o wyniku mnie zawiadomicie".

Zamach władz pruskich na prawa miejskie Łodzi jednak nie udał się, co pozwoliło zachować jej godność miasta. Nie doszło do zdegradowania Łodzi do roli wsi dzięki pruskiej biurokracji. Przewlekła procedura biurokratyczna nie pozwoliła na realizację tych zamierzeń. Być może, że pewne znaczenie w tej sprawie miały także głosy samych łodzian, ale brak dokumentów, które mogłyby tę sprawę wyjaśnić. Najważniejsze jest to, że Łódź nie utraciła praw miejskich posiadanych nieprzerwanie od 29 lipca 1423 roku, a które jej nadał król Władysław Jagiełło. (W roku 1973, z inicjatywy Koła Przewodników PTTK w Łodzi, na ścianie budynku przedborskiego ratusza odsłonięto tablicę upamiętniającą wydarzenie z tamtego okresu).

Zachowanie przez Łódź godności miasta łączy się z jej powolnym ożywieniem gospodarczym, jakie następuje począwszy od ostatnich lat XVIII stulecia. Po upadku rządów pruskich w Łodzi w roku 1806 nastaje okres Księstwa Warszawskiego, który jest dla Łodzi jeszcze pomyślniejszy, ale nowy, wielki rozdział jej historii rozpocznie się w latach dwudziestych XIX wieku i będzie związany z rozwojem przemysłu włókienniczego.

Warto o powyższych faktach przypomnieć w 560-lecie nadania praw miejskich Łodzi i w 160-lecie rozpoczęcia jej kariery przemysłowej, które to rocznice przypadają w bieżącym roku!

HENRYK SZUBERT

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11 kod 90-438 Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652 44 sekretarz redakcji 680 98 publicysci 677 70. Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-959 Warszawa ul. Towarowa 23, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90 103. Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1901. L-11.

W pogoni za snem

WACŁAW OPACKI

Bezsenność jest bez wątpienia chorobą cywilizacyjną, zmorą, która gnębi ludzkość. Dla przykładu w Stanach Zjednoczonych na bezsenność cierpi 1/3 obywateli. Wprawdzie wskutek bezsenności nikt podobno nie umiera (udowodniono zaś, że zmuszanie zwierzęcia w ciągu 14 dni do bezsenności jest śmiertelne), ale tak naprawdę, to nikt nie jest do końca przekonany o słuszności takiej tezy. Znowu: czy bezsenność szkodzi zdrowiu? Tu zdania są podzielone. W jednym przypadku, (we Francji) ochotnicy byli pozbawiani snu przez 100, a nawet przez 200 godzin. Po zakończeniu eksperymentu pozwolono im się wyspać aż do obudzenia się z poczuciem rześkości i pełnego odprężenia, co najczęściej nastąpiło po upływie doby. Badania stwierdziły, że nikt nie poniósł uszczerbku na zdrowiu. W drugim przypadku w Stanach Zjednoczonych badaniom poddano 600 ochotników. Okres bezsenności wyniósł 112 godzin. Badania laboratoryjne nie wykazały żadnych zmian we krwi i moczu. Jednak u wielu osób już po upływie 30 godzin braku snu zaczęły narastać objawy utraty pamięci, drażliwości oraz niemożliwości skupienia się. Po 60 godzinach doszły halucynacje, a także objawy schizofrenii.

I ci lekarze są zdania, że bezsenność jest przyczyną szeregu innych chorób, tak groźnych dla ludzkości. Chodzi m. in. o nerwice.

Ludzie szukają ratunku w środkach nasennych (w Stanach Zjednoczonych 5 mln. osób regularnie bierze recepty), które znowu są powodem pogłębiania się dezintegracji psychicznej ustroju. Systematyczne znowu zwiększanie dawek dla osiągnięcia właściwej równowagi, co jest też udowodnione, doprowadza w końcu do ciężkiej choroby psychicznej i umieszczenia osoby w zakładzie psychiatrycznym.

Nie wszystkie osoby używają regularnie środki nasenne — nawet w sytuacjach tego nie wymagających, a raczej tylko z przyzwyczajenia — zdają sobie sprawę ze zgubnego ich wpływu. Nie wszyscy też mają tyle siły — używanie środków nasennych (lekarze przepisują najczęściej barbiturany), czy innych środków psychotropowych niewątpliwie obniża siłę woli i zdolność podejmowania decyzji — żeby z nich zrezygnować. Sen jest jedną z podstawowych czynności fizjologicznych. Jej wykonanie jest tak samo potrzebne do dalszego prawidłowego życia i funkcjonowania organizmu, jak np. oddanie moczu, który w innym wypadku zatruwa organizm. Zwalczaniem na siłę snu — tak samo jak przesunięciem jego pory — nie oszuka się ustroju.

Na drugi dzień po nieprzespanej nocy człowiek jest „nie do życia": nie chce mu się pracować, jest konfliktowy, nerwowy... Życie potwierdza, że objawy nerwowości mają miejsce najczęściej w poniedziałek. Związane to jest z tzw. zegarem biologicznym. Badania (przeprowadzone m. in. na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Stanford i w Zakładzie Neurobiologii Uniwersytetu w Heidelbergu) udowodniły, że nasz wewnętrzny zegar biologiczny obliczony jest na 25-godzinny cykl (a doba ma przecież 24 godziny). Człowiek w ciągu 5 dni pracy poddany jest tzw. zegarowi urzędowemu (24 godziny), natomiast w piątek poprzedzający wolną sobotę i z soboty na niedzielę poddajemy się tzw. zegarowi biologicznemu, a znowu z niedzieli na poniedziałek zmuszeni jesteśmy przestawiać się na zegar urzędowy. I to przestawianie się z jednego zegara na drugi jest przyczyną owych poniedziałkowych dolegliwości.

FAZA „REM"

W czasie snu pewne funkcje układu nerwowego człowieka zostają zahamowane, tak jak i pewnym redukcjom rytmu ulegają czynności serca, układu przemiany materii i układu oddechowego... W czasie snu spada całkowicie napięcie mięśniowe, a w organiźmie dokonuja się procesy odtwarzania zasobów energetycznych i komórek ośrodkowego układu nerwowego. Trzeba zaznaczyć, że podstawowy cykl snu w ciągu nocy powtarza się kilkakrotnie, a wyróżnić w nim można kilka całkowicie odrębnych faz. Najpierw człowiek przechodzi — w ciągu około 5 minut — od stanu czuwania do snu. W trakcie „wyłączania się" z otoczenia elektroencefalograf pokazuje fale mózgowe „alfa", typowe dla senności, które stopniowo ustępują miejsca wolniejszym falom „teta". W drugiej fazie elektroencefalograf rejestruje gęsto ścieśnione fale, tzw. wrzeciona oraz nagłe skoki przestrzennych fal, zwane „kompleksami K". Obniża się wtedy częstotliwość oddechu i pracy serca, temperatura ciała i maleje przemiana materii. Faza trzecia zaczyna się w parę minut później: fale mózgowe stają się regularniejsze i po pewnym czasie następuje faza czwarta — głęboki sen. Po czym osoba śpiąca powraca do dwóch pierwszych faz, po których zaczyna się faza REM.

Co to jest „REM"? Dr Nathaniel Kleitman i Eugene Aserinsky (student ostatniego roku medycyny), którzy zapoczątkowali w 1953 r. pierwsze po wojnie badania snu, stwierdzili, że niemowlęta podczas snu bardzo szybko poruszają gałkami ocznymi. Zjawisko to dr William Dement z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Stanford określił jako „sen z szybkim ruchem gałki ocznej" (REM) i powiązał z określonym obrazem fal mózgowych, ruchami ciała i marzeniami sennymi. Był to dowód, że sen nie jest czasem marnotrawionym, lecz przez człowieka spędzanym wyjątkowo aktywnie. Dr Elliot D. Weitzman z nowojorskiego ośrodka Montefiore twierdzi, że sen charakteryzuje się różnymi wzorami, częstotliwościami i systemami. Całe ciało bierze w nim udział w skomplikowany sposób.

W czasie fazy REM występują prawie wszystkie marzenia senne, które w zapisie elektroencefalografu wyglądają podobnie do fazy czuwania. Serce bije, tak jak czynności układu oddechowego, nieregularnie, zaś gałki oczne poruszają się z jednej strony w drugą. Ciało jest wprawdzie nieruchome, ale przez mięśnie przechodzą sygnały elektryczne. Faza REM u dorosłych trwa przeciętnie 10 minut, wraz z upływem nocy okres cyklu jednak się wydłuża nawet do godziny (rankiem). Sen REM pobudza mózg i ma kluczowe znaczenie dla rozwoju systemu nerwowego — stwierdzają dr Dement i dr Howard Roffwarg z Ośrodka Nauk Medycznych w Uniwersytecie Teksaskim w Dallas. Podobnie zależnie od wieku zmienia się długość snu: u niemowląt trwa on nawet 16 godzin, u osiemnastolatków — 8 godzin, u ludzi wieku starczego godzin siedem do sześciu, przy czym u tych ostatnich zanika głęboki sen fazy trzeciej i czwartej.

KOSZTY BEZSENNOŚCI

Prof. Tengiz Nestorowicz Oniani z Instytutu Neurofizjologii Gruzińskiej Akademii Nauk tak uzasadnia różnice potrzeb snu: między systemami czuwania i snu związana jest pamięć. Kiedy więc pomyśli się, że trzeba koniecznie obudzić się rano o określonej porze, to mózg to pamięta. Pamięć ta połączona jest z zegarem biologicznym, toteż mózg sam może przejść ze stanu snu w stan czuwania o określonej porze. Kiedy zaś nie ma się konkretnej potrzeby obudzenia się, wówczas w pamięci nie ma żadnej informacji i można się wyspać niejako „do końca".

Rozległe badania nad przyczynami bezsenności, jak wspomniałem są prowadzone od 1953 roku. W studiach i badaniach przyszła lekarzom z pomocą współczesna technologia, dzięki której powstało ostatnio wiele urządzeń i aparatów medycznych (np. elektroencefalograf). W całym świecie powstały ośrodki badania snu, dla przykładu w USA jest ich 413. Jeśli wziąć po uwagę, że dla większości cierpiących brak snu jest najpoważniejszym problemem ich życia, to jest zagadnienie warte uwagi i wymagające rozwiązania. Więcej jest jednak w gronie lekarzy sceptyków twierdzących, że z powodu bezsenności się nie umiera. Statystyki mówią, że lekarze np. w StanachZjednoczonych wydają każdego roku dwadzieścia pięć milionów recept na środki nasenne (w 1980 roku — 31 mln recept), a ponadto sprzedaje się 30 mln innych środków nie wymagających recept. Chorych na brak snu kosztuje to niebagatelną sumę 1 mld dolarów.

Lekarze twierdzą, że przyczyną bezsenności są stresy, praca, konflikty rodzinne. Może ona być także np. skutkiem chronicznych bólów, zaburzeń przemiany materii i w oddychaniu, a także mocnych skurczów mięśni nóg (dotyczy to zwłaszcza starszych ludzi).

Zdaniem prof. Tengiza Nestorowicza Oniani z Instytutu Neurofizjologii Gruzińskiej Akademii Nauk bezsenność można wytłumaczyć naruszeniem równowagi między systemami czuwania i snu. — W takim przypadku — twierdzi profesor — z różnorodnych przyczyn, zarówno organicznych, jak i funkcjonalnych, wrażliwość systemu czuwania zwiększa się do tego stopnia, że nie może on być zahamowany przez system snu. Przyczyna bezsenności może być także obniżenie stanu funkcjonalnego systemu snu, co także powoduje naruszenie równowagi oraz swego rodzaju „uszkodzenia" zegara biologicznego.

Dr William Dement twierdzi, że bezsenność jest raczej świadomością zaburzeń snu, choć rzeczywiste zaburzenia notowane przez aktualne instrumenty badawcze nie wskazują na jego poważną naturę. Taki przykład. W separatce laboratorium ośrodka badawczego zdrowia psychicznego umieszcza się chorego, podłącza do aparatury kontrolnej, po czym okazuje się, że pewien procent chorych śpi pełne osiem godzin i to tak twardo, że trzeba ich budzić nazajutrz. Ale po obudzeniu są tak absolutnie przekonani o swej bezsenności, że mówią do lekarza: „no i przekonał się pan, panie doktorze, że nie spałem nawet pół godziny".

Ale, mówi dr Mendellson, istota tkwi w tym, że organizm ludzki dysponuje jakimś odrębnym sposobem wykrywania jakości snu, sensu dochodzenia snu, czego nie są w stanie wykryć aparaty laboratoryjne. I właśnie ostry brak czy wada w wykrywaniu przez organizm sensu jakości snu może przynieść przykre skutki bezsenności w postaci stresów, niepokojów i nadmiernej albo wręcz niebezpiecznej senności następnego dnia.

GROŹNA „APNEA"

Bezsenność, jak stwierdzają specjaliści z ośrodków badawczych, nie jest spowodowana jednym zaburzeniem, ale całym szeregiem różnych zaburzeń. Kilka z nich jest obecnie uleczalnych dzięki prowadzonym studiom. Mniej więcej połowę z nich można leczyć w ośrodkach badawczych snu. Jednym z ostatnio wykrytych zaburzeń jest tzw. APNEA, czyli nieświadome zatrzymanie oddechu podczas snu. Jest to najniebezpieczniejsze zaburzenie snu. U różnych osób różnie się ono objawia i może powtarzać każdej nocy: od kilku do nawet sześciuset razy i trwać od kilku sekund do dwóch minut. Powoduje to niedostateczny dopływ tlenu do organizmu, co bardzo silnie nadweręża serce i cały proces krążenia krwi. Cierpiący na to zaburzenie nie są tego świadomi. Wiedzą jedynie, że często budzą się w nocy, a następnego dnia są ogromnie senni. O zaburzeniach, co gorsza, nie wie również ich lekarz, który pragnąc zaradzić ich bezsenności przepisuje środki nasenne. I tu tkwi niebezpieczeństwo. Pigułki nasenne z reguły zmniejszają tempo oddychania, a gdy nagle zaczynają działać u człowieka nieświadomie cierpiącego na APNEĘ — skutki mogą być groźne, nawet dla życia. Pięciu najwybitniejszych specjalistów amerykańskich w dziedzinie snu wyraziło opinię, że APNEA w połączeniu ze środkiem nasennym lub innym hamującym tempo oddychania, jak np. alkohol może doprowadzić do zgonu.

Na APNEĘ cierpi prawdopodobnie w USA około 5 mln osób, co dowodzi wagi problemu. Dr Achart Alan z Uniwersytetu im. Johna Hopkinsa w mieście Baltimore stwierdza, że APNEA doprowadza do tak ogromnego wyczerpania serca i całego układu sercowo-naczyniowego, że staje się jedna z głównych przyczyn nagłych śmierci dorosłych osób w nocy.

Tysiące ludzi umiera corocznie na serce, mówi dr Achart Alan, ale z niewyjaśnionych powodów.

Lekarze z badawczych ośrodków snu twierdzą, że na APNEĘ cierpią najbardziej starsi ludzie, mianowicie ok. 40 proc. powyżej 65 roku życia oraz osoby przyjmujące nagminnie środki nasenne. I właśnie wśród tej kategorii osób stwierdzono najwięcej zgonów w nocy z niewyjaśnionych medycznie przyczyn. Ośrodki uzyskują wprawdzie jakieś wnioski, ale bardzo powoli i w drodze bardzo ostrożnych doświadczeń, akceptując pacjentów, którzy tylko kilka lub kilkanaście razy w nocy cierpią na zatrzymanie procesu oddychania. Otrzymują oni pigułkę nasenną i od tego momentu są bacznie obserwowani. Działanie pigułki powodowało nagłe i alarmujące zwiększenie się częstości zaburzenia APNEA. U jednego z tego rodzaju pacjentów z marginesową tylko APNEĄ, przed zażyciem środka nasennego zanotowano zaburzenia oddechowe od kilku do osiemnastu razy w ciągu nocy. Natomiast pierwszej nocy po przyjęciu pigułki zahamowanie oddechu doszło do dwudziestu dwóch razy, a drugiej nocy aż do stu i wtedy doświadczenie zakończono, uważając dalsze eksperymenty za niebezpieczne.

Istnieją dwie przyczyny APNEI. Pierwsza to zapad tchawicy lub jej zwężenie. Druga, gdy mózg przestaje przesyłać sygnały oddechowe do przepony brzusznej. W zasadzie obie są uleczalne. Pierwsza przyczyna może być uleczalna w drodze operacji tchawicy, druga — leczona środkiem pobudzającym proces oddychania w nocy. U trzech tysięcy osób, które zgłosiły się do badawczych ośrodków snu uskarżając się na bezsenność lub nadmierną senność w ciągu dnia stwierdzono, że największa grupa — 25 proc. cierpi na APNEĘ, 13 proc. na narkolepsje czyli senność napadową. Są to zaburzenia neurologiczne, objawiające się w bardzo nagłym, niespodziewanym i niekontrolowanym napadzie snu w ciągu dnia. Tego typu sen może nastąpić tak nagle, że dosłownie zwala ofiarę z nóg. Dalszych jedenaście procent to chorzy na zaburzenia psychiatryczne, takie jak np. ciężka depresja i wtedy brak snu jest wtórnym symptomem choroby umysłowej. Następnych sześć procent to odmiana bezsenności objawiającej się w nieświadomym silnym ruchu kończyn podczas snu, swego rodzaju kopaniu podczas snu, wskutek czego śpiący budzi się kilkakrotnie i nazajutrz jest bardzo senny, podobnie jak chorzy na APNEĘ. Środek antykonwulsyjny łagodzi to zaburzenie i przynosi ulgę. I wreszcie bardzo niedawno rozpoznana przyczyna bezsenności, na którą cierpi ok. 10 proc. ludzi, to tzw. faza snu spóźnionego, kiedy to sen przychodzi dopiero nad ranem. Leczenie polega na stopniowym, coraz dalszym i dalszym przesuwaniu godzin zaśnięcia aż doprowadzi to do normalnej pory snu.

* * *

Polska nie jest krajem na tyle bogatym żeby organizować specjalne oddziały chorych na bezsenność. Być może, tu druga strona zagadnienia, zgromadzenie się pacjentów o tych samych problemach, jak bezsenność, mijałoby się z celem i mogłoby pociągnąć za sobą bardzo wiele ujemnych skutków i spowodować wiele technicznych problemów. Niemniej jednak mamy wiele poważnych osiągnięć. I tu należy wymienić nazwisko prof. dr Juliusza Narębskiego z Instytutu Biologii Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, którego wyniki badań nad tzw. snem paradoksalnym odbiły się szerokim echem w świecie.